

**Mamy za niskie podatki ■ Choroby wstydlive ■ Kulisy kursów przedmażeńskich
Awantury kolibrów ■ Peja i sztuka wysoka ■ Smak życia w siódmej lidze**

Kraków 12 – 18 marca 2025 nr 11 (3949)

cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Damy radę bez Trumpa

- **FRANCUSKI PARASOL
ATOMOWY**
- **EUROPEJSKIE NATO**
- **POLSKA MOBILIZACJA**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425





FUNDACJA
Wrocławskie
Hospicjum
dla Dzieci



POMÓŻ PÓKI JESTEM

Przekaż

1,5%

podatku

KRS 0000 287 982

www.ProcentDlaDzieci.pl

Jakub

Mam wadę serca, mózgowe porażenie dziecięce, ciężkie zaburzenia karmienia, choruję na encefalopatię padaczkową.

Moment, w którym z ust lekarzy padają słowa „leczenie dziecka jest niemożliwe” lub „więcej nie da się zrobić” to dramat dla każdego rodzica. Co dalej? W opiece nad nieuleczalnie i przewlekle chorymi dziećmi pomaga Fundacja „Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci” działająca na terenie Dolnego Śląska.

Fundacja Wrocławskie Hospicjum dla Dzieci działa od 2007 roku otaczając chore dzieci oraz ich bliskich kompleksową opieką paliatywną i wytchnieniową. Siedziba Fundacji znajduje się we Wrocławiu, podopieczni hospicjum to obecnie 75 dzieci oraz młodych dorosłych dotkniętych chorobami neurologicznymi, genetycznymi, onkologicznymi, oraz którzy ucierpieli w wypadkach.

Fundacja świadczy pomoc bezpłatnie, przez 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Prowadzi hospicjum domowe czyli dociera do domów pacjentów, gdzie czują się oni najbezpieczniej, zapewniając pomoc lekarzy specjalistów, pielęgniarek, opiekunów wytchnieniowych, opiekunów medycznych, psychologów, fizjoterapeutów, rehabilitantów, neurologopedów oraz kapelana. Opieką otaczane są całe rodziny, którym udzielane jest wsparcie psychologiczne, dostęp do sprzętu medycznego oraz pomoc socjalna (prezenty dla dzieci, pomoc w zapewnieniu leków, opłaceniu czynszu, organizacja turnusów wakacyjnych dla zdrowego rodzeństwa, itp.).

Przy Fundacji działa również hospicjum perinatalne, które otacza kompleksową opieką, a także wsparciem duchowym rodziny stojące w obliczu ciężkiej, nieuleczalnej choroby swojego jeszcze nienarodzonego dziecka.

Od 2023 roku Fundacja prowadzi Dom Opieki Wytchnieniowej „Kokoszka” we Wrocławiu. Jest to pierwsza w zachodniej części Polski placówka, gdzie opieka nad pacjentami terminalnie, przewlekle chorymi, z niepełnosprawnościami świadczona jest stacjonarnie i całodobowo, wtedy, kiedy jej sprawowanie przez rodziców, opiekunów jest utrudnione lub niemożliwe. Podczas pobytu w „Kokoszce” nad dziećmi czuwa wykwalifikowany personel medyczny i opiekunów. W tym czasie rodzice/opiekunowie mogą zadbać o swoje zdrowie, załatwić bieżące sprawy, poświęcić czas zdrowemu rodzeństwu, pojechać na zasłużony urlop lub po prostu odetchnąć. Usługa opieki wytchnieniowej w Kokoszce jest również całkowicie nieodpłatna.

Wszystko to możliwe jest w ogromnej mierze dzięki wpłatom 1,5% PODATKU od ludzi dobrej woli.

Dołącz do grona naszych darczyńców. Wspierając działania Wrocławskiego Hospicjum dla Dzieci masz realny wpływ na poprawę jakości życia chorych dzieci i ich rodzin. Przekazanie 1,5% podatku to z pozoru niewielki gest, który dla nich ma jednak ogromne znaczenie, i dzięki któremu udaje się codziennie zmieniać świat na lepsze. Dziękujemy!

KS. ADAM

Boniecki: *Aż do śmierci*

PRYZGOTOWANIE DO SAKRAMENTU MAŁŻEŃSTWA... KURSY, wykłady, uczęszczanie obowiązkowe dla młodych. A młodzi nie zawsze mają czas, nie mają głowy, więc szukają zastępstwa: siostra, brat, przyjaciel. Ci zastępcy oczywiście podszywają się pod oblubieńca lub oblubienicę, byle zaliczyć. Tak bywa, nie znaczy, że tak jest zawsze czy nawet często. Są też zresztą znakomite kursy przedmażeńskie, znakomite spotkania, rozmowy. I są ludzie, którzy te wykłady traktują poważnie. Nawet z kiepskiego kursu można coś cennego wynieść. Prawie zawsze. Chciałoby się napisać, że te spotkania są ważne. Niestety, każdą zrutynizowaną praktykę można pozbawić sensu. Jest obowiązek i przepis, jest więc i rutyna. Czy być musi? Od czego to zależy, od kogo? Nie warto się nad tym rozwodzić, bo ci, którzy te spotkania prowadzą ciekawie, i tak będą nadal je prowadzić, a tym, którym to nie idzie, nadal nie będzie szło i żadne skrypty, książki, poradniki na nic się nie zdadzą.

Jak zapewnić wszystkim dostęp do (przecież potrzebnych i użytecznych) kursów dobrych i na właściwym poziomie? Przed ślubem warto pogadać o życiu i o tym, czym jest właściwie sakrament małżeństwa. Jedno jest pewne: kursy przedmażeńskie nie rozwiązują tych kwestii. I nie mówię o tych, którzy do sakramentu małżeństwa przystępują beztrząsco, bez gotowości wytrwania w związku „aż śmierć was nie rozłączy”. Sądzę, że po prostu nie ma takich sposobów, takich kursów, takich pouczeń, które by w ciągu kilku tygodni przygotowały człowieka do wspólnego życia na dobre i na złe, na pokonywanie kryzysów i dramatów. Po prostu takich kursów nie ma i być nie może. To jest sprawa całej formacji człowieka, dwojga ludzi. Kościół, organizatorzy jego funkcjonowania, wynajdują różne sposoby, żeby pomóc. Sposoby kiepskie lub udane, ale tylko pomocnicze. Cała formacja człowieka... w tym wypadku – dwojga ludzi?



Trzeba się starać o możliwie dobre kursy, zapraszać, czy wręcz wymagać obecności na nich, i pogodzić się z tym, że przy rozmaitym podejściu do sakramentu małżeństwa również stosunek do tych kursów będzie rozmaity.

Mowa o małżeństwach, wybaczenie, że dodam: wcale niekoniecznie kościelnych. Jest coś dramatycznego w rozpadaniu się związków, które w zamiarze miały być (tak to wyglądało) trwałe. Nie zwracam się do tych, którzy się potem rozeszli, bo nie znam ich osobnych, niepowtarzalnych przecież losów, więc i nie osądzam. Wiem jednak, że gdzieś tam została zadana dramatyczna rana. I boleję, jeśli tę ranę można było uleczyć. A zwykle jeśli było można, to wcześniej, nim ich pokonała. Potem było już za późno.

Czy przedmażeńskie kursy mogą tu w czymś pomóc? Kiedy przychodzą smutne doświadczenia i kryzysy, nie ma już żadnych kursów ani nauk. Ani nawet pamięci o tych, które były. Wtedy potrzebne jest coś bardziej osobistego. Według mego doświadczenia formację do trwania w związku otrzymuje się w rodzinie, od rodziców, którzy właściwie nie muszą o tym mówić. Po prostu są tacy, jacy są. Nawet jeśli jedna tylko część związku (on czy ona) wzrastało w takiej szkole, szansa przebrnięcia przez trudności jest niewspółmiernie większa niż wtedy, kiedy żadne z nich nie ma w tyle głowy przykładu, który może inspirować. Ale wiem, że i wtedy można trudności pokonać, nawet bez inspirujących przykładów, taka jest siła miłości. Do jej dojrzałej formy sprowadza się przecież cała ta historia.

©P

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

TP W NASTĘPNYM NUMERZE – NA 80. URODZINY „TYGODNIKA”

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Co łączy wszystkich Polaków? Czy naprawdę to, że wszyscy mamy kosz na śmieci pod zlewem?

W urodzinowym prezencie dla naszych czytelników lektura na nasze czasy: co nas dziś cieszy i niesie otuchę? Piszą **Marek Bieńczyk, Olga Drenda, Jakub Dymek, Agata Kaźmierska i Wojciech Brzeziński, Eliza Kaćka, Ryszard Koziołek, Zuzanna Radzik, Dariusz Rosiak i Tomasz Stawiszyński**, a rysuje **Bartosz Minkiewicz**.

80!
TYGODNIK
POWSZECHNY

Wici. Ten staropolski termin, oznaczający wezwanie do boju, doskonale pasuje do sytuacji, w której znalazła się **EUROPA** po nagłej wolcie w polityce Białego Domu. Druga gospodarka globu i trzecia – gdyby potraktować ją jak jedno państwo – najludniejsza **WSPÓLNOTA POLITYCZNA** świata próbuje teraz zewrzeć szyki w obronie przed wciąż potencjalnym, lecz już aż nadto realnym zagrożeniem ze strony Rosji.

Komisja Europejska rozesłała wici po unijnych stolicach, wzywając do zwiększenia wydatków na obronność. Na stole leży też oferta zaciągnięcia **WSPÓLNEGO EURODEŁUGU** na ten cel. Na razie na skromną kwotę 150 mld euro (Pentagon wydaje tyle mniej więcej w dwa miesiące), ale obiecujący jest sam kierunek. Kilka lat temu pomysł wspólnego długu zachodnioeuropejskie stolice, zwłaszcza ta nad Sprewą, nazwałyby federalistycznymi dyrdymałami.

Jeśli wezwanie Brukseli zostanie potraktowane poważnie, za kilka lat potencjał obronny Unii będzie nie do zlekceważenia nie tylko dla 140-milionowej Rosji dysponującej gospodarką porównywalną mniej więcej z hiszpańską. To nie pobożne życzenia, lecz arytmetyka, która pokazuje, że zjednoczona Europa, choć wiekowa, ma wciąż czym kasać. Na szczegółowy przegląd tego potencjału odsyłam do naszego bloku okładkowego autorstwa **AGATY KAŻMIERSKIEJ, WOJCIECHA BRZEZIŃSKIEGO i SZYMONA ŁUCYKA**.

Problem z pospolitym ruszeniem zawsze sprowadzał się jednak do **REALIZMU W OCENIE ZAGROŻENIA**. Słowa Donalda Trumpa, który kolejny raz zapowiada, że na ochronę z mocy artykułu 5. Traktatu Północnoatlantyckiego nie mogą liczyć ci sojusznicy, którzy w nosie mają artykuł 3. (nakaz rozwijania własnych zdolności obronnych), nadal inną wagę mają w Wilnie czy Tallinie, a inną w Lizbonie.

Ale nawet z tym zastrzeżeniem, można spoglądać w przyszłość z dawką ostrożnego optymizmu, bo polską ocenę realności zagrożenia ze strony Rosji i pilność związanych z tym wyzwań dzielają już nie tylko kraje bałtyckie, ale także Niemcy, Francja oraz Wielka Brytania. W Berlinie nieoczekiwanie możliwe stało się coś, co nie udawało się przez dekady – stanie tu niebawem pomnik polskich ofiar II wojny światowej, o czym pisze **ŁUKASZ GRAJEWSKI**.

Dzieje się historia. ©P

MAREK RABJ

REDAKTOR PROWADZĄCY

Dziennikarz ekonomiczny, redaktor działu Kraj, wyróżniony w konkursie NBP dla najlepszego dziennikarza ekonomicznego. Autor książek nominowanych m.in. do nagrody im. Teresy Torańskiej i do Grand Press.



18 Zapraszamy do kasy

STEFAN SĘKOWSKI

Aby mieć sprawną armię oraz zadowalającą edukację i opiekę zdrowotną, potrzebujemy pieniędzy. Podatek katastralny to dobry sposób na ściągnięcie środków od osób, które płacą relatywnie mniej niż inni – czyli najbogatszych.

ROZMOWA NA WIELKI POST



38 Obojętność nie wchodzi w grę

ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM NOSOWSKIM:

Czasem trzeba akceptować rzeczywistość, czasem ją zmieniać. Duchowość codzienności nie wyklucza duchowości walki.



64 Sztuka wysoka

ROZMOWA Z PEJĄ:

Nigdy nie zapełniłem stadionu. O tych, którzy to robią, mówi się „gwiazdy”. Ale o takich jak ja mówi się „ikony”.

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Niecelne strzały
MAREK RABJI

7-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Zapraszamy do kasy
STEFAN SĘKOWSKI

21 Ślalom wokół Trumpa
PIOTR ŚMIŁOWICZ:
PiS nie wie, jak pogodzić sympatię dla prezydenta USA z jego gestami sprzyjającymi Putinowi

24 Powrót starych znajomych
MACIEJ MÜLLER:
Rośnie liczba zakażeń chorobami wenerycznymi. Co to mówi o naszym zdrowiu i obyczajach seksualnych?

■ ■ ŚWIAT

28 Parasol Macrona
SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA:
Od chwili załamania się relacji Europa-USA francuski prezydent nie schodzi z dyplomatycznego frontu

32 Nie tak miało być
WOJCIECH KONOŃCZUK:
Ukraina ma poczucie, że została zdradzona przez Amerykę. A nawet że musi walczyć na dwa fronty

34 Brytyjski konsens
PATRYCJA BUKALSKA:
Czy brytyjski premier uratuje relacje z Ameryką?

36 Przełom w Berlinie
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z NIEMIEC:
W 80. rocznicę zakończenia II wojny światowej w Berlinie zostanie odsłonięte miejsce pamięci jej polskich ofiar

■ ■ WIARA

38 Obojętność nie wchodzi w grę
ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM NOSOWSKIM

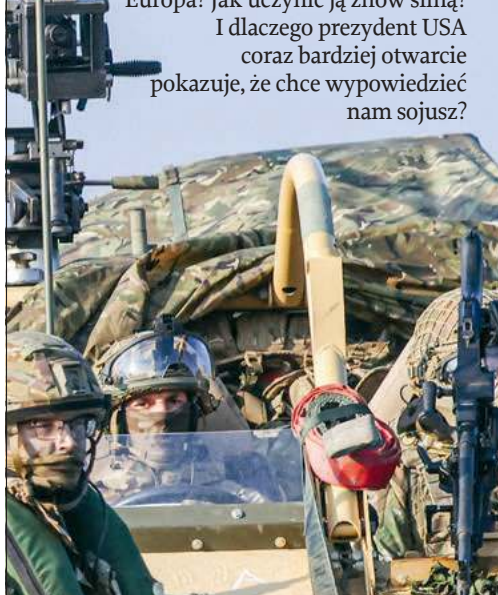
42 Kropla w morzu, morze w kropli
PIOTR SIKORA o mnichu benedyktyńskim i mistrzu zen, Willigisie Jägerze

TEMAT TYGODNIKA

12 Damy radę bez Trumpa

AGATA KAŻMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Europejczycy mogą wybić się na militarną samodzielność? Jakie atuty ma tutaj Europa? Jak uczynić ją znów silną? I dlaczego prezydent USA coraz bardziej otwarcie pokazuje, że chce wypowiedzieć nam sojusz?

SEAN GALLUP / GETTY IMAGES



■ STRONY SPECJALNE ■

50 UNICEF POLSKA

56 PAŃSTWOWE MUZEUM
ETNOGRAFICZNE W WARSZAWIE

■ FELIETONY ■

27 OLGA DRENDA

37 STANISŁAW MANCEWICZ

49 ZUZANNA RADZIK

63 ELIZA KĄCKA 76 PAWEŁ BRAVO

82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

NA OKŁADCE:

EMMANUEL MACRON

FOT. ANTOINE GYORI / CORBIS / GETTY IMAGES

44 Do ślubu na skróty

JOANNA GIERAK-ONOSZKO:
Wiele par szuka obejścia dla kursów przedmażeńskich

48 Czytania

O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

52 Chrześcijańscy żołnierze Izraela

ALEKSANDER R. MICHALAK
o nie-Żydach, którzy pomogli Żydom stworzyć państwo

■ ■ NAUKA

58 Awantury kolibrów

ROZMOWA Z CHRISEM CLARKIEM,
ZOOLOGIEM: *Są agresywne, gdy strzegą kwiatów. Ale w pierw ostrzegają: „nie podchodź tu”*

■ ■ KULTURA

64 Sztuka wysoka

ROZMOWA Z PEJĄ

69 W środku życia

MACIEJ MIŁKOWSKI:
Premiera netfliksowej ekranizacji „Lamparta” zwraca uwagę na literaturę sycylijską

71 Zmienny kanon

PIOTR KOSIEWSKI:
MSN to jedyne miejsce w kraju, gdzie polską sztukę współczesną prezentuje się w międzynarodowym kontekście

74 Zamek siwobrodego

ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Nasienie świętej figi” Mohammada Rasoulofa

75 Śmierć na wygnaniu

LEKTOR o książce George’a Prochnika
„Niemożliwe wygnanie. Koniec świata i Stefan Zweig”

■ ■ ZMYŚŁY

78 Święto sensu

MICHAŁ OKOŃSKI: *Zobaczyłem klub, któremu kibicuję całe życie, w starciu z Manchesterem City Guardiola i Haaland. Ale odkryłem, że życie jest gdzie indziej*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ...
... PROSTO DO SWOJEJ SKRZYŃKI

STR. **83**



Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER



Słuchaj podcastów
POWSZECH.NET/PODKAST

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ X /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

NIECELNE STRZAŁY

NOWOJORSKA GIEŁDA TRACI NA wartości nieprzerwanie od początku lutego. Amerykański dolar, którego pod koniec stycznia można było zamienić na 0,97 euro, dziś starcza na 0,92 euro. Tylko jaja w sklepach nie chcą tanieć, więc sekretarz rolnictwa Brook Rollins radzi obywatelom, by zaczęli hodować kury w ogródkach.

„Ameryka wróciła” – zapowiedział Donald Trump w wystąpieniu przed Kongresem, ale raczej nie o takim powrocie marzyli jego wyborcy i donatory, wspierający niedawną kampanię Republikanów. Poparcie dla 47. prezydenta USA po miesiącu rządów jest dziś niższe niż na starcie jego pierwszej kadencji w 2017 r. Wielkiemu bizneso-

Świat zadrzał z obawy przed wojną handlową. Na razie decyzje administracji Donalda Trumpa w sprawie ceł robią bałagan. Głównie w amerykańskiej gospodarce.

MAREK RABIJ

POWYŻEJ:

Parking przed terminalem celnym na granicy kanadyjsko-amerykańskiej w pobliżu mostu Peace Bridge w Fort Erie.
Ontario, Kanada, 4 marca 2025 r.

wi Trump obiecywał obniżenie podatków, ale temat na razie nie wszedł na rządową agendę, bo w najlepsze trwają igrzyska obliczone na zaspokojenie irytacji statystycznego amerykańskiego wyborcy, któremu żyje się coraz gorzej. Republikanie w kampanii tłumaczyli mu, że to nie rezultat błędu konstrukcyjnego współczesnej Ameryki, w której coraz więcej bogactwa skupia się w rękach najzamożniejszych (według US Census Bureau już ponad 70 proc. majątku narodowego należy do zaledwie 10 proc. obywateli). Winę ich zdaniem ponoszą poprzednicy (czytaj: Demokraci), którzy pozwalali światu paś zytować na Stanach Zjednoczonych. Teraz świat ma więc za to zapłacić.



CHRISTOPHER KATSAROV LUNA / GETTY IMAGES

LICZBY I MITY | Tłumacząc kolejne decyzje w sprawie cel, 47. gospodarz Białego Domu odwołuje się do danych o amerykańskim deficycie handlowym, którego wartość sięga już 8 proc. PKB. Jak wiele prawd Trumpa, i ta nie do końca pokrywa się jednak z faktami. USA faktycznie są na minusie w handlu ze światem – ale jeśli mierzyć go sprzedażą samych towarów. Przykładowo, w 2023 r. łączne obroty między Stanami a Unią Europejską wyniosły 1,5 bln euro, z czego 850 mld euro stanowił obrót towarami, a 690 mld euro – wzajemne świadczenie usług. Bilans obrotu towarowego wypadł co prawda na korzyść Europy, ale w wymianie usług na wyraźny plus wyszła Ameryka, która – faktycznie – jeździ niemieckimi autami, ale głównie dlatego, że stać ją na to za sprawą milionów Europejczyków oglądających codziennie Netliksa czy Disney+, i logujących się do poczty Gmail na komputerach z systemem Windows.

Machając wyborcom przed oczyma kolejnymi decyzjami celnymi, Trump pieści więc amerykański sentyment za *status quo* z połowy lat 70. XX wieku, kiedy USA miały w handlu ze światem bezdyskusyjną nadwyżkę. Pierwszy cios w ten bilans wymierzył Stanom kryzys paliwowy. Na początku tego stulecia nastąpił z kolei „chiński szok”: wynajęci do produkcji tanich dóbr Chińczycy błyskawicznie opanowali kolejne zachodnie technologie i zalali Amerykę tańszymi zamiennikami produktów oznaczonych jako „designed in USA, assembled in China”. Można rzec, że Ameryka, największy eksporter globalizacji, padła jej ofiarą, ale byłaby to kolejna półprawda. Globalizacja doskonale służyła i nadal służy finansowym elitom USA, na czele z Elonem Muskem, który Polakom i Australijczykom sprzedaje te same auta z podzespołami z Chin i zaśmieca wielkopolskie lasy szczątkami swoich rakiet. Prawdziwą ofiarą przestawienia amerykańskiej gospodarki na tory globalizacji okazała się klasa robotnicza USA. Zrujnowane przedmiocie Detroit to smutny pomnik obietnicy awansu społecznego, na której bazował mit założycielski Wielkiej Ameryki – i która przestała być osiągalna z chwilą, gdy pieniądze amerykańskich konsumentów na masową skalę zaczęły finansować pensje robotników z Shenzhen, zamiast z Chicago.

AMERYKA ZNOWU WIELKA? | Administracja Trumpa chciałaby za pomocą cel przesunąć do USA produkcję dużej części dóbr kupowanych przez Amerykanów. Stany to w końcu nadal najważniejszy rynek zbytu na świecie. Być może stoi też za tym ta sama kalkulacja, którą wyraził niedawno w głośnym wpisie Elon Musk, podkreślając, że dla jego systemu Starlink nie ma alternatywy. Podobnie: oburzeni amerykańskimi cłami Kanadyjczycy mogą nie pić kalifornijskich win i bojkotować tennessee whiskey, ale nie przestawiają się na edytory tekstu z Burgundii czy szkockie chaty GPT.

Pomysł nie jest nowy. To samo, co Trump robi teraz kijem cel, administracja Bidena próbowała osiągnąć za pomocą marchewki, czyli kusząc zagraniczne firmy dotacjami i zwolnieniami podatkowymi w zamian za przeniesienie produkcji za Atlantyk. Taka strategia była dość skuteczna w odniesieniu do branży IT czy bioinżynierii, bazującej na pracy koncepcyjnej, ale znacznie trudniej będzie ją wdrożyć w stosunku do wytwórców prostszych dóbr – a w idei MAGA chodzi w końcu o to, by nowe miejsca pracy trafiły nie do Doliny Krzemowej, lecz do bezrobotnych gór-

Decyzje celne Trumpa

2 kwietnia – nieokreślone jeszcze stawki na samochody i produkty rolne z całego świata.

12 marca – zapowiedź 25 proc. cel na aluminium i stal.

6 marca – ponowne zawieszenie cel na towary i usługi z Kanady i Meksyku, objęte umową o wolnym handlu.

5 marca – wstrzymanie cel na samochody z Kanady i Meksyku.

4 marca – ponowne wejście w życie cel na import z Kanady i Meksyku. Podwyżka cel na import z Chin o kolejne 10 punktów proc.

26 lutego – zapowiedź 25 proc. cel na import z UE.

3 lutego – miesięczne moratorium na ogłoszone trzy dni wcześniej cła wymierzone w Kanadę i Meksyk.

1 lutego – ogłoszenie 25 proc. cel na produkty i usługi z Kanady i Meksyku (z wyjątkiem ropy i energii elektrycznej obłożonych stawką 10 proc.), z wejściem w życie od 4 lutego. Podniesienie cel na import z Chin o 10 punktów proc.

ników z Apalachów. Tymczasem koreański producent aut, który przeniósł swoją montownię ze Słowacji do Stanów, będzie nadal składać samochody z tysięcy podzespołów, wytwarzanych od Jeleniej Góry po Kuala Lumpur. Jeśli na nie również będą obowiązywać cła, biznes przestanie się spinać. Są już pierwsze wyliczenia, z których wynika, że nawet archetypicznie amerykańskie „muscle cars” wskutek cel nałożonych na podzespoły z importu podrożeją średnio o dwa tysiące dolarów. Statystyczny Amerykanin wymienia auto co cztery lata, może więc nie zauważyć w swoich wydatkach motoryzacyjnych drugiej kadencji Donalda Trumpa. W lodówce nie może mu jednak zabraknąć meksykańskiego awokado (większość warzyw i owoców USA importują zza swej południowej granicy). Diesel do paliwożernych pickupów też podrożeje bez wątpienia, kiedy Kanada nałoży cła odwetowe na ropę sprzedawaną do Stanów. Wielką Amerykę, którą Donald Trump obiecuje swoim wyborcom, za sprawą cel będzie więc stać na mniej niż dzisiaj – a przecież tania konsumpcja to jeden z filarów tradycyjnego amerykańskiego stylu życia.

©



Ten trzeci

MAREK KĘSKRAWIEC

OSTATNIE SONDAŻE ZAPOWIADAJĄ WYŚCIG O PREZYDENTURĘ aż do samego końca. Widać, że Karol Nawrocki jest w głębokim kryzysie i już tylko o centymetry (2 do 5 punktów proc.) wyprzedza Sławomira Mentzena. To nic dziwnego, jego kampania stała się zestawem powtarzalnych motywów skierowanych do twardego elektoratu, bez żadnej oferty dla politycznego centrum. W zamian Nawrocki serwuje „konfederacką” antyukraińskość oraz bajki o dalszym obniżaniu podatków, co totalnie kłóci się z polityką transferów społecznych w epoce PiS. Wyborcy nie są jednak głupi i potrafią odróżnić oryginał od podróbki. Niezbyt wierzę, by ostatecznie doszło do mijanki Mentzena z Nawrockim, ale potencjał dla powyborczych przetasowań w PiS mamy już na bank.

Rafał Trzaskowski (33-35 proc. w ostatnich badaniach) nie ma jednak powodów do nadmiernej radości, bo na dwóch głównych kandydatów prawicy chce głosować nawet 44 proc. wyborców (CBOS), co jasno mówi o ideowym przesunięciu społeczeństwa w obecnych niespokojnych czasach. Kandydat KO może co prawda liczyć w drugiej turze na elektorat Szymona Hołowni i Magdaleny Biejat, ale na dziś to grubo poniżej 10 proc. Zwłaszcza poparcie dla marszałka Sejmu to prawdziwa tragedia, wieszcząca koniec projektu Trzeciej Drogi, najpóźniej na jesiennym kongresie ludowców.

Jeśli rozpad TD zbiegnie się z dalszym spadkiem notowań rządu, możemy się liczyć z usunięciem Władysława Kosiniaka-Kamysza z funkcji prezesa PSL.

I ciążeniem nowej ekipy w stronę Konfederacji – obu ugrupowań nie dzieli przecież fundamentalne różnice. A jest jeszcze spora frakcja w PiS, która po ewentualnej klęsce Nawrockiego zakończy swą wspólną drogę z Jarosławem Kaczyńskim.

Porażka kandydata PiS nie jest przesądzona, być może pod koniec wymyśli on coś bardziej spektakularnego, a nawet przekona do siebie część wyborców Konfederacji (co wcale nie jest pewne, bo dla wielu fanów Mentzena PiS i jego „obywatelski” kandydat to obciach). Na pewno na ostatniej prostej układ sił zmieni też trochę „happening” Krzysztofa Stanisławskiego; jego ofensywa zapewni nam więc jeszcze bardziej fascynujący koniec.

Ostatni wniosek z sondaży. W roli trzeciej siły umocniła się trwale Konfederacja, a niksące poparcie dla lewicy i ugrupowań tworzących TD może oznaczać, że za 2,5 roku znikną też z Sejmu. ©P



Neosędziowie i LGBTQ+

PIOTR ŚMIŁOWICZ

IZBA CYWILNA SĄDU NAJWYŻSZEGO wydała bardzo ważne orzeczenie dla osób transpłciowych: nie muszą już pozywać swych rodziców, by zmienić płeć w dokumentach. Choć sprawa tzw. uzgodnienia płci nie jest jednoznacznie uregulowana w polskim prawie, dotąd praktyka skarżenia rodziców utrwaliła się jako jedyna skuteczna droga. Jeśli ktoś uważał, że płeć wpisana w akcie urodzenia jest inna niż odczuwana, pozywał rodziców za określenie niewłaściwej. Po orzeczeniu SN oczywiście nadal nie ma nowej regulacji, ale jest przynajmniej wskazówka dla sądów, że można szukać także innych dróg prawnych.

Sprawa ta jest jednak ciekawa także z dwóch innych powodów. Po pierwsze, orzeczenie zapadło na wniosek Zbigniewa Ziobry, który złożył go, gdy był jeszcze ministrem oraz prokuratorem generalnym, i chciał raczej utrudnić zmianę płci, niż ją ułatwić. Drugim powodem jest fakt, że w wydaniu orzeczenia wzięło udział kilku tzw. neosędziów, z I prezes SN Małgorzatą Manowską na czele. Stawia to w trudnym położeniu obecnego ministra sprawiedliwości Adama Bodnara (który zresztą wycofał wniosek swojego poprzed-

nika z SN, tyle że sąd go nie uwzględnił). Jeśli zignoruje decyzję SN, to narazi interes części elektoratu obecnej koalicji, którą stanowią osoby LGBTQ+ i ich sympatycy. Z kolei zaakceptowanie orzeczenia oznacza wyłom w izolacji politycznej „neosędziów” i nieuznawaniu ich decyzji.

Myślę, że Adam Bodnar może całą sprawę wykorzystać w swym sporze z najbardziej radykalnymi środowiskami sędziowskimi domagającymi się cofnięcia nominacji 3 tys. neosędziów (oczywiście dopiero po zmianie prezydenta). Jego wyrazem jest także kuriozalne przedstawienie przez resort sprawiedliwości dwóch konkurencyjnych projektów ustaw w tej sprawie.

Orzeczenie może Bodnarowi posłużyć do złożenia jednoznacznej deklaracji, że o ile status „neosędziów” będzie podlegać weryfikacji, o tyle zapadłe z ich udziałem wyroki powinny zostać w interesie obywateli uznane za wiążące. Miałoby to znaczenie w ustabilizowaniu sytuacji politycznej, także w kontekście uznania ważności wyborów prezydenckich przez składającą się z „neosędziów” Izbę Kontroli Nadzwyczajnej SN. Czy minister się na to zdecyduje? ©P

Ogólnopolski Dzień Widoczności Osób Transpłciowych.
Poznań, 13 kwietnia 2024 r.



NA PUNKTY

BEZ IMMUNITETU

Posel Dariusz Matecki trafił na dwa miesiące do aresztu: politykowi PiS oskarżanemu przez prokuraturę m.in. o ustawianie konkursów i wyłudzenie pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości grozi do 10 lat więzienia. Matecki zrzekł się immunitetu, podczas happeningu na sali sejmowej własnoręcznie zakuwając się w kajdanki.

BEZ TELEFONU

Immunitety stracili też posłowie Jarosław Kaczyński (oskarżony przez europosła Brejzę o zniesławienie) i Mariusz Błaszczak (podczas ostatniej kampanii wyborczej ujawnił tajny dokument, z którego wynikało, że w razie rosyjskiej inwazji linią obrony ma być Wisła). Sejmowa debata w tej drugiej sprawie została utajniona: posłowie nie mogli wносить na salę obrad nawet telefonów i smartwatchy.

BEZ WSTYDU

„Rzeczpospolita” donosi o praktykach zatrudniania w Narodowym Instytucie Kultury i Dziedzictwa Wsi. Stworzona niegdyś przez PiS placówka po zmianie władzy stała się folwarkiem PSL – a jeden z młodych polityków tej partii zorganizował tam nawet osiemnaste urodziny. ©P



Krwawy weekend w Syrii

WOJCIECH JAGIELSKI

PONAD TYSIĄC OSÓB ZGINĘŁO W OSTATNICH dniach w walkach i pogromach, jakie wybuchły w syryjskich prowincjach Latakia i Tartus. Ofiarami przemocy są głównie mieszkający tam alawici, a ich prześladowcami są sunniccy dżihadysty, którzy w grudniu 2024 r. obalili rządzącą w Damaszku przez pół wieku dynastię Asadów, ojca Hafeza i jego syna Baszara.

Alawici, stanowiący dziesiątą część 25-milionowej ludności Syrii, byli politycznym zapleczem i beneficjentami tyranii Asadów, a podczas wojny domowej, która wybuchła w 2011 r., walczyli w armii Baszara. Służąc w jego tajnej policji, wielu dopuściło się także zbrodni na sunnickiej ludności cywilnej.

Wcześniej pierwsze sto dni po upadku Baszara al-Asada i jego ucieczce do Moskwy minęły w Syrii dość spokojnie. Niedawny emir dżihadystów, Ahmad asz-Szaraa (na zdjęciu), ogłosił się prezydentem i zapowiedział, że nowa Syria będzie zgodnym domem dla sunnitów, szyitów, alawitów, druzów i chrześcijan.

Walki wybuchły w czwartek 6 marca niedaleko miasteczka Dżebła, gdy zwol-

nieni z wojska i policji alawici, skrzyknięci przez byłego asadowskiego generała Ghaitha Sulejmana Dallaha w partyzantkę (jej liczebność szacuje się na 5 tys. ludzi), wznicieli powstanie w górzystej i zalesionej Latakii. W kilka dni zginęło ok. 300 żołnierzy i partyzantów.

Pogromy alawitów zaczęły się natomiast, gdy na pomoc zaatakowanemu towarzyszom z nowego rządowego wojska przybyli dżihadysty – ci z nierozwiązanych wciąż partyzanckich wojsk. W odwetowych mordach zginęło ok. 750 cywilów, spalono wiele alawickich wiosek.

Walki i pogromy w Latakii i Tartusie są najkrwawszymi i najbardziej masakrającymi od 2013 r., gdy na jednym z przedmieść Damaszku armia Asada przy pomocy trujących gazów zabiła prawie 1,5 tys. ludzi.

Ahmad asz-Szaraa zapowiada, że winni buntu i pogromów poniosą karę, a „Syria przetrwa tę nieuchronną próbę”. Pesymiści wieszczą jednak krajowi nowe kłopoty (w Latakii i Tartusie Rosjanie wciąż mają wojenne bazy i chcą je zachować, a wielu generałów Asada schroniło się w Moskwie). A nawet nową wojnę. ©P



AFP / EAST NEWS



Czy powstanie komisja ds. pedofilii?

ARTUR SPORNIAK

ZAPOWIADANA PRZEZ EPISKOPAT od dwóch lat komisja niezależnych ekspertów do zbadania wykorzystania seksualnego małoletnich w Kościele katolickim ma, jak się okazuje, silnych przeciwników wśród biskupów. Do mediów wyciekła opinia Rady Prawnej Episkopatu, która negatywnie opiniuje „Zasady działania” projektowanej komisji, opracowane przez zespół delegata KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży abp. Wojciecha Polaka. Rada

zaleca biskupom wycofanie się z projektu. Jak wykazał na łamach „Więzi” Zbigniew Nosowski, za akcją torpedowania komisji stoi sam przewodniczący episkopatu abp Tadeusz Wojda (który na swoich imieninach 28 października 2024 r. rozmawiał o komisji m.in. z przewodniczącym Rady Prawnej bp. Ryszardem Kasyną). Co zarzuca Rada projektowi „Zasad”?

Argumenty nie są merytoryczne. Rada nie wykazuje nie-

zgodności „Zasad” z prawem kanonicznym. Wskazał na to jeden z autorów projektu „Zasad”, profesor UW Michał Królikowski, pisząc na łamach „Więzi”, że Rada nie rozumie, na czym polega weryfikacja zeznań osób pokrzywdzonych, a głównie obawia się tego, że Komisja będzie mogła przesłuchiwać biskupów i oceniać ich sposób postępowania, co może posłużyć do pozwów cywilnych.

„Tygodnik” dotarł do tekstu „Zasad”. Okazuje się, że Rada nie tylko jest niekompetentna, ale także niechlujna, bo krytykuje fragment, którego nie ma w tekście rozesłanym biskupom (art. II, ust. 3, punkt 1), a dotyczący właśnie oceny działań przełożonych kościelnych. Jak się dowiedzieliśmy, ustęp 3. został usunięty w trakcie jeściennych negocjacji z przedstawicielami Rady Prawnej.

Ten brak merytoryczności i niechlujstwo świadczą o tym, że przeciwnikom komisji wcale nie chodzi o rzeczową dyskusję. Spór będzie miał ciąg dalszy podczas najbliższego marcowego zebrania KEP w Warszawie. ©P



FABIO CIMAGLIA / ZUMA PRESS / FORUM

Modlitwy za papieża Franciszka pod kliniką Gemelli. Rzym, 9 marca 2025 r.

Chory papież. I co dalej?

SUKCESJA ■ Po dwudziestu dniach pobytu Franciszka w szpitalu powiało lekkim optymizmem. W najnowszym komunikacie medycznym lekarze informują, że organizm papieża dobrze reaguje na terapię, wyniki badań powoli się poprawiają, a ataki skurczów oskrzelowych zdarzają się coraz rzadziej. Wbrew pogłoskom papież nie został podłączony do respiratora, czego dowodem było kilkunastosekundowe nagranie jego słów, z podziękowaniem za modlitwę, odtworzone w ubiegły czwartek wiernym zebrany na placu św. Piotra. Rokowania są jednak nadal niepewne, a szansa, że Franciszek będzie mógł funkcjonować bez stałego podawania tlenu – niewielka.

Kanoniści (a za nimi dziennikarze) coraz częściej i głośniejszą mówią o potrzebie jak najszybszej zmiany przepisów o wyborze papieża. Franciszek dotąd nie kwapił się z ich nowelizacją. Konstytucja „Universi Dominici Gregis” Jana Pawła II z 1996 r., lekko zmodyfikowana przez Benedykta XVI, opisuje procedury, jakie należy wdrożyć w przypadku śmierci czy abdykacji papieża, choć tej drugiej sytuacji nie precyzuje, odsyłając do Kodeksu Prawa Kanonicznego (a ten mówi jedynie, że rezygnacja ma być dobrowolna, publicznie ogłoszona i „nie wymaga zaś niczyjego przyjęcia” – kanon 332, § 2). Nie wiadomo więc, jak powinien przebiegać proces zrzeczenia się

urzędu – czy decyzja ma być złożona na piśmie, czy też wystarczy, że papież przekaze ją komuś ustnie (np. sekretarzowi stanu) do publicznego ogłoszenia. Przepisy nie mówią też nic o statusie papieża po abdykacji. Benedykt XVI poinformował o swej rezygnacji kardynałów na konsystorzu i został papieżem-emerytem. Ale nie jest to wciąż normą prawną.

Jeszcze więcej wątpliwości budzi tzw. rezygnacja warunkowa, składana przez papieża na wypadek braku możliwości pełnienia funkcji (np. nieodwracalnej utraty świadomości). Franciszek przyznał, że taki dokument podpisał, podobnie jak Pius XII, Paweł VI czy Jan Paweł II. Jednak przepisy nic o takiej formie abdykacji nie mówią i nigdy dotąd do niej nie doszło – nie wiadomo więc kto, kiedy i w jakiej formie miałby ją ogłaszać.

Można więc powiedzieć, że w świetle obowiązującego prawa wciąż najlepszym – czyli najprecyzyjniej ujętym w przepisy – sposobem odejścia papieża z urzędu jest jego śmierć. Franciszek mógłby to zmienić – nie tylko własnym przykładem, ale przede wszystkim nową konstytucją. Być może będzie miał jeszcze ku temu okazję, bo wiele wskazuje, że realny staje się czwarty scenariusz: papież nie umiera, nie abdykuje ani nie traci urzędu, ale rządzi Kościołem z łóżka – szpitalnego lub domowego.

© P EDWARD AUGUSTYN

Dzieci w internecie bez naszej ochrony

BEZPIECZEŃSTWO ■ Dzięki temu raportowi nikt już nie powie, że „nie ma dzieci w mediach społecznościowych” – podkreśla w rozmowie z „Tygodnikiem” Magdalena Bigaj, prezeska fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa i współautorka dokumentu „Internet dzieci. Raport z monitoringu obecności dzieci i młodzieży w internecie”. To pierwsze w Polsce tak kompleksowe badanie aktywności najmłodszych użytkowników internetu (w wieku 7–12 lat), przygotowane przez ICO, Państwową Komisję ds. Przeciwdziałania Pedofilii oraz firmy Gemius i Polskie Badania Internetu. Wyniki – dotyczące nie tylko korzystania przez dzieci z mediów społecznościowych, ale też czasu spędzanego przed ekranem czy dostępu do pornografii – są alarmujące.

Choć zgodnie z regulaminami media społecznościowe – serwisy i komunikatory – są dozwolone od trzynastego roku życia, korzysta z nich aż 1,4 mln dzieci w wieku 7–12 lat (nie licząc YouTube’a, dozwolonego dla dzieci pod nadzorem rodziców). To ponad połowa tej grupy wiekowej – wszystkich dzieci w tym wieku jest bowiem w Polsce 2,4 mln. Pomiędzy komunikatory, z przynajmniej jednego serwisu społecznościowego korzysta ponad 900 tys. dzieci w wieku 7–12 lat (prawie 40 proc. dzieci w tym wieku), w tym ok. 760 tys. używa TikToka, 580 tys. Facebooka i 290 tys. Instagrama. Co trzecie dziecko poniżej 13. roku życia korzysta z TikToka i spędza na tej platformie średnio dwie godziny jedenaście minut dziennie.

Zgodnie z danymi podawanymi przez te serwisy, użytkowników poniżej 13. roku życia jest natomiast... zero. Jak to możliwe? Aby założyć konto, wystarczy podać nieprawdziwy wiek. Platformy nie weryfikują tego w żaden sposób. Dokładnie tak samo – i z podobnym skutkiem – działają serwisy erotyczne i pornograficzne. Aby na nie wejść, wystarczy zadeklarować pełnoletność. W efekcie z takich serwisów korzysta co drugi niepełnoletni internauta, w tym 805 tys. osób w wieku 15–18 lat i 1,4 mln dzieci w wieku 7–14 lat.

Wśród wieńczących raport rekomendacji – stanowiących „wołanie o odpowiedzialność” dorosłych, nie tylko rodziców – znajduje się więc m.in. wprowadzenie skutecznych metod weryfikacji wieku, budowanie świadomości społecznej i edukacja wszystkich grup wiekowych. – Jednym z głównych wyzwań w ochronie małoletnich w sieci jest edukacja dorosłych – zauważa Magdalena Bigaj. Chodzi o rodziców, ale też m.in. nauczycieli, bo często to właśnie oni proponują dzieciom – również tym, które nie skończyły jeszcze trzynastu lat – tworzenie klasowych grup na komunikatorach, a zatem zakładanie kont wbrew regulaminom.

© ANNA GOLUS

Szukaj, korzystaj, wycofaj się. Jak mózg steruje zachowaniem

NEUROBIOLOGIA ■ Jedną z zalet posiadania układu nerwowego jest możliwość realizowania złożonych zachowań – np. eksploracji, walki o zasoby, poszukiwania pożywienia czy partnerów – oraz dostosowania zachowania do warunków otoczenia. W układzie nerwowym każdego zwierzęcia istnieją sieci neuronów, które na podstawie sygnałów napływających ze zmysłów i ciała sterują zachowaniem osobnika.

Te sieci muszą np. decydować o tym, czy zwierzę odda się eksploracji, by zwiększyć wiedzę o otoczeniu i lepiej planować przyszłe zachowania, czy raczej eksploatacji znanych zasobów, co minimalizuje ryzyko wpadnięcia w tarapaty, ale ogra-

nicza szanse na potencjalnie większe korzyści. Inną alternatywną strategią jest rezygnacja z działania. Nie da ona zysków, ale zapewni bezpieczeństwo i pozwoli oszczędzić energię.

O tym, w jaki sposób sieci mózgowe zwierząt rozstrzygają pomiędzy tymi alternatywnymi strategiami, nie wiedzieliśmy niemal niczego. Zmieniło się to dzięki badaniom Mehrana Ahmadelou z University College London i współpracowników (w tym polskiej neurobiolożki Julii Dziubek), opisanym w „Nature”.

Wykorzystując całą gamę metod śledzenia aktywności neuronów, badacze zidentyfikowali obszar w mózgu myszy – tzw. jądro szwu pośrodkowe (MRN) – który działa jak stacja przełącznikowa między tymi trzema strategiami zachowania. Odkryli także w tej strukturze trzy grupy neuronów, komunikujące się przy pomocy odmiennych neuroprzekazników, które angażują się w konkretną strategię zachowania. A po genetycznym zmodyfikowaniu myszy badacze byli w stanie przy użyciu światła lasera aktywować lub wyciszać konkretny typ neuronów, co skutkowało zmianą zachowania myszy: oddawania się przez nie eksploracji, powtarzania znanego zachowania lub wycofania się.



NATALI SHUVALOVA / ALAMY / B&W

Badacze spodziewają się, że te odkrycia w mysim mózgu przyczynią się do lepszego zrozumienia zjawisk psychicznych u ludzi. Przede wszystkim neurobiologicznego podłoża depresji, której jednym z objawów jest wycofanie się, powiązane z brakiem poczucia motywacji do podejmowania aktywności, czy podłoża zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych, opierających się na uporczywym powtarzaniu tych samych czynności.

© P ŁUKASZ KWIATEK

Duńska poczta nie dostarczy już listów

USŁUGI ■ Ostatnie listy przyjdą 30 grudnia. Ale już od połowy roku duński państwowy operator PostNord przystąpi do likwidacji 1500 czerwonych skrzynek i zwolnienia tyluż pracowników. Pracę zachowa 700 osób, przeniesionych do działu paczek. Od 2025 r. trzeba będzie korzystać z usług firm kurierskich, a o doręczaniu poczty międzynarodowej zdecyduje przetarg.

Rezygnację z usługi dostarczania listów wymusiły – tłumaczy kierownictwo poczty – zmiany zachowań konsumentów. Na początku wieku liczba wysyłanych listów sięgała 1,4 miliarda, w ostatnim roku spadła do 110 milionów. Drugą przyczyną to zmiana prawa: ustawa pocztowa z zeszłego roku otworzyła rynek listów na konkurencję, wprowadziła VAT na przesyłki, zdjęła z PostNord obowiązek dostarczania poczty na terenie całej Danii oraz odebrała jej dotacje. Koszt wysłania listu sięgnął 29 koron (ok. 16 zł).

Dla Duńczyków, szczególnie tych mniej obecnych w rzeczywistości cyfrowej, decyzja rządu ma wymiar symboliczny. 400 lat temu, w 1624 r., król Chrystian IV wydał dekrety tworzące strukturę państwowej poczty. Złośliwi podkreślają jednak, że tak wtedy, jak i dziś, list podróżuje do adresata przez pięć dni. Wielbicieli tradycji PostNord pociesza, że zostanie utrzymany zwyczaj drukowania świątecznych znaczków.

Tymczasem media donoszą, że przed podobnymi dylematami stoją Deutsche Post i Royal Mail. © MACIEJ MÜLLER

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.



DAMY RADĘ BEZ TRUMPA

Teza, że nie mając wsparcia USA, Europejczycy byliby bezbronni wobec Rosji, jest nieprawdziwa. Jakie atuty ma Europa? Jak uczynić ją znów silną? I dlaczego Trump coraz bardziej otwarcie pokazuje, że chce wypowiedzieć nam sojusz?

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI



STANY ZJEDNOCZONE ODCINAJĄ UKRAINĘ od pomocy wojskowej. Prezydent USA zapowiada, że jeśli kraje NATO nie będą płacić dość dużo, nie będzie ich bronić. Donald Trump otwarcie chce „resetu” z Moskwą. Premier Tusk mówi w Sejmie, że „Rosja gromadzi siły do pełnoskalowej inwazji nie tylko w Ukrainie, ale też przeciw komuś wyraźnie większemu”, i że każdy dorosły Polak powinien odbyć szkolenie wojskowe.

To informacje z zaledwie jednego, ostatniego tygodnia.

Wyścig z czasem

Jesteśmy dziś świadkami geopolitycznych wstrząsów. Kruszą się sojusze, które dotąd uważaliśmy za fundament naszego bezpieczeństwa. To może budzić strach.



SEAN GALLUP / GETTY IMAGES

Mimo to nie wolno nam tracić z oczu Ukrainy, która miała się bronić trzy dni, tymczasem rosyjską inwazję odpięra już trzy lata i nic nie zapowiada, by zamierzała – nawet pod naciskami amerykańskiego prezydenta – skapitulować na warunkach Moskwy.

Trwa więc wyścig z czasem i to Ukraina, płacąc najwyższą cenę, ten czas nam teraz kupuje, abyśmy się mogli uzbroić, skutecznie odstraszać Rosję i przygotować na ewentualną konfrontację.

„My” to w tym kontekście nie tylko Polska. Europa, uważana przez tak wielu za miażdżącą i bezzębną, w ostatnich dniach pokazuje gotowość przeciwstawienia się Kremlowi. Ma przy tym potężne narzędzia, z którymi nawet Waszyngton musi się liczyć. Transatlantycki rozwód, gdyby miało do niego dojść, zabiłoby także Amerykę.

Do dziewięciu miesięcy?

Jedno z kluczowych dziś pytań brzmi: jak długo Ukraina da radę się bronić bez pomocy USA. Były szef dyplomacji w Kijowie, Dmytro Kułeba, powiedział, że jego kraj ma zapasy na pół roku. Polscy i ukraińscy eksperci, z którymi rozmawialiśmy, szacują ten czas na pięć do dziewięciu miesięcy, zanim – jak ujął to jeden z nich – „linia frontu zacznie się łamać, a Rosjanie podejmą ofensywę, której dotąd nie byli w stanie skutecznie przeprowadzić”.

Warto pamiętać, że Ukraina już raz przez blisko pół roku była odcięta od pomocy z USA, gdy od późnej jesieni 2023 r. aż do kwietnia 2024 r. ciągnęły się negocjacje między administracją Joeego Bidena a Izbą Reprezentantów; zachęceni przez Trumpa Republikanie, którzy już wtedy mieli w niej większość, blokowali uchwalenie przez parlament federalny USA pieniędzy na dalszą pomoc.

Co więcej, pakiety pomocowe USA – te przyjęte jeszcze przez administrację Bidena, bo administracja Trumpa nie podjęła decyzji o nowych – i tak wkrótce miały się skończyć. Władze w Kijowie liczyły się więc z kolejną przerwą i gromadziły zapasy. Tyle że magazyny nie są bez dna, a sami Europejczycy nie

Żołnierze z brytyjsko-niemieckiego batalionu inżynieryjnego forsują Wisłę pod Gniewem podczas międzynarodowych ćwiczeń „Dragon 24”. 6 marca 2024 r.

będą w stanie ich zapłacić tak, by zrekompensować to, co dotąd dostarczali Amerykanie.

Cenę zapłacą cywile

Szacuje się, że do tej pory Ukraińcy mniej więcej w jednej trzeciej polegali na pomocy wojskowej z USA, a w jednej trzeciej na tym, co dostarczała Europa. Resztę zaś produkowali sami i – co warto podkreślić, za raportem Ośrodka Studiów Wschodnich – w trzy lata odbudowali przemysł zbrojeniowy, poważnie zniszczony na początku inwazji.

Drony, których stali się jednym z największych producentów na świecie (200 tys. sztuk miesięcznie), są dla Ukrainy kluczowym narzędziem prowadzenia wojny: odpowiadają za ponad 60 proc. zniszczeń rosyjskiego sprzętu. Ukraińcy coraz lepiej radzą też sobie z produkcją pocisków artyleryjskich i moździerzowych (2,5 mln sztuk w 2024 r., tj. czternaście razy więcej niż przed inwazją). To jednak wciąż mało.

Europa będzie mieć problem z wypełnieniem luki po Stanach w zakresie opancerzonych pojazdów bojowych, haubic czy precyzyjnej amunicji, bo od lutego 2022 r. opróżniła własne magazyny, a nowego sprzętu nie wyprodukowała. „Nie ma sensu grzebać w szafce, która już została do czysta wyskrobana” – tak to opisał w rozmowie z tygodnikiem „Economist” Tom Waldwyn z Międzynarodowego Instytutu Studiów Strategicznych.

Równie poważnym wyzwaniem jest to, że nie da się zastąpić niektórych amerykańskich systemów ich europejskimi odpowiednikami, bo te nie istnieją. – Tu największy problem dotyczy obrony powietrznej i niektórych typów amunicji dalekiego zasięgu – mówi nam komandor porucznik rezerwy Maksymilian Dura, ekspert portalu Defence24.

Wymienia się zwłaszcza systemy Patriot i pociski do nich. Wyrwą w obrobie może stać się też brak dostępu do danych wywiadu radioelektronicznego, niezbędnego np. do wykrywania ataków bomb szybujących. Jakie mogą być tego skutki? – Najbardziej odczuwalne będą nie tyle na froncie, co w ukraińskich miastach i najwyższą cenę zapłacą cywile, bo to na takich systemach opiera się ochrona przeciwlotnicza – twierdzi kmdr Dura.

Czynnik czasu

→ Czas działa na niekorzyść Ukraińców, ale również Rosjan. Bez względu na to, jaką ekwilibrystykę wykonują ekonomiści w Moskwie, wskazując wzrost PKB na poziomie 3,5 proc. (wyższy od średniej światowej), to gospodarka Rosji jest przegrzana i nie zrównoważona.

O tym, jak bardzo cisną ją sankcje, świadczy choćby to, że ich zniesienie było pierwszym, o co prosili Rosjanie podczas rozmów z wysłannikami USA w Rijadzie. Jednocześnie wojna w Ukrainie staje się dla Rosji coraz droższa. W tym roku wydatki na budżet obronny podniesiono o blisko 3 bln rubli (33 mld dolarów), do 6,7 proc. jej PKB.

Do tego także Rosja ma problemy z uzbrojeniem. Jeden z naszych rozmówców określił to obrazowo: – Tu nie ma filozofii, jest czysta matematyka.

To znaczy? – Przed inwazją o sile Rosji stanowił jej sprzęt w magazynach – tłumaczy ekspert (prosił o anonimowość). – Tyle że Ukraińcy przez trzy lata znaczną część tego sprzętu zezłomowali na polu walki. Rosyjskie magazyny są prawie puste. Rosja wprawdzie produkuje m.in. nowe czołgi i twierdzi, że nawet tyśiąc sztuk rocznie, ale w rzeczywistości udaje jej się wyprodukować niewiele ponad połowę z tego. A Ukraińcy i tak całą tę roczną produkcję złomują w czterech miesiącach.

– Z dokładnością takich szacunków można dyskutować, bo nie mamy precyzyjnych danych, ale z grubsza tak to wygląda. Problem jednak w tym, że gdy Rosji zabrakło artylerii dalekiego zasięgu, kupiła ją w Korei Północnej. Najpewniej, gdy zabraknie czołgów czy innego sprzętu, kupią go albo dostaną z Pjongjangu – mówi nam z kolei Mariusz Cielma, redaktor naczelny „Nowej Techniki Wojskowej”.

„Deal”, którego nie było

Na początku lutego – tj. na miesiąc przed tym, jak Trump odciął Kijów do pomocy – agencja Reuters informowała, że Biały Dom naciska sojuszników z Europy, by złożyli w USA zamówienia na broń dla Ukrainy. W związku z tym w europejskich stolicach omawiano ponoć plan przeznaczenia na ten cel w ciągu czterech lat 200 mld dolarów.

Jak się wydawało, ten „deal” pozwoliłby upiec wiele pieczeni na jednym

ReArm Europe

UNIJNY PLAN zakłada mobilizację do 800 mld euro. Fundusze mają pochodzić z krajowych budżetów oraz z nowego mechanizmu umożliwiającego wspólne zadłużanie się.

JĘŚLI państwa Unii Europejskiej zwiększą wydatki obronne o 1,5 proc. PKB, stworzy to przestrzeń fiskalną o wartości blisko 650 mld euro w ciągu czterech lat. Dodatkowo, nowy instrument finansowy ma pozyskać 150 mld euro poprzez emisję obligacji i udzielanie pożyczek.

MODEL TEN przypomina mechanizm SURE stosowany podczas pandemii, jednak środki będą przyznawane jako pożyczki, a nie dotacje, co umożliwi szybkie finansowanie kluczowych projektów obronnych.

BRUKSELA jednocześnie aktywuje tzw. klauzulę ucieczkową z Paktu Stabilności i Wzrostu, umożliwiającą państwom członkowskim omijanie restrykcyjnych limitów deficytu i zadłużenia. © AK, WB

Uczyńmy Europę znowu silną

„Nie jest naszym zadaniem recenzować, dla samej satysfakcji i retoryki, polityki naszego największego sojusznika. Naszym zadaniem jest wyciągać wnioski dla naszego bezpieczeństwa z tych posunięć i z tej zmiany” – mówił w piątek 7 marca w Sejmie premier Donald Tusk.

Dzień wcześniej przywódcy Unii Europejskiej zatwierdzili plan „ReArm Europe”, odbudowy zdolności obronnych Europy. Zakłada on uwolnienie 800 mld euro, które państwa członkowskie mogą przeznaczyć na inwestycje w obronność [patrz ramka – red.].

Wydawać by się mogło, że taki plan spotka się z pozytywnym odbiorem ze strony Donalda Trumpa. Ten przecież w przeszłości wielokrotnie powtarzał, że Europa musi wydawać więcej na własną obronę, i że musi wziąć większą odpowiedzialność za pomoc Ukrainie. Ale zamiast tego prezydent USA stwierdził, że działania Europy „mogą doprowadzić do III wojny światowej”.

Zwodnicza analogia

Czego więc chce Donald Trump? On sam twierdzi, że pokoju w Ukrainie. W jaki dokładnie sposób chce ten cel osiągnąć i jakim kosztem, można tylko spekulować.

Historyczne analogie bywają pomocne. Jednak pojawiające się w przestrzeni publicznej nazywanie strategii Trumpa „odwrotnym Kissingerem” to nieporozumienie. W 1971 r. szef dyplomacji USA doprowadził do wizyty prezydenta Richarda Nixona w Pekinie, co zakończyło ponad 20-letnią izolację komunistycznych Chin w świecie.

Zmieniło to także globalny układ sił: obawiając się sojuszu Waszyngton-Pekin, Sowieci musieli przerzucić część wojsk na granicę z Chinami, co osłabiło ich potencjał w Europie i doprowadziło do złagodzenia stanowiska wobec Zachodu, otwierając potem drzwi do negocjacji traktatów rozbrojeniowych.

Dziś część analityków twierdzi, że celem Trumpa jest rozbicie sojuszu Pekin-Moskwa bo chce mieć Rosjan po swojej stronie w konfrontacji z Chinami. I że tym można tłumaczyć fakt, że jak na tacy serwuje Rosjanom ukraińską suwerenność.

– Wbicie klina między Pekin a Moskwę to mrzonka przede wszystkim dla

ogniu: zapewniłby broń Ukrainie, zaspo-koił żądanie prezydenta USA, by Europa mocniej angażowała się w pomoc, oraz od ręki eliminowałby część deficytu handlowego między USA a UE (na co naciska Trump).

Specjalny wysłannik Białego Domu ds. Ukrainy i Rosji, gen. Keith Kellogg, sygnalizował, że temat ten będzie omawiany podczas Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium. Tej samej, na której wiceprezydent J.D. Vance zrugął Europejczyków za rzekome odejście od wspólnych wartości. Nie wiadomo jednak, czy oferta w ogóle wylądowała na stole.

Później zaś sprawy toczyły się już błyskawicznie: najpierw próba wymuszenia drakońskiej, kolonialnej umowy surowcowej z Ukrainą (bez dania jej gwarancji bezpieczeństwa), upokarzanie prezydenta Zełenskiego w Białym Domu, umiżgi Trumpa pod adresem „pragnącego pokoju” Putina, podważanie wiarygodności Europejczyków i NATO, wreszcie odcięcie Ukrainy od pomocy USA.



NURPHOTO / GETTY IMAGES

Premier Donald Tusk wśród polskich żołnierzy, którzy stacjonują przy granicy z rosyjskim obwodem kaliningradzkim koło wsi Dąbrówka, na północ od Węgorzewa. 30 listopada 2024 r.

tego, że Rosja nie jest zainteresowana żadnym ścisłym sojuszem ze światem Zachodu – mówi nam dr Łukasz Tolak, ekspert ds. bezpieczeństwa międzynarodowego w Collegium Civitas.

– Moskwa chce zachować autonomię w układzie międzynarodowym, nawet jeśli rozumie, że 140 mln Rosjan nie stanowi żadnej konkurencji dla Chin ani dla USA. Drugim jej celem jest uzyskanie od Amerykanów dostępu do technologii, które umożliwią jej modernizację sił zbrojnych – uważa Łukasz Tolak.

Odwrótnie niż Reagan

O intencjach rosyjskiego dyktatora doskonale świadczy fakt, że odłąd zadeklarował gotowość do rozmów pokojowych (o czym Trump przypomina właściwie codziennie), ludzie z jego bliskiego otoczenia mantrują (również codziennie), że „jakichkolwiek kompromisów” w sprawie Ukrainy nie będzie. Oraz że Rosja – jak ujął to już sam władarz Kremla – „choć wybiera opcję pokojową, nie zamierza poddać się nikomu”.

Jednocześnie od ogłoszenia przez prezydenta USA, że „Putin pragnie pokoju”, rosyjska armia nasiliła działania w Ukrainie. W nocy z 5 na 6 marca przeprowadziła jeden z największych w ostatnich miesiącach ataków powietrznych – zginęło 20 ukraińskich cywilów.

Inną analogią historyczną, przywoływaną nawet przez samego Trumpa, jest odniesienie do strategii „pokoju przez siłę” Ronalda Reagana, prezydenta USA z lat 1981-89. Zakładała ona, że USA muszą demonstrować siłę militarną i gospodarczą, odstraszać wrogów i wspierając

Zależność w drugą stronę

MILITARNIE nie tylko Europa jest uzależniona od USA – zależność ta działa również w drugą stronę. Sztokholmski Instytut Badań nad Pokojem wylicza, że w 2023 r. Amerykanie kupili w Europie uzbrojenie i sprzęt wojskowy za 567 mln dolarów.

– **USA** również używają europejskich systemów uzbrojenia. Na przykład lekkie 155-mm działo M777 używane przez amerykańską armię to konstrukcja brytyjskiego BAE Systems. Włoski konsern Leonardo wygrał przetarg na śmigłowiec szkolny dla marynarki wojennej i armii lądowej USA. Amerykańska przeciwpancerna amunicja czołgowa, ta ze rdzeniami ze zubożonego uranu, lata dzięki opracowanym w Niemczech ładunkom miotającym, a armaty do czołgów Abrams produkowane są na licencji niemieckiego koncernu Rheinmetall – wylicza ekspert Andrzej Kiński.

AMERYKANIE potrzebują też europejskiego know-how m.in. w kwestii budowy statków zdolnych do operowania w Arktyce. Trump chce wyposażać armię w 40 dużych lodotłamaczy, ale tamtejsze stocznie nie umieją ich zbudować, więc Waszyngton planował skorzystać tu z pomocy Finlandii ©AK, WB

sojuszników. Zaprocentowała już po tym, jak Reagana zastąpił George Bush senior: Związek Sowiecki i jego blok wschodni nie wytrzymały wyścigu zbrojeń z Zachodem.

„To, co robi Trump w sprawie Ukrainy, to dokładne przeciwieństwo strategii Reagana, bo każdym swoim działaniem wzmacnia Rosjan, a zamiast siły okazuje im słabość” – mówił niedawno w CNN John Bolton, doradca ds. bezpieczeństwa za pierwszej kadencji Trumpa. Z kolei senatorka Elissa Slotkin z Partii Demokratycznej stwierdziła, że cieszy się, iż to Reagan w latach 80. był u władzy, bo „Trump przegrałby zimną wojnę”.

Optyka „atomówek”

Najbardziej prawdopodobnym i logicznym wytłumaczeniem działań prezydenta USA jest to, iż uznał Europę za słabą i zwyczajnie do niczego mu niepotrzebną. Co innego Rosja. Ta ma doskonałe stosunki z Pekinem, ale też z Iranem i Koreą Północną, które USA uznają za zagrożenie. Do tego ma potencjał nuklearny: 5 tys. taktycznych głowic, z czego 1,5 tys. rozmieszczonych i gotowych do użycia (tak samo jak USA; Chiny mają ich „tylko” 600).

Wiele wskazuje, że to właśnie rosyjskie głowice jądrowe – a nie potencjał gospodarki czy jakieś szemrane układy biznesowe – otworzyły Kremlowi drogę do rozmów z Waszyngtonem.

– Amerykański prezydent nie chce nowego wyścigu zbrojeń. Zresztą już zadeklarował, że chciałby zmniejszenia o połowę nakładów na zbrojenia i planuje w tej sprawie rozmawiać zarówno z Rosją, jak i Chinami. Z jego biznesowego punktu widzenia wydawanie miliardów dolarów na utrzymanie broni nie ma sensu – mówi dr Łukasz Tolak.

Macron składa ofertę

Inni patrzą na to i wyciągają własne wnioski.

– Na miejscu Iranu w ogóle bym się nie zastanawiał nad budową broni atomowej, bo dziś tylko ona wydaje się gwarantem bezpieczeństwa przez atakiem z zewnątrz – mówi kmdr Maksymilian Dura.

Gorzko tę lekcję przerobiła Ukraina, która na początku lat 90. XX w. – zaraz po rozpadzie Związku Sowieckiego – miała na swoim terytorium trzeci co do wielkości arsenał nuklearny na świecie (2 tys. głowic), ale pozwoliła się rozbroić. ➔

→ Z obecnej sytuacji wnioski wyciągnęli też Europejczycy. Ponieważ brytyjski arsenał jądrowy opiera się na rakietach budowanych i serwisowanych w USA, w Europie tylko Francja ma niezależny nuklearny potencjał odstraszania. Prezydent Emmanuel Macron już zaoferował atomowe gwarancje europejskim sojusznikom. Donald Tusk przyznał, że Warszawa rozważa skorzystanie z tej oferty. „Czeka nas bardzo poważny wyścig i to jest wyścig o bezpieczeństwo, a nie wyścig do wojny” – mówił premier w Sejmie.

Takie działania są tym ważniejsze, że w 2026 r. wygasa traktat New START, który zobowiązywał USA i Rosję do ograniczenia liczby głowic nuklearnych i środków ich przenoszenia (Kreml zawiesił swój udział w 2023 r.).

– Kiedy ten traktat przestanie zupełnie obowiązywać, istnieje ryzyko, że strony zaczną szybko zwiększać arsenały strategiczne o następne dziesiątki i setki głowic gotowych do użycia – mówi dr Tolak.

Bez Amerykanów?

Oferta Macrona dotyka istotnego aspektu funkcjonowania Sojuszu – strategii nuklearnego odstraszania agresora. USA odgrywały w niej dotąd kluczową rolę. Jak będzie teraz, gdy Trump coraz bardziej otwarcie daje do zrozumienia, że nie czuje się związany słynnym artykułem piątym traktatu o NATO i unika odpowiedzi, czy broniłby krajów bałtyckich?

Na razie (a przynajmniej w czasie kończenia tego tekstu, w niedzielę 9 marca; realia zmieniają się szybko) poza kilkoma republikańskimi senatorami i Elonem Muskem nikt głośno nie mówi o wychodzeniu z NATO.

Z naszych informacji wynika jednak, że w europejskich stolicach trwają rozmowy o nowej wspólnej strategii obronnej dla naszego kontynentu. Już bez Amerykanów.

– Zbudowanie europejskiej armii można włożyć między bajki nie tylko z przyczyn logistycznych, ale także dlatego, że nikt nie ma zamiaru dawać Donaldowi Trumpowi pretekstu do wyjścia Stanów Zjednoczonych z NATO – mówi nam Jerzy Marek Nowakowski, dyrektor Akademickiego Centrum Analiz Strategicznych przy Akademii Sztuki Wojennej. – Nie chcemy konfrontacji ani rozbijania Sojuszu.

– Dużo bardziej prawdopodobne jest – uważa Nowakowski – wykorzystanie już istniejących struktur i procedur NATO, aby wzmocnić i zwiększyć samodzielność jego europejskiego filaru. To nie tylko pozwoliłoby na utrzymanie NATO, ale też spełniło żądania amerykańskiego prezydenta, by Europa wzięła odpowiedzialność za swoje bezpieczeństwo.

Wydatki na obronność

UNIA EUROPEJSKA

W 2024 r. wydatki na obronność państw wspólnoty sięgnęły 326 mld euro (353,9 mld dolarów), czyli średnio około 1,9 proc. unijnego PKB. W latach 2021–24 całkowite wydatki na ten cel wzrosły o ponad 30 proc.

STANY ZJEDNOCZONE

W 2024 r. budżet obronny USA wynosił 886 mld dolarów (819,9 mld euro). W tym roku wzrósł do 895 mld dolarów. W ustawie przyjętej przez Izbę Reprezentantów znalazło się też dodatkowe 300 mln pomocy dla Ukrainy.

ROSJA

Budżet militarny Rosji w 2024 r. wyniósł 10,4 bln rubli (113,1 mld euro, 122,4 mld dolarów). W 2025 r. został zatwierdzony do rekordowego poziomu 13,5 bln rubli, co stanowić będzie 6,2 proc. PKB Rosji. © AK, WB

Rozmowy w tej sprawie zostaną podjęte podczas planowanego na czerwiec szczytu Sojuszu w Hadze. O ile do niego w ogóle dojdzie. A jeśli nie dojdzie, to tym bardziej mogą być nieuniknione.

Pożegnanie z „outsourcingiem”

Temat stworzenia wspólnych europejskich sił zbrojnych od lat zamykało twierdzenie, że nie ma sensu dublować NATO. Europejczycy sądzili również, że dzięki silnemu sojuszowi z USA zawsze będą mogli kupować niezbędne uzbrojenie od

tego państwa, nie czuli więc szczególnej potrzeby, by rozbudowywać swoją zbrojeniówkę.

Szczególnie, że w kwestii zbrojeń Amerykanie mieli przewagę: Pentagon jest jeden, a Europa to 30 państw sojuszników, ich 30 armii oraz 30 zestawów priorytetów i wymagań.

– Inne interesy będzie miał szwedzki, inne hiszpański, a jeszcze inne polski pancerniak. Trudno je wyśrodkować i opracować wspólne wymagania sprzętowe – mówi Mariusz Cielma. Redaktor naczelny „Nowej Techniki Wojskowej” dodaje, że nawet jeśli w Europie podejmowano wspólne projekty, zwykle przynosiły marny efekt: – A inwestycje pojedynczych państw czy nawet niewielkich grup krajów wszystkiego załatwić nie mogły, stąd w Europie części rozwiązań nie opracowywano. Wygodniej było je kupić.

Szczególnie, że „w pakiecie” były gwarancje bezpieczeństwa USA, cenniejsze od rakiet, czołgów czy myśliwców. Tak postąpiła m.in. Finlandia, wybierając amerykańskie samoloty F-35 zamiast tańszych szwedzkich Gripenów.

Jednak ta filozofia „outsourcingu” w sferze bezpieczeństwa to dziś już przeszłość.

Czego potrzebuje Europa?

W piątek 7 marca, gdy premier Tusk wygłaszał w Sejmie informację o sytuacji międzynarodowej i ostrzegał przed zagrożeniem ze wschodu, Litewska Służba Bezpieczeństwa Państwowego opublikowała odtajnioną ocenę zagrożenia dla naszego regionu. Jej konkluzją jest to, że Rosja będzie mieć możliwości przeprowadzenia ograniczonej kampanii przeciw jednemu lub kilku krajom NATO w ciągu trzech do pięciu lat.

Europa – nawet bez wsparcia USA – może być na to gotowa. Ale musi zacząć działać już teraz.

Według szacunków brukselskiego think tanku Bruegel i Instytutu Gospodarki Światowej w Kilonii Europa, aby odpowiedzieć na zagrożenie z Rosji, potrzebuje 300 tys. dodatkowych żołnierzy, 1,4 tys. nowych czołgów i 2 tys. pojazdów opancerzonych. Wydatki na obronność, które obecnie wynoszą ok. 2 proc. PKB, powinny wzrosnąć do 3,5 proc. PKB, co oznacza dodatkowe 250 mld euro rocznie.

Stać nas na to. „Dodatkowe koszty stanowią zaledwie 1,5 proc. PKB Unii Europejskiej. To mniej niż zmobilizowano

podczas pandemii” – pisze prof. Guntram Wollf z Instytutu w Kilonii. Jednocześnie, jego zdaniem, wydatki – zamiast być obciążeniem – mogą stać się impulsem dla drżającej europejskiej gospodarki. Jednak pod warunkiem, że pieniądze zostaną wydane w Unii. Z wyliczeń Wolffa wynika, że zbrojenia – jeśli będą finansowane z pożyczek, a nie z podatków – mogłyby zwiększyć PKB Unii w skali od 0,9 do 1,5 proc.

Zasypanie niektórych braków wymaga jednak nie tylko wieloletnich wysiłków, ale będzie się też wiązać z dalszym uzależnieniem od USA. – Na zbudowanie na przykład europejskich samolotów nowej generacji potrzeba ok. 10 lat, więc w tym czasie wszyscy użytkownicy F-35 pozostaną od nich zależni. Tak samo dziś jest z systemem Patriot. Jego europejski odpowiednik SAMP/T co prawda istnieje, ale wymaga dopracowania i zwiększenia skali produkcji, a to także zajmie lata – mówi nam Andrzej Kiński, ekspert Zespołu Badań i Analiz Militarych.

Skutki „wyciągania wtyczki”

W 2024 r. sprzedaż amerykańskiej broni w świecie osiągnęła rekordowy poziom 318 mld dolarów – i ten zysk dla Ameryki był w znacznej mierze możliwy dzięki zamówieniom dla Ukrainy i od europejskich partnerów. Tyle że od początku 2025 r. akcje wszystkich koncernów zbrojeniowych w USA tracą na wartości. Natomiast ich europejscy rywale, po ogłoszeniu unijnych planów, notują wzrosty nawet o 40 procent.

Z ustaleń „Tygodnika” wynika, że w europejskich stolicach trwają rozmowy o nowej wspólnej strategii obronnej dla naszego kontynentu. Już bez Amerykanów.

szeniu unijnych planów, notują wzrosty nawet o 40 procent.

Z przecieków, które trafiają do amerykańskich mediów, wynika, że do Białego Domu już ruszają pielgrzymki biznesu zbrojeniowego, któremu rekordowe zamówienia z Europy mogą przejść koło nosa. A na tym nie koniec, bo w kilku europejskich stolicach coraz głośniej mówi się o odwołaniu lub renegocjacji wielomiliardowych kontraktów już podpisanych z Amerykanami.

Przyczyna jest oczywista. Skoro USA mogą dziś „wyciągnąć wtyczkę” Ukrainie i zdalnie ograniczyć zdolności amerykańskiego uzbrojenia używanego na froncie – a dotyczyć to ma wedle doniesień mediów wyrzutni HIMARS czy pocisków manewrujących – to Amerykanie dokładnie to samo mogą zrobić każdemu odbiorcy ich sprzętu.

W tej sytuacji naturalne jest, że europejscy politycy i wojskowi muszą się dziś zastanawiać, czy amerykański sojusznik

nie postąpi w podobny sposób, jeśli podczas konfliktu Rosja–Europa uzna, iż nie jest mu po drodze z Europejczykami.

Syrena alarmowa

Kryzys transatlantyckiego kręgu cywilizacyjno-kulturowego widoczny był dla każdego, kto miał odwagę patrzeć, a ład międzynarodowy od dawna po cichu się sypał. Po rosyjskiej agresji na Ukrainę rozbrzmiał dźwięk ostrzegania, ale tylko nieliczni w Europie rzeczywiście zwrócili na niego uwagę. Większość go zignorowała.

Dopiero powrót Donalda Trumpa do Białego Domu i decyzje pierwszych tygodni jego urzędowania sprawiły, że ten sygnał zamienił się w syrenę alarmową. Na czele państwa o wciąż największym indywidualnym potencjale stanął człowiek, który twierdzi, że ten, kto służy własnemu państwu, nie łamie żadnych praw.

My, Europejczycy, wciąż mamy szansę wyjść z tego kryzysu obronną ręką. Mamy wszelkie narzędzia, by wzmocnić nasz system obronny, nie tylko w wymiarze wojskowym, ale również naszych wartości. Jeśli tego nie zrobimy, pozostaje nam pogodzić się nie tylko z końcem epoki Europy, która decyduje o własnym losie. Przede wszystkim będziemy musieli pogodzić się ze światem rządzonej przez sojusz dyktatorów, dla których jedyną miarą szacunku dla innych jest liczba posiadanych głowic atomowych.

© AGATA KAŹMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektorka ds. rozwoju: Monika Lech
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik),
Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik,
Piotr Sikora, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik),
Michał Okoński, Marek Rabij, Piotr Śmitowicz,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska,
Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
Anita Piotrowska

Fotoredakcja: Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
Ewelina Burda (kierowniczka), Oliwia Świętek,
Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran,
Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frolow,
Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja: Michał Sowiński (kierownik), Joanna Pelka
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Sławomir Bieniek,
Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Jagłowska
(kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska,
Patrik Stanik
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska,
Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyski
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bednarz, Paweł Maliszewski,
Piotr Muszyński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Marek Bieńczyk, Jan Błaszczyk, Kalina Błażejewska,
Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Fiis, Andrzej Franaszek, Anna Golus,
Łukasz Grajewski, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller,
Bartosz Kabala, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun,
Piotr Kłotkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja,
Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocur,
Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica,
o. Wacław Oszałka, Zbigniew Parańanowicz, Piotr Paziński,
Karolina Przewrocka-Adereit, Jakub Puchalski, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek,
Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
Michał Walkiewicz, Marcin Wójcik, Piotr Wójcik,
Marta Zdzieberska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET GRUPA TOŻA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

ZAPRASZAMY DO KASY

Żeby mieć sprawną armię oraz zadowalającą edukację i opiekę zdrowotną, potrzebujemy pieniędzy. Podatek katastralny to bardzo dobry sposób na ściągnięcie środków od osób, które płacą relatywnie mniej niż inni – czyli najbogatszych.

STEFAN SĘKOWSKI

MINISTER FINANSÓW ANDRZEJ DOMAŃSKI może się nieco zaniepokoić, czytając propozycje deregulacyjnego zespołu Rafała Brzozki dotyczące podatków. Niezależnie od ich dobrych stron dla samych obywateli, rozszerzenie zwolnień z VAT-u oraz ograniczenie kar nie wpłyną pozytywnie na ściągłość tej najważniejszej dla budżetu daniny.

Tymczasem nasze finanse publiczne mają ogromny problem. Jak napisali eksperci Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) w opublikowanym w lutym raporcie „Economic Survey of Poland”: „po znacznym wzroście wydatków na opiekę zdrowotną, sprawy socjalne i obronę w następstwie pandemii i wojny na Ukrainie, Polska potrzebuje trwałych dostosowań fiskalnych w celu zmniejszenia deficytu budżetowego”.

Potencjalne źródło dochodów OECD widzi w podatku katastralnym, czyli nowej w Polsce daninie. Jednak w naszych mediach od razu pojawiło się mnóstwo artykułów o tym, jak „dobiją nas nowym, gigantycznym podatkiem”, a Karol Nawrocki podczas swej ostatniej konwencji wyborczej domagał się nawet konstytucyjnego zakazu katastru. I rzeczywiście, gdyby zastosować ten pomysł w wersji *sauté*, opłaty mogłyby wzrosnąć nawet dziesięciokrotnie.

Obecnie podatek od nieruchomości w Polsce jest bardzo niski. Jego wysokość ustala rada gminy, ale z reguły wynosi on tyle, co ustawowe maksimum, czyli w 2025 r. 1,19 zł od m2 budynku mieszkalnego na rok i maksymalnie 34 zł za m2 budynku wykorzystywanego do działalności gospodarczej (swoje stawki mają także grunty, np. ogrody). Przykładowo:

właściciel 75 m2 mieszkania o wartości 800 tys. zł płaci w tym roku niecałe 90 zł podatku. Gdyby zamiast tego istniał podatek katastralny w wysokości 1 proc., płaciłby rocznie 800 zł.

Sejmowe lobby

Tyle że nikt tego nie proponuje. We wspomnianym raporcie OECD znajdziemy pomysły przede wszystkim na różnicowanie stawek od powierzchni nieruchomości, które wynoszą obecnie tyle samo w Warszawie i np. pod Biłgorajem. Autorzy raportu proponują także wprowadzenie kwoty wolnej od podatku katastralnego oraz zwolnienie od płacenia tej daniny dla osób najuboższych. Zalecają także, by wyższe stawki obowiązywały właścicieli więcej niż jednej nieruchomości.

Ostateczne decyzje podejmowałby jednak polski Sejm, więc nic nie stoi



na przeszkodzie, by zwolnić od podatku posiadaczy jednego czy dwóch mieszkań, a dopiero kolejne obkładać rosnącymi stawkami. Progresja może dotyczyć także wartości samych nieruchomości: przykładowo te kosztujące poniżej miliona (czyli średniej wielkości mieszkania w największych miastach) byłyby zwolnione z opłaty. Te warte mniej niż dwa miliony miałyby stawkę wyższą (np. 0,5 proc.), a powyżej tej sumy jeszcze wyższą (np. 1 proc.). Aby właściciele mieszkań na wynajem nie musieli płacić dwukrotnie (a w efekcie podnosić i tak już wysokie czynsze), mogliby odliczyć od katastru obowiązujący dziś ryczałt płacony za wynajem (8,5 proc.).

Prawdopodobnie jednak i tego typu pomysł nie przejdzie. Jak obliczył portal OKO.Press, w ubiegłym roku aż 208 osób deklarowało posiadanie co najmniej dwóch nieruchomości, a 88 (to prawie 20 proc. parlamentarzystów) co najmniej trzech. Rekordzistą był Robert Kropiwnicki z KO, który miał ich aż 11, ale landlordami są politycy wszystkich partii, także ci z PiS (Agnieszka Soin – 8 mieszkań) i lewicy (Krzysztof Śmiszek – 7).

W posiadaniu mieszkań nie ma nic złego, niemniej trudno oczekiwać, by ci posłowie chętnie poparli rozwiązania, jeśli w niektórych przypadkach mogłyby ich kosztować tysiące złotych. Tym bardziej że kataster łatwo jest przedstawić jak skok bandytów na naszą kasę. Wedle

Polskiego Instytutu Ekonomicznego, aż 87 proc. Polaków mieszka we własnych lokalach. To unikalna sytuacja w Unii Europejskiej, w której średnia ta wynosi 69 proc. Pokomunistyczne uwłaszczenia mieszkań spółdzielczych i możliwość wykupu nieruchomości komunalnych z ogromną bonifikatą uczyniły nas społeczeństwem właścicieli, którzy przeciętnie mają niewiele, ale jednak coś. To dobrze, gdyż własność daje poczucie stabilności i bezpieczeństwa. Dlatego też nakładanie katastru na każdego i po równo byłoby w Polsce antyspołeczne – to zupełnie inna sytuacja niż np. w Niemczech, gdzie swoje M posiada raptem połowa społeczeństwa, głównie ta bogatsza.

Kataster byłby okazją, by także w Polsce zaprosić majątne osoby do kasy, jednak jest to mało prawdopodobne, gdyż politycy – zwłaszcza z PiS – już straszą, że będzie to dotyczyć przeciętnego Kowalskiego z jego jedynym mieszkaniem. Zresztą nawet propozycja obłożenia daniną wyłącznie właścicieli większej liczby mieszkań mogłaby nie zmienić naszego nastawienia. Wielu Polaków utożsamia się z klasą średnią, a nawet ma wyższe aspiracje, więc obawia się, że musieliby sami płacić, gdyby w przyszłości mieli (lub ich dzieci) więcej nieruchomości. Ludzie są też straszeni, że np. kataster od trzeciego mieszkania to dopiero początek i z czasem dotyczyć będzie każdego lokum. Dlatego jakakolwiek propozycja

w tej materii to dziś u nas polityczne samobójstwo.

Wysokie podatki. W Polsce?

Mimo to pomysł ma sens, biorąc pod uwagę stan finansów państwa i jego obowiązki wobec obywateli. Tegoroczny deficyt budżetowy ma wynieść rekordowe 289 mld zł. To 5,5 proc. prognozowanego PKB. Już w 2024 r. znaleźliśmy się z tego powodu w procedurze nadmiernego deficytu, bo złamaliśmy unijne reguły dotyczące zadłużenia. I nawet jeśli Bruksela wciąż pożyczamy na ten fakt oko, to ci, od których pożyczamy brakujące pieniądze (głównie krajowe i zagraniczne banki), już niekoniecznie.

Po pandemii covid-19 znacznie wzrosło oprocentowanie obligacji skarbowych, których sprzedaż pozwala rządowi pożyczać w bankach pieniądze. Nie jest wykluczone, że w tym roku koszt obsługi długu publicznego przebieje symboliczną granicę 100 mld zł. Dodatkowo w styczniu Ministerstwo Finansów sprzedało bony skarbowe za prawie 5 mld zł, te zaś państwo odkupuje szybciej niż obligacje (po mniej niż roku – obligacje są często wieloletnie). Rząd płaci też za nie z reguły niższe odsetki.

Tym razem bony zostały sprzedane prawdopodobnie po to, żeby pożyczyć pieniądze na spłatę obligacji z pandemicznego 2020 r. Wygląda to więc trochę na rolowanie długu, czyli finansowanie go poprzez zaciąganie kolejnych pożyczek. I jest to dziś zapewne konieczność. Nie ma bowiem czegoś takiego, jak darmowe 800 plus, wcześniejsze emerytury, nie mówiąc o wojsku, policji, opiece zdrowotnej czy edukacji. →

Budowa nowych osiedli mieszkaniowych w Warszawie. Październik 2024 r.



→ Jeśli chcemy otrzymywać od państwa rzeczy niezbędne, to trzeba za nie płacić. A badania pokazują, że chcemy. Jak wynika z raportu „Postawy Polaków wobec płacenia podatków i roli państwa w gospodarce” Polskiego Instytutu Ekonomicznego z 2021 r., aż 87 proc. ankietowanych uważało, że państwo powinno zapewnić pełną opiekę zdrowotną wszystkim obywatelom, 79 proc. – że powinno pomagać finansowo rodzinom uczniów i studentów o niskich dochodach, a 76 proc. chciałoby zapewnić minimalny standard życia najbiedniejszym. Jednocześnie aż 83 proc. badanych uznało, że podatki są w Polsce zbyt wysokie, najwyraźniej nie widząc związku jednego z drugim.

Faktem jest, że ogólne opodatkowanie w Polsce rośnie niemal nieustannie od 2009 r., kiedy po raz pierwszy mierzyliśmy się z procedurą nadmiernego deficytu. W 2023 r. wynosiło ono 36 proc. Czy to dużo? Na pewno mniej niż średnia unijna (40 proc.) i mniej niż we Francji (45,6 proc.), Belgii (44,8 proc.), Danii (44,1 proc.) czy Finlandii (42,7 proc.). Z drugiej strony moglibyśmy płacić mniej, jak w Irlandii (22,1 proc.), Rumunii (27 proc.), na Malcie (27,1 proc.) czy w Bułgarii (29,9 proc.). Albo jeszcze mniej, jak w II RP (według różnych szacunków 10-15 proc.).

Tylko że gdybyśmy żyli przed wojną, to większość z nas (ok. 70 proc. pod koniec lat 30.) kończyłaby edukację na czwartej klasie szkoły podstawowej, płatną szkołę średnią zaliczałoby 4 proc. z nas, a studia wyższe co setny. Gdybyśmy zachorowali, w większości przypadków musielibyśmy liczyć na płatną wizytę u lekarza lub u znachora, a gdybyśmy dożyli starości, to nielicznych z nas czekałaby państwowa emerytura.

Przed rozbiorem państwo zdierało z nas jeszcze mniej, bo niecałe 10 proc., ale Marcin Piątkowski w swojej książce „Europejski lider wzrostu” zauważa, że z tego właśnie m.in. brała się niewydolność państwa prowadząca do jego upadku.

Nasza droga praca

Nie wszyscy łożą na polskie państwo tyle samo, a bardziej majątni proporcjonalnie... mniej niż biedniejsi. Jak wskazują w książce „Nierówność po polsku” ekonomiści Paweł Bukowski, Jakub Sawulski i Michał Brzeziński, całkowita efektywna stawka (czyli taka, którą rzeczywiście pla-

Trzy czwarte z nas
chciałoby zapewnić
minimalny standard
życia najbiedniejszym.
Zarazem aż 83 proc. uważa,
że podatki są zbyt wysokie.
Tego nie da się pogodzić.

cimy) na dochody 10 proc. najlepiej zarabiających Polaków stanowi zaledwie 71 proc. efektywnej stawki na dochody 50 proc. najmniej zarabiających. A gdy zsumujemy podatki i składki odprowadzane z naszej pracy, okaże się, że najmątniejszy 1 proc. Polaków odprowadza 23 proc. swoich dochodów (przy średniej 36 proc. dla ogółu). Najwięcej zarabiający to głównie przedsiębiorcy, jednak inaczej niż pracownicy najemni, których PIT wynosi 12 i 32 proc., płacą oni PIT liniowy (19 proc.) lub ryczałt ewidencjonowany (odmienny w różnych branżach).

Obie formy są korzystne szczególnie dla podatników o wysokich dochodach. Płacą oni też niższą składkę zdrowotną (4,9 proc. zamiast 9 proc.) i składkę na ZUS, która niezależnie od dochodów wynosi obecnie prawie 1800 zł miesięcznie. To niewielki ułamek dla kogoś, kto zarabia co miesiąc dziesiątki tysięcy i nie musi martwić się niską emeryturą z ZUS. Ale i ci najbogatsi, którzy nie są przedsiębiorcami i zarabiają z pracy najemnej, mają swoje ulgi, ponieważ nie płacą składki na ubezpieczenia emerytalne i rentowe od zarobków przewyższających 30-krotność przeciętnego wynagrodzenia.

Jak wynika z opracowania „Wybrane aspekty systemu podatkowo-składkowego na podstawie danych administracyjnych 2018” Pawła Chrostka i innych (te dane niewiele się zmieniły do dziś) – im mniej Polak zarabia, tym wyższe płaci podatki w stosunku do dochodów. Najbiedniejsi potrafią oddać nawet 40 proc. – w tej grupie są też mali przedsiębiorcy, którzy w przeciwieństwie do krezusów ledwo wiążą koniec z końcem, a muszą uiszczać taki sam ZUS. W efekcie zarobki 1 proc. najlepiej zarabiających stanowią prawie 15 proc. wszystkich zarobków w Polsce, a po opodatkowaniu udział ten rośnie do prawie 17 proc.

Doszliśmy do ściany

Najwięcej środków do budżetu państwa wpływa jednak z tytułu podatków od konsumpcji, przede wszystkim z VAT. Płacą go wszyscy, ale większe znaczenie ma on dla osób zarabiających mało, które większą część swoich dochodów wydają na konsumpcję, mniej oszczędzają i mniej inwestują. Nie mamy aktualnych danych dotyczących efektywnego opodatkowania VAT w odniesieniu do poszczególnych grup dochodowych (te, którymi dysponuję, pochodzą z 2012 r. od fundacji CenEA), jednak można zakładać, że od tamtego czasu sytuacja niewiele się zmieniła (stawki VAT i proporcje wydatków w poszczególnych grupach nie zmieniają się zbyt szybko). Wówczas 10 proc. najmniej zarabiających „wydawało” na VAT ok. 16 proc. dochodu. Odsetek ten stopniowo malał wraz ze wspinaniem się po drabinie dochodowej, by zatrzymać się na raptem 7 proc. płaconych przez 10 proc. najbogatszych.

To oni zarazem mają największy kapitał, który przynosi im zyski, czyli np. wspomniane nieruchomości, akcje czy obligacje. Tymczasem z podatków kapitałowych trafia do państwa i samorządów relatywnie najmniej. Danina od zysków kapitałowych (tzw. podatek Belki) wynosi co prawda 19 proc., ale Ministerstwo Finansów właśnie pracuje nad jego obniżką. CIT, czyli podatek od przedsiębiorstw, wynosi efektywnie 16,8 proc. (dane z 2022 r.), a podatek od nieruchomości jest jeszcze niższy. Właściciele wynajmujący mieszkania płacą 8,5 proc. ryczałtu od przychodu, a gdy chcą je sprzedać – 19 proc., i tylko do 5 lat od daty nabycia nieruchomości.

Można się oczywiście zastanowić, czy w takiej sytuacji lepiej jest podwyższać podatki bogatszym, a nie – na przykład – obniżyć biedniejszym? Otóż nie. Wzrost udziału wpływów podatkowych w polskim PKB bierze się w dużej mierze ze wzrostu ściągłości danin. Tymczasem w ostatnich latach liczne daniny zmalały. Za rządów PiS obniżono niższy próg podatkowy oraz podniesiono kwotę wolną od podatku, zarazem podwyższono kwotę, od której wpada się w drugi próg. Wprowadzono także „zerowy” PIT dla seniorów oraz osób młodych (do 26. roku życia), a także obniżono CIT. Jednocześnie rosły wydatki państwa, przez co mamy dziś znacznie bardziej napięty

budżet. Wiele wskazuje na to, że przy obecnych wydatkach nasz kraj doszedł do ściany, jeżeli chodzi o dalsze obniżki. Zwłaszcza te dotyczące podatku dochodowego nie pobudzą gospodarki do większego wzrostu (dziś i tak nie-
złego). Jeśli mielibyśmy coś zmieniać, to w kierunku uczynienia podatków bardziej równymi, np. poprzez ograniczenie przywilejów najlepiej zarabiających przedsiębiorców. Choćby poprzez większe opodatkowanie kapitału, np. wspomniany kataster.

Czy istnieje piekło

Podstawowy problem z katastrofem polega na tym, że nie wiemy, ile wyniosłyby wpływy z niego, ponieważ nie wiemy, ile są warte nasze nieruchomości. Wyceniamy je na potrzeby sprzedaży czy w celach ubezpieczeniowych, jednak jego wprowadzenie wymagałoby ogólnopolskiego oszacowania wartości, opartego na obiektywnych i transparentnych zasadach, z uwzględnieniem różnic terytorialnych. To będzie trudne i długotrwałe, niemniej na pewno jest lepszym rozwiązaniem niż dotychczasowa pseudowalka z deficytem wedle zasady „hulaj dusza, piekła nie ma”. Politycy nie proponują żadnych cięć, a jeśli już, to bardziej po to, by grać na emocjach wyborców. Zresztą likwidacja Funduszu Kościelnego przyniosłaby niecałe 300 mln zł oszczędności, Instytutu Pamięci Narodowej pół miliarda, a odebranie 800 plus dzieciom niepracujących Ukraińców najwyżej 900 mln. Z tych trzech najczęściej wskazywanych propozycji nie uzbierałby się nawet 1 proc. obecnego deficytu. Wzrost gospodarczy musiałby wręcz wystrzelić w kosmos, byśmy doprowadzili nasz budżet do porządku dzięki wzrostom wpływów z obecnych podatków.

Lepszym sposobem na świetlaną przyszłość Polski jest wyciągnięcie wniosków z dzisiejszego pędu do przymilania się wyborcom obietnicami dalszej obniżki podatków. Żyjemy w kraju, w którym – przynajmniej na tle innych krajów UE – nie są one wysokie. Warto to wziąć pod uwagę, gdy przyjdzie nam na myśl mnożyć żądania wobec naszego państwa.

© STEFAN SĘKOWSKI

Slalom wokół Trumpa

PIOTR ŚMIŁOWICZ

PiS nie wie, jak pogodzić sympatię dla prezydenta USA z jego gestami sprzyjającymi Putinowi. Czy wpłynie to na wybory prezydenckie, a po nich przyspieszy nowe rozdanie na prawicy?

W „ROKU 1984” GEORGE’A Orwella jest poruszająca scena w trakcie cyklicznego Tygodnia Nienawiści do Eurazji, czyli głównego wroga Oceanii, państwa, w którym mieszkają bohaterowie powieści. W pewnym momencie prowadzący propagandowy wiec dostaje karteczkę, z której wynika, że od tego momentu wrogiem już nie jest Eurazja, tylko dotychczasowy sprzymierzeniec Wschódadza. Eurazja zaś staje się sojusznikiem. Nikogo to specjalnie nie zraża, transparenty zostają wymienione na nowe, a w wykrzykiwanych hasłach wróg staje się przyjacielem.

Scena z Orwella przypomina dziś trochę los polskich miłośników Donalda Trumpa, zwłaszcza tych z PiS. Okazało się bowiem, że nasz najwięk-

szy gwarant bezpieczeństwa przed najgroźniejszym wrogiem, czyli Rosją, może stać się tejże Rosji sojusznikiem. Jak pogodzić wieloletnią sympatię dla Trumpa z wpisaną w DNA wrogością do putinowskiej Rosji? Przecież przez lata narracją PiS było zarzucanie Donaldowi Tuskowi „resetu” w relacjach z Putinem, a TVP w czasach Jacka Kurskiego również często jak sceny z Tuskiem mówiącym po niemiecku pokazywała obecnego premiera spacerującego z Putinem po sopockim moło w 2009 r.

Sytuacja, w której uwielbiany Trump okazuje się przywódcą mającym wspólne interesy z Putinem, obwiniającym o wojnę Ukrainę i wstrzymującym dla niej pomoc – jest trudna do pogodzenia z dotychczasową linią. ➔

*Przemysław Czarnek podczas 175. miesięcznicy katastrofy smoleńskiej.
Warszawa, 10 grudnia 2024 r.*



→ Fundamentem polityki PiS wobec Rosji jest słynne przemówienie Lecha Kaczyńskiego w Tbilisi w 2008 r., wieszczącego, że po Gruzji celem Putina będzie Ukraina, potem państwa bałtyckie, a w końcu Polska. I dlatego właśnie rząd PiS wraz z Andrzejem Dudą od pierwszego dnia stanęli po stronie Kijowa napadniętego w lutym 2022 r. I jeśli nawet drogi Polski i Ukrainy zaczęły się z czasem rozchodzić (także z powodu polityki Wołodymyra Zełenskigo, m.in. w kwestii zbrodni wołyńskiej), to oczywistością było wspieranie Ukrainy, nawet jeśli miała być traktowana wyłącznie instrumentalnie – jako tarcza chroniąca Polskę.

Kto tu jest głupkiem

Po dramatycznym spotkaniu Trumpa i Vance'a z Zełenskim w Gabinetcie Ovalnym wypowiedzi polityków PiS stały się wyjątkowo niespójne, co rzadko się zdarza we współczesnej polityce, podporządkowanej jednolitym narracjom i „przekazom dnia”. Tymczasem w PiS muszą dziś współistnieć dwa sprzeczne nurty. Pierwszy jest pro-trumpowski i współgra z antyukraińskim zwrotem partii oraz jej prezydenckiego kandydata Karola Nawrockiego, chcących „kupić” elektorat Konfederacji. Drugi nurt pozostaje jednak tradycyjnie antyputinowski. W obecnej sytuacji ciężko z tego ulepić spójny przekaz.

Najbardziej charakterystyczne było zamieszanie wokół wypowiedzi Przemysława Czarnka, który nazwał „głupkiem” wyklócającego się z Trumpem Zełenskigo. Dostał za to nawet publiczną reprimendę od Jarosława Kaczyńskiego, który stwierdził, że byłego szefa MEiN „trochę poniosło”.

Czarnek nie jest jednak wyjątkiem. Były minister rolnictwa i poseł PiS Grzegorz Puda stwierdził w Radiu Zet, że porozumienie Trumpa z Putinem, nawet niezbyt korzystne dla Ukrainy, nie musiałyby być dla Polski złe. Karol Nawrocki mówił z kolei o niewdzięczności Zełenskigo wobec USA, a Zbigniew Kuźmiuk sugerował, by przestać wciąż mówić o Pu-

Zamieszanie z Trumpem, a zwłaszcza z antyukraińskim zwrotem bardziej szkodzi Nawrockiemu niż goniącemu go Mentzenowi.

Ludzie mają do wyboru oryginał i kopię.

tinie, tylko zauważyć, że Zełenski popełnił w USA publiczne harakiri.

W tym kontekście najczęstsze są próby przypisywania Trumpowi głęboko przemyślanej strategii. Poseł Piotr Kaleta przekonuje, że prezydent USA prowadzi szczególnego rodzaju dyplomację, a jego działania tylko wyglądają na prorosyjskie. – Przynajmniej zaczęliśmy rozmawiać o pokoju, co przedtem nie było możliwe. Poczekajmy na efekty – mówi.

Z drugiej strony są wypowiedzi prezydenta Andrzeja Dudy, który – trzymając stronę Trumpa – pozwolił sobie jednak na krytykę wstrzymania przez USA pomocy dla Ukrainy, oraz utrzymane w podobnej tonacji słowa jego dawnego ministra, a dziś posła PiS Marcina Przydacza. Przekonuje on, że nie jest prawdą, iż PiS stawia na Trumpa, tylko po prostu kulturuje tradycję dobrych stosunków ze Stanami.

– Nie zaprzeczam, że jest sympatia do Donalda Trumpa, zwłaszcza w sprawach ideowych. To nie znaczy jednak, że będziemy się ze wszystkim zgadzać, zwłaszcza w polityce wschodniej. Najważniejsze jest to, by dbać o jak najlepsze stosunki, dzięki czemu wojska amerykańskie zostaną w Polsce – mówi Przydacz. Ten ostatni argument podaje też rzecznik partii Rafał Bochenek, dodając: – Podtrzymujemy, że to Rosja jest agresorem, ale jako Polska powinniśmy dbać, by NATO nie zostało od środka podzielone. Tymczasem Tusk jest dziś w antyamerykańskiej szpicy organizowanej w Europie.

Także poseł Radosław Fogiel, były szef Komisji Spraw Zagranicznych, polemizuje z tezą, że PiS jest bezkrytyczny wobec Trumpa. Bagatelizuje też owacje posłów tej partii (w Sejmie, na stojąco) na jego cześć. – To był jednorazowy incydent, efekt emocji i faktu, że nasi opo-

nenci bardzo kibicowali drugiej stronie – mówi.

Generalnie w publicznych wypowiedziach politycy PiS próbują dziś godzić ogień z wodą. Zdaniem większości obserwatorów wychodzi to średnio.

Postawili na złego konia?

Poseł Jarosław Urbaniak z KO twierdzi, że parlamentarzysty partii Kaczyńskiego, choć oficjalnie w każdej sprawie krytykują obecny rząd za politykę wobec USA, to w prywatnych rozmowach mają narzekać na Trumpa. Inny polityk KO Marcin Bosacki uważa, że postawa PiS wynika z tego, iż dla tej formacji polityka zagraniczna była zawsze funkcją polityki wewnętrznej. – Teraz się jednak zakiwali – ocenia.

Prof. Przemysław Sadura wyraził w Onecie opinię, że politykom PiS trudno dziś przyznać się do błędu, iż postawili na niewłaściwego politycznego konia. Teraz muszą wypracować nową narrację w tej sprawie, ale trzeba na to czasu.

Politolog dr Anna Materska-Sosnowska uważa, że ratunkowa narracja PiS będzie bazować na tym, że w Polsce istnieje duże poparcie dla USA jako państwa. I że jest to wiarygodny sojusznik, którego gwarancje bezpieczeństwa dla Polski pozostają niezagrożone, a Trump je przecież publicznie potwierdza.

Z tą opinią koresponduje deklaracja Fogla. – Donald Trump jest prezydentem USA czy nam się podoba, czy nie. I będzie nim przez najbliższe cztery lata. W związku z tym, że dla polskiego bezpieczeństwa i NATO, i bilateralne relacje z USA są niezwykle istotne, musimy sobie z tą administracją układać relacje, tak jak z każdą inną. To jest założenie polityki PiS – mówi poseł Fogiel.

Z otoczenia prezesa PiS dobiegają zarazem głosy, że partia ma pozostać wierna antyrosyjskiej i antyputinowskiej linii. – Prezes jest bardzo niezadowolony z nadmiernego łaszenia się do Trumpa niektórych posłów. Sam mówi tylko o konieczności sojuszu z USA. Uważa też, że okłaski na stojąco po zwycięstwie Trumpa to był błąd – mówi poseł bliski Kaczyńskiemu.

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl



ERIN SCHAFF / GETTY IMAGES

Andrzej Duda i Donald Trump
w Gabinetce Ovalnym Białego Domu.
Waszyngton, 24 czerwca 2020 r.

Zdaniem tego parlamentarzysty prezes PiS ma pełną świadomość, iż działania Trumpa są prezentem dla Putina. Z drugiej strony jest niechętny wobec taktyki Tuska – zbliżenia z Europą kosztem USA. Stawianie na sojusz z Waszyngtonem to dla PiS dogmat geopolityczny, w przeciwieństwie do integrowania się z Unią, którą „rządzi Niemcy”. Teraz jednak, w obliczu zbliżenia Trumpa z Putinem, to wszystko się wali.

Wcześniej PiS miał podobny problem z głównym sojusznikiem w Europie – Victorem Orbánem, także miłośnikiem Putina. Wtedy jednak tłumaczono, że to nieistotna różnica w politycznych ocenach między przyjaciółmi, niemającą w praktyce znaczenia. Dziś, gdy Rosja może złamać ukraiński opór dzięki postawie USA, ta strategia się już nie sprawdza. – Oni są pogubieni, bo mentalnie tkwią w latach 80. Myśleli, że Trump będzie drugim Ronaldem Reaganem – twierdzi prominentny polityk Konfederacji.

Konfederacja jest w kwestii polityki Trumpa w znacznie lepszej sytuacji niż PiS. Zawsze była antyukraińska (a nawet umiarkowanie prorosyjska), a wątki te nieustannie eksploatuje w swej kampanii Sławomir Mentzen.

W nieoficjalnych rozmowach politycy PiS przyznają, że Konfederacja i Mentzen zyskują na obecnej sytuacji, bo antyukraińskość to dla nich naturalna postawa. Dlatego zamieszanie z Trumpem bardziej szkodzi Nawrockiemu niż goniącemu go Mentzenowi, gdyż ten pierwszy reprezentuje partię jeszcze niedawno proukraińską, niereagującą np. na kryzys zbożowy. Ludzie mają więc do wyboru oryginał i kopię.

Prof. Radosław Markowski przyznaje, że konsekwencja Mentzena to jedno z głównych źródeł jego dobrych notowań, choć on akurat wiąże to bardziej z jego liberalnymi poglądami gospodarczymi niż z antyukraińskością. – Sam antyukraiński wątek nie jest moim zdaniem dużym zasobem wyborczym – uważa politolog.

Czy PiS grozi rozłam

Bezrefleksyjne wspieranie Trumpa przez część środowiska PiS budzi u niektórych polityków tej partii zniesmaczenie. W dłuższej perspektywie, jeśli doszłoby do ustaleń między Trumpem i Putinem ponad głowami Europy i USA, partii może grozić nawet podział, ale zdaniem naszych rozmówców jest to wykluczone przed wyborami prezydenckimi. Niemniej ich wynik może być katalizatorem dla takich zmian, zwłaszcza jeśli Mentzen uzyska dobry wynik. Nie musi to być od razu pokonanie Nawrockiego w pierwszej turze – wystarczy, że zbliży się do niego na kilka punktów procentowych.

Dr Materska-Sosnowska potwierdza, że wynik wyborów będzie kluczowy dla ewentualnego rozłamu w PiS. Jej zdaniem PiS i Nawrockiemu w kampanii najbardziej zaszkodziłaby obecność Donalda Trumpa na defiladzie w Moskwie 9 maja.

Ewentualny rozłam w PiS warto rozpatrywać w kontekście coraz lepszych sondaży dla Konfederacji; w ostatnim badaniu CBOS partia ta ma 18 proc. (PiS – 26 proc.). Czy w partii Kaczyńskiego są jednak grupy, które w razie czego byłyby skłonne do dogadywania się z Konfederacją? Uważa się za taką frakcję

ziobrystów, którzy wciąż są słabo zintegrowani z PiS, tyle że nie wiadomo, czy Mentzen z Bosakiem chcieliby brać ich na pokład. Za sympatyka Konfederacji uchodzi też Przemysław Czarnek, posiadający w PiS licznych zwolenników, stąd jego ostra krytyka Zełenskigo oceniana jest jako nieprzypadkowa.

Znaczenie ma też postawa prawicowych mediów. Tomasz Sakiewicz i jego TV Republika, choć tradycyjnie antyrosyjskie – znajdują się obecnie w pewnej opozycji do słabnącego Kaczyńskiego i zaczynają realizować własną agendę, skracając w opinii niektórych polityków PiS w stronę „trumpowsko-konfederacką”. Widać to na wizji, choć zarazem trzeba przyznać, że sama Konfederacja nie wygłasza wobec prezydenta USA tak wierнопoddających oświadczeń, jak niektórzy ludzie PiS i dziennikarze Sakiewicza.

Prominentny polityk Konfederacji nie wierzy jednak w jakikolwiek rozłam w PiS z powodu podejścia do Trumpa. – To są karne partyjne szeregi, wyćwiczone w lojalności. Wiedzą też, jak kończą ci, którzy występują przeciwko Kaczyńskiemu – ocenia.

Teoretycznie jest jeszcze jedna opcja, o której można usłyszeć w Sejmie – tuż przed wyborami Kaczyński dokonuje wolty „antytrumpowskiej”, by wyraźnie oddzielić się od Konfederacji. I zagospodarować elektorat, który odetchnie z ulgą po takim oświadczeniu, bo bardzo boi się Rosji, więc zaakceptuje nawet lekkie zbliżenie PiS z UE. W taki scenariusz wierzy jednak niewielu. – Ideologicznie są tak głęboko antyeuropejscy i antyunijni, że nigdy nie poprą silniejszej integracji z UE służącej bezpieczeństwu, bo uważają to za zagrożenie naszej suwerenności – ocenia polityk KO.

Potwierdza to w zasadzie poseł Fogiel z PiS. – W 2014 r. zostawiono Europejczykom sprawę konfliktu rosyjsko-ukraińskiego i jaki był efekt? Rosjanie nie dotrzymywali zobowiązań i zakończyło się to pełnoskalową wojną – przypomina polityk, dodając, że dziś również nic nie wskazuje na to, by Europa mogła skutecznie bronić Ukrainy. Trump nie jest więc ślepym wyborem, lecz dziejową koniecznością.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ



Popularność aplikacji randkowych przyczynia się do wzrostu zapadalności na choroby weneryczne

Powrót starych znajomych

MACIEJ MÜLLER

W Polsce, tak jak w całej Europie, liczba zakażeń chorobami wenerycznymi rośnie nawet o kilkadziesiąt procent rocznie. Co to mówi o naszym zdrowiu i obyczajach seksualnych?

W WIELU PRZYPADKACH WYGLĄDA to tak: pacjent umówił się na wizytę, porozmawiał z lekarzem o uciążliwym katarze, powiedział, że coś mu strzyka w kolanie, już się ubrał i zbierał do wyjścia, chwycił za klamkę, ale jeszcze raz się odwrócił – i wtedy okazało się, z czym tak naprawdę przyszedł. „Coś mi cieknie. Stamtąd”.

Lekarze rodzinni mówią na to: sprawy klamkowe.

Wierzchołek góry

Nie ma się z czego śmiać: tamten mężczyzna wykazał się odwagą i odpowiedzialnością. – Pacjenci z chorobami takimi jak chłamydioza, kiła, nierzeżączkowe albo reżączkowe zapalenie cewki moczowej rzadko zgłaszają się bezpośrednio do swojego lekarza rodzinnego – mówi dr Michał Sutkowski, specjalista chorób wewnętrznych i medycyny rodzinnej, prezes Kolegium Lekarzy Rodzinnych w Polsce i wykładowca Uczelni Łazarskiego.

Z raportu autorstwa dr Karoliny Zakrzewskiej z Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowego Zakładu Higieny (NIZP-PZH) wynika, że w 2022 r.

niemal połowa przypadków reżączki była diagnozowana u specjalistów dermatologii i wenerologii (46 proc.), 11 proc. u lekarzy chorób zakaźnych, a tylko 6 proc. przez lekarzy podstawowej opieki zdrowotnej, chociaż to najbardziej naturalny adres przy podobnych kłopotach. Co trzeci przypadek był diagnozowany na podstawie badań wykonywanych w laboratorium samodzielnie, bez wcześniejszej konsultacji z lekarzem.

Te liczby mówią o tym, dokąd idą pacjenci, którzy obserwują u siebie podejrzane objawy i decydują się to zbadać. Poza nimi jest spora grupa tych, którzy objawy zignorują lub zanedbą będą się wstydzić, by o nich opowiedzieć. A także tacy, u których choroba przebiegnie bezobjawowo. Dlatego lekarze i eksperci zdrowia publicznego są zgodni: statystyki zakażeń chorobami wenerycznymi to czubek góry lodowej.

Wzrosty, wzrosty

W lutym tego roku agencja Unii Europejskiej, Europejskie Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób (ECDC), ogłosiło raporty o chorobach wenerycznych (zwa-

nych też z angielska STI: *sexually transmitted infections*) za rok 2023. Po raz kolejny w Europie zaobserwowano kilkunasto- lub nawet kilkudziesięcioprocentowe wzrosty przypadków chorób przenoszonych drogą płciową.

W krajach Unii Europejskiej w 2023 r. zgłoszono prawie 97 tys. przypadków reżączki, co stanowi wzrost o 31 proc. w porównaniu z rokiem 2022 i 321 proc. w porównaniu z rokiem 2014. Najwyższe wskaźniki odnotowano u kobiet w wieku 20-24 lata (72 przypadki na 100 tys. osób) oraz u mężczyzn w wieku 25-34 lata (aż 131 przypadków na 100 tys. osób). Do 58 proc. odnotowanych transmisji choroby doszło w grupie MSM (mężczyzn uprawiających seks z mężczyznami).

Przypadków kiły (syfilisu) odnotowano 41 tys.: to wzrost o 13 proc. względem poprzedniego roku, a zarazem podwojenie wobec roku 2014. Najwyższe wskaźniki odnotowano u mężczyzn w wieku 25-34 lat (43 przypadki na 100 tys. osób). Do 72 proc. zachorowań doszło w grupie MSM.

Szczyt podium zajęła chłamydioza z 230 tysiącami przypadków, ale tutaj eksperci mówią o spowolnieniu wzrostu w ostatnich latach (tylko 3 proc. względem roku 2022). Także i w tej chorobie zakażenia dominują wśród ludzi młodych, w 79 proc. w kontaktach heteroseksualnych.

Raporty ECDC kończy znamienna uwaga, że dane zapewne nie oddają rzeczywistej sytuacji. Wiele przypadków nie jest diagnozowanych lub w ogóle zgłaszanych, do tego dochodzi kwestia różnej skuteczności państwowych aparatów nadzoru, dostępności testów, błędów w interpretacji ich wyników itp.

Innymi słowy, wracamy do metafory góry lodowej.

Do lekarza? Z tym?

Doktora Michała Sutkowskiego pytam o wstyd w gabinecie. – Z jednej strony pacjent dobrze zna swojego lekarza rodzinnego i często darzy go zaufaniem – odpowiada. – Z drugiej strony: to przecież lekarz, który opiekuje się też jego żoną i dziećmi. Jeszcze trudniej jest, jeśli mówimy o małej społeczności, w której wszyscy się znają.

Droge do gabinetu zagradza bariera psychologiczna: konieczność przyznania

się do ryzykownego zachowania seksualnego. Dr Sutkowski: – Z lekarzem łatwiej porozmawiać o chorobie niedokrwiennej serca, POChP czy cukrzycy niż o owrzodzeniach na genitaliach. Pacjent boi się, że nie wszystko zostanie w gabinecie, nawet jeśli nie ma wątpliwości co do dyskrecji lekarza. Bo ktoś zobaczy wypisane skierowanie do specjalisty albo farmaceuta zwróci uwagę na wykupywane w aptece leki. To najczęściej są obawy bezpodstawne, ale to wiemy my, nie pacjenci.

Jednak nie tylko wstyd pacjenta lub obawy o ujawnienie np. zdrady stoją na drodze szybkim rozpoznaniem infekcji wenerycznych. Po pierwsze lekarz musi wykazać się fachowością podczas badania fizykalnego i wywiadu medycznego. – Musi być czujny, kiedy pacjent przychodzi z takimi objawami jak pieczenie przy oddawaniu moczu, wydzielina z cewki moczowej, zmiany na skórze prącia, ból jąder, a u kobiet: krwawienie po stosunku, krwawienie między miesiączkami, dyskomfort podczas oddawania moczu – mówi dr Sutkowski. – To objawy, które mogą wynikać z rozmaitych patologii, ale nie można wykluczać choroby wenerycznej.

O wyzwaniach w diagnozowaniu chorób wenerycznych mówił podczas sesji naukowej „STIs – spojrzenie z różnych perspektyw” w listopadzie 2023 r. specjalista chorób zakaźnych dr Bartosz Szetela. Opowiadał o pacjentach, którzy byli leczeni przez kilka tygodni z powodu anginy, a dopiero po pytaniu o ryzykowne zachowania seksualne otrzymali diagnozę kiły. Uczestnicy zgodzili się, że lekarz, by zająć się podstawowymi infekcjami wenerycznymi, nie potrzebuje ściśle specjalistycznej wiedzy, musi jednak zadać odpowiednie pytania.

Nie mam jak wypisać skierowania

Dr Sutkowski wskazuje na ważny problem wynikający z wadliwej konstrukcji systemu ochrony zdrowia. – My, lekarze rodzinni, nie mamy narzędzi do diagnozowania tych chorób. Jeżeli przyjdzie do mnie ktoś z objawem kiły pierwszorzędowej, to na podstawie badania klinicznego będę w stanie jedynie zasugerować rozpoznanie – opowiada lekarz. – Żeby je postawić, konieczne są badania dodatkowe. Ale badań koniecznych do zdiagnozowania chłamydiozy, rzeżączki czy kiły nie ma w puli dostępnej lekarzowi POZ. Muszę

skierować pacjenta do specjalisty albo do szpitala.

– Z jednej strony mówi się więc o konieczności wczesnego wykrywania chorób, z drugiej kształt koszyka świadczeń finansowanych przez NFZ to uniemożliwia – komentuje dr Sutkowski. – Na ogół jednak chory idzie do gabinetu prywatnego i badania też wykonuje prywatnie. System NFZ-owski może go w ogóle nie zauważyć, choć trzeba zaznaczyć, że pacjent ma możliwość udania się do wenerologa bez skierowania.

Dodajmy, że przychodni wenerologicznych jest w Polsce za mało względem potrzeb: eksperci apelują o odbudowę ich sieci.

Anatomia narządu

Nawet jeśli dane statystyczne są wadliwe, wskazują na pewne trendy. A one także dla Polski są niepokojące. W 2020 r. zgłoszono 250 przypadków rzeżączki, dwa lata później 630, w 2023 r. – 1322, rok temu – 1191. Jak wskazuje dr Karolina Zakrzewska w szczegółowym opracowaniu dla roku 2022, wykrywano ją znacznie częściej (93 proc.) u mężczyzn.

Przypadków kiły było natomiast w 2020 r. 716, w 2022 r. – 1992, rok później 2986, w 2024 r. – 3082. W latach 2021-2022 o wiele więcej przypadków kiły stwierdzono u mężczyzn (88,4 proc.) niż u kobiet.

Skąd tak wielkie dysproporcje zakażeń ze względu na płeć? Źródła medyczne podpowiadają, że nawet u połowy kobiet (i tylko u 10 proc. mężczyzn) rzeżączka nie wywołuje objawów w układzie moczowo-płciowym. Jednocześnie podkreślają, że zakażenie bezobjawowe jest groźne, ponieważ nieświadomy go człowiek zaraża kolejnych partnerów czy partnerki seksualne.

Więcej wyjaśnia epidemiolog i specjalista zdrowia publicznego dr Rafał Halik: – To nie jest polski fenomen, podobne dysproporcje obserwujemy na poziomie międzynarodowym. Wynika to z kilku przyczyn. Mężczyźni mają generalnie większą skłonność do ryzykownych zachowań seksualnych i częściej sięgają po substancje psychoaktywne. Ponadto zmiany chorobowe u mężczyzn są bardziej widoczne z uwagi na anatomię narządów płciowych. U kobiet np. wrzód w początkowych stadiach kiły może być umiejscowiony wewnątrz ciała, co utrudnia jego wykrycie.

Wykrywanie i leczenie kiły jest o tyle istotne, że jeśli zakażona kobieta zajdzie w ciążę, choroba może przejść na dziecko. Mówimy wtedy o kile wrodzonej, która grozi całą listą poważnych powikłań. Nieleczona może prowadzić do utraty słuchu, ślepoty, zniekształceń zębów i deformacji kości. Występowanie kiły wrodzonej jest jednym ze wskaźników rozwoju cywilizacyjnego państw, ponieważ świadczy o dostępie społeczeństwa do systemu ochrony zdrowia i edukacji, w tym zdrowotnej i seksualnej.

Według ECDC w Europie w 2023 r. zgłoszono 78 przypadków kiły wrodzonej, w Polsce 3. Rok później mieliśmy takich przypadków 13. Chorujących ciężarnych jest z pewnością znacznie więcej – jednak w przeważającej liczbie przypadków kiła prowadzi do poronienia.

Randka z niespodzianką

Jaka jest przyczyna wzrostu liczby zachorowań w ostatnich latach? Polscy i europejscy eksperci zdrowia publicznego stawiają dość podobne hipotezy. Część dotyczy spraw czysto statystycznych: poprawa zgłaszalności przypadków, opóźnienia i błędy w raportowaniu. Nie bez znaczenia są migracje czy rynek usług seksualnych. A także lekooporność niektórych szczepów rzeżączki.

Znacznie ciekawsze są jednak hipotezy dotyczące zmian w zachowaniach seksualnych. Krótko mówiąc, kiedy Europejczycy już wyszli z domów po covidowych lockdownach, połuzowali obyczaje seksualne. Ekspertka ECDC Otilia Mårdh wskazuje m.in. na zwiększenie liczby partnerów seksualnych. Trzeba jednak zaznaczyć, że przed 2020 r. też trwał w Europie trend wzrostowy zachorowań na STI, niektórzy eksperci mówią teraz o „odbiciu”.

Podczas pandemii rosła popularność portali randkowych, a wraz z nią – przygodnego seksu, nieraz bez zabezpieczenia. Zmieniły się też sposoby współżycia: w raportach dotyczących rzeżączki widać wzrost odsetka zakażeń w rejonie gardła, co świadczy o rosnącej roli seksu oralnego w transmisji choroby.

(Nie)bezpieczny seks

Są też zjawiska paradoksalne. Osoby obawiające się zakażenia wirusem HIV coraz powszechniej stosują PrEP (profilaktykę przedseksualną, która zapobiega infekcji). Jest to oczywiście zjawisko bardzo

→ pozytywne. Eksperci zauważyli jednak wzrost zapadalności na choroby weneryczne wśród osób stosujących PrEP. Okazuje się, że często rezygnują one z użycia prezerwatyw. Tylko że stosunek seksualny, owszem, nie grozi wtedy zakażeniem HIV, ale już kiłą, chłamydią czy rzeżączką – jak najbardziej. (Podobnie jak również przenoszonymi drogą płciową HPV czy HBV, które po latach mogą przynieść falę zachorowań na nowotwory).

Zaznaczyć trzeba, że prezerwatywy, jakkolwiek rekomendowane jako środek zapobiegania infekcjom, nie chronią przed nimi w stu procentach. Podczas wspomnianej już sesji naukowej podkreślono, że patogeny kiły, rzeżączki i chłamydii przenoszą się także przez kontakt śluzówkowy, a więc seks oralny, a nawet pocałunki. Jak to ujął dr Szetela, „przez prezerwatywę ani krętek blady, ani dwoinka rze-

Kiedy Europejczycy wyszli z domów po covidowych lockdownach, poluzowali obyczaje seksualne.
Wzrosła popularność portali randkowych i przygodnego seksu,
nierzaz bez zabezpieczenia.

żączki nie przenikną, tylko że my się nie pokrywamy cali prezerwatywą”.

Do czynników ryzyka należy też chemseks, czyli stosowanie rozmaitych substancji stymulujących (MDMA, mefedronu, GHB/GBL, kokainy itp.) do wzmacniania i przedłużania doznań seksual-

nych. Na sesje chemseksu umawiają się najczęściej mężczyźni, a podczas nich dochodzi do aktów seksualnych z kilkoma partnerami, często bez zabezpieczeń. Raport „ChemSex – nowe zagrożenia używania substancji psychoaktywnych” wydany przez NIZP-PZH w 2022 r. wykazał, że u osób, które praktykowały chemseks w ciągu ostatnich 12 miesięcy przed badaniem, wystąpił wysoki odsetek infekcji przenoszonych drogą płciową: 41 proc. miało zdiagnozowane HCV (wirusowe zapalenie wątroby typu C), 28 proc. kiłę, 23 proc. rzeżączkę, a 21 proc. chłamydiodę.

Odwagi!

– Pacjent po ryzykownym kontakcie seksualnym powinien jak najszybciej przyjść do lekarza – radzi dr Michał Sutkowski. – Oraz powiedzieć, co się stało, także partnerce czy partnerowi: dla ich bezpieczeństwa. Lekarz skieruje go do właściwej poradni.

Najgorzej, podkreśla doktor, jeśli pacjent schowa głowę w piasek. – W przypadku kiły objaw pierwotny trwa przez 3-4 tygodnie od zakażenia. To jest czas, w którym należy rozpocząć leczenie. Później dochodzi do okresu kiły drugorzędowej, z charakterystyczną wysypką na skórze. Ona przemija, ale choroba trwa i po okresie utajenia, po kilku czy nawet kilkunastu latach, powoduje poważne zmiany w narządach układu nerwowego, krążenia, kostnego. Z kolei nierozpoznana i nieleczona chłamydioza u kobiet może doprowadzić do zapalenia narządów miednicy mniejszej, ciąży pozamacicznej, bezpłodności, a u mężczyzn do zapalenia jąder i najądrzy.

– Jeśli pacjent zgłosiłby się do lekarza w pierwszych tygodniach po infekcji, byłaby szansa na pełne wyleczenie – podkreśla dr Sutkowski. – Niestety, lekarze z oddziałów dermatologicznych, wenerologicznych i zakaźnych alarmują, że pacjenci zgłaszają się późno, z objawami zaawansowanej choroby.

Jest nadzieja? Można ją wywieść z raportu ECDC. Wiele krajów – wskazują autorzy – zgłosiło w 2023 r. wysoki odsetek przypadków kiły w stadium pierwotnym i wtórnym. Może to wskazywać na lepszą dostępność testów i dość wczesne wykrywanie choroby.

Choć też po prostu na to, że Europejczycy intensywnie się kiłą nawzajem zakażają.

© MACIEJ MÜLLER

Jedna noc z Wenus, całe życie z Merkurem

NAZYWANO JĄ RÓŻNIE, ale wspólny mianownik był jeden: wiązano ją z tym, kogo nie lubiano. Anglicy mówili o chorobie francuskiej, Francuzi o angielskiej, Portugalczycy o kastylskiej, Polacy o niemieckiej, Rusini o polskiej, a Turcy o chrześcijańskiej. Kiła pojawiła się w Europie wkrótce po wyprawach Kolumba i przeważa hipoteza, że krętek blady przywędrował właśnie z Nowego Świata. Być może w nowych warunkach zmutował i stał się bardziej agresywny.

SKUTKI EPIDEMII możemy obserwować na obrazach Bruegla – upiornie powykręcane ciała kalek ze zniekształconymi twarzami i kończynami należą właśnie do syfilityków (w zaawansowanej postaci choroby).

Niewykluczone, że XVIII-wieczna arystokratyczna moda na bardzo gruby makijaż, przyczepiane pieprzyki i fantazyjne peruki była związana z koniecznością zakrycia objawów.

PO KIŁĘ, jako automatyczną „karę za grzechy”, chętnie sięgali kaznodzieje i autorzy umoralniających traktatów. Wiązano z nią przytoczone w tytule przysłowie – ze względu na stosowane aż do początków XX wieku lekarstwo, za jakie uznano rtęć (łac. *Mercurius*). Powodowała ona jednak w organizmie straszliwe szkody, włącznie z krwotocznymi zapaleniami jelit oraz uszkodzeniami nerek i mózgu. Niewykluczone, że to właśnie leczenie rtęcią spowodowało bezpłodność

ostatniego Jagiellona Zygmunta Augusta. Jak by wyglądały losy Rzeczypospolitej, gdyby król nie zakażył się krętkiem bladym?

WOJNĘ CHOROBY WENERYCZNYM wytoczyły władze PRL. W latach 40. trwała akcja „W”. Urządzano wystawy, puszczano filmy propagandowe, drukowano ulotki. Te rozłożone w Gdyni głosiły: „Marynarzu! Niebezpieczeństwo zarażenia się syfilisem, tryprem czy wrzodem wenerycznym czyha na Ciebie w każdym porcie, w każdym barze, gdzie zawierasz przygodną znajomość”. W 1946 r. Bierut podpisał dekret przymuszający do leczenia chorób wenerycznych pod licznymi sankcjami, jak areszt czy zakaz zawarcia małżeństwa. W późniejszym okresie filmy uświadamiające puszczano w szkołach, a także w wojsku. ©

OLGA

Drenda:

Dobry, zły i głupi



KOLEGA OSTATNIO PRZYPOMNIAŁ mi słynne zdroworozsądkowe „skrzydlate słowa”, krążące w licznych wariantach: „nie doszukuj się złej woli tam, gdzie za wyjaśnienie wystarczy głupota”. To popularne zwłaszcza w kręgach sektora nowych technologii porzekadło bywa nazywane „brzytwą Hanlona”, od współautora popularnych zbiorów z prawami Murphy’ego. Podejrzenie podobnie brzmiące nazwisko Heinlein nosił o wiele bardziej znany pisarz *science fiction*, który w jednym ze swych opowiadań, „Logika imperium”, nazwał wspomnianą zasadę „teorią diabła”. Bohater opowiadania, wdając się w dyskusję, przekonuje, że bezmyślność jest rodzajem odruchowego działania, czy może raczej antydziałania, w które człowiek popada niejako z inercji. Jest to, co uświadamiam sobie z pewną zgrozą, tryb domyślny. Może popaść w niego każdy, również ludzie zasadniczo roztropni.

To nie tak, że można być jedynie, na dobre i na złe, mądrym lub głupim; człowiek na co dzień mądry jest zdolny również do czynów rozpaczliwie głupich, nie ma to bowiem nic wspólnego z inteligencją czy wykształceniem. Głupota to raczej rodzaj bezwładu, zaślepienia. Jak wręcz poetycko definiuje i przestrzega Encyklopedia PWN, „charakteryzuje się dążnością do ekspansji, śmiałością, pychą, niezdolnością do zdziwienia i podejrzliwości”. Innymi słowy: głupota to właściwość głęboko ludzka, a jednocześnie anulująca

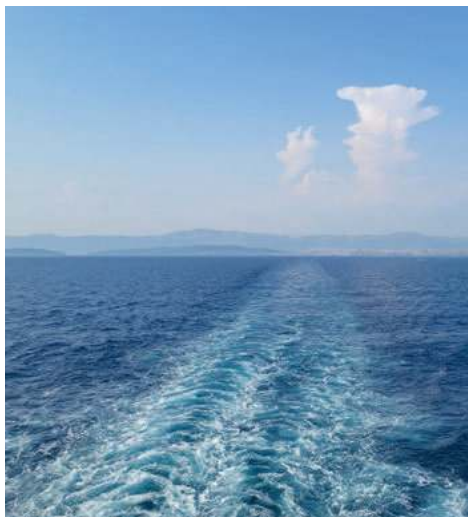
wszystko to, co w byciu człowiekiem cenne, piękne i warte pracy.

Brzytwą Hanlona to przydatny otrzeźwiacz, pomocny w sytuacjach, gdy wciąga nas pokusa objaśniania sobie wszystkiego celowymi działaniami, uwzięciem się, knuciem. Pokusa ta jest silna, bo odpowiada na wiele arcyłudzkich potrzeb: doszukiwania się połączeń przyczynowo-skutkowych, przejrzenia tajemnicy, wreszcie – postawienia siebie w centrum wydarzeń, choćby najgorszych, bo dla wielu zapewne łatwiejsze do strawienia jest bycie ofiarą spisku niż okoliczności. Ale uznanie głupoty wiąże się również z koniecznością stanięcia oko w oko z niewątpliwą grozą – uznaniem, że to program, który nieustannie działa w tle i nie sposób się przed nim stuprocentowo obronić.

Niemiecki pastor i przeciwnik nazizmu zabity z rozkazu Hitlera, Dietrich Bonhoeffer pisał, że z głupotą trudniej walczyć niż z przemyślanym złem. Wyjaśniał, że zło może zostać zdemaskowane, istnieją przeciw niemu również środki prewencji, zaś głupota sprawia, że ktoś nią owładnięty „jest jakby zaklęty, a przeobrażony w bezmyślne narzędzie, staje się zdolny do wszelkiego zła, jednocześnie nie mogąc dostrzec, że jest ono złem”. Przychodzą na myśl wszystkie te zdumiewające sytuacje, w których stojący przed sądem sprawca jakiegoś zła wyznaje: „nie wiem, dlaczego to zrobiłem”. Jestem w pełni skłonna uwierzyć w to wyjaśnienie. Głupota, zła głupota jest bowiem w takiej perspektywie niebezpiecznym rewersem uważności, którą dziś tak się zaleca – i sprawca zostaje tak w pełni pochłonięty „byciem tu i teraz” w swoim głupio niszczycielskim działaniu, że jego siła prowadzi go jak gołęma. Czasem nawet w położe działania ktoś może ochłonąć i zastanowić się: co ja właściwie robię i dlaczego – lecz maszyna już zostaje puszczona w ruch.

W brzytwie Hanlona kryje się również pułapka: przeniesienie ciężaru ze złej woli na głupotę może przynosić poczucie fałszywej ulgi, że oto jakiś czyn jest wynikiem pomyłki, błędu, przeoczenia, co prowadzi do pomniejszenia wiary w działanie z premedytacją. Ale Heinlein w swoim opowiadaniu, opublikowanym zresztą w czasie II wojny światowej, pozostawia sprawę niedomkniętą, nie kończąc dialogu między swymi bohaterami. Dlatego nie warto zupełnie zbywać czy wykluczać motywacji z czystej podłości. Wszak sam pastor Bonhoeffer, który refleksji nad naturą głupoty poświęcił się już po aresztowaniu, zginął niemal na sekundy przed upadkiem Trzeciej Rzeszy, gdyż za osobistego, wymarzonego wroga uznał go człowiek będący uosobieniem zła – i chcący się mścić do swojego końca. ©

Obiegowa
mądrość głosi,
że głupota
to substancja
w tym świecie
nieskończona



OLGA DRENDA

Olga Drenda jest etnologą, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

PARASOL MACRONA

Od chwili załamania się relacji Europa-USA francuski prezydent nie schodzi z dyplomatycznego frontu. Zagrzewa Stary Kontynent do zbrojeń, próbuje godzić Trumpa z Zełenskim, a europejskim partnerom oferuje francuską ochronę jądrową.

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

DWA SPEKTAKLE, KAŻDY O ZGOŁA INNEJ dramaturgii i temperaturze. Jeden wywołał burzę i falę komentarzy. Drugi, jak się zdaje, odnotowano tak, jakby był czymś naturalnym.

W obu przypadkach scenerią był Gabinet Ovalny w Białym Domu. O spotkaniu prezydentów Ukrainy i USA, Wołodomyra Zełenskigo i Donalda Trumpa, które przerodziło się na koniec w seans ponizania ukraińskiego gościa przez gospodarza i jego zastępcę J.D. Vance'a, powiedziano już chyba wszystko. Przypomnijmy więc, co zdarzyło się w tymże gabinecie 24 stycznia, cztery dni przed wizytą Zełenskigo.

Tego dnia Trump gościł prezydenta Francji Emmanuela Macrona. Był on pierwszym europejskim przywódcą przyjętym w Białym Domu po monachijskiej konferencji bezpieczeństwa, fatalnej dla relacji USA-Europa.

Obaj prezydenci poklepywali się rubasznie po kolanach i po plecach, chwytali spontanicznie za ręce jak kochankowie, nie szczędzili sobie czułych słów. Macron zwracał się do rozmówcy „drogi Donaldzie”. Trump wychwalał inteligencję „Emmanuela” i wdzięki jego żony. Z sentymentem wspominali dawne rozmowy: wspólną kolację w restauracji na wieży Eiffla oraz niedawną, grudniową, wizytę Amerykanina w Paryżu z okazji ponownego otwarcia katedry Notre-Dame.

Co wolno Emmanuelowi, a co Wołodomyrowi

To atmosfera spotkania. A jego treść? Pod tym względem Macron nie różnił się tak bardzo od Zełenskigo. Kilka razy poprawił gospodarza, zaznaczając – wbrew wcześniejszym twierdzeniom Trumpa – że to Rosja napadła na Ukrainę, że pomoc europejska w tej wojnie przewyższyła pod względem łącznej kwoty pomoc amerykańską i że trwały pokój musi zawierać gwarancje bezpieczeństwa dla Kijowa.

Macron spierał się publicznie z Trumpem, nie przestając przy tym łechtać jego próżności. Z kolei Zełenski mówił potem prawie to samo, tyle że od pewnego momentu – od chwili, gdy do rozmowy włączył się Vance – nie troszcząc się o kurtuazję wobec obu gospodarzy. Co z tego może wynikać?

Nie chodzi tu (tylko) o osobiste sympatie i antypatie między politykami, lecz o nierówną pozycję geopolityczną Paryża i Kijowa. Francja, kraj posiadający broń jądrową (i będący niezależnym od nikogo w kwestii jej produkcji i serwisowania – tutaj w odróżnieniu od Wielkiej Brytanii, która też ma rakiet atomowe, ale jest uzależniona od technicznego wsparcia z USA), kraj będący wciąż siodmą gospodarką świata, kraj położony daleko od Rosji i mający gotowy do użycia korpus ekspedy-

cyjny (Legię Cudzoziemską) – tak, Francja Macrona może sobie pozwolić na spór z pierwszym światowym mocarstwem.

Zwłaszcza jeśli gra w europejskim zespole, a nie w pojedynkę. Natomiast Ukraina, wycieńczona egzystencjalną wojną o przetrwanie i – jak pokazują boleśnie ostatnie dni – uzależniona od pomocy Stanów, jest w dużo gorszym położeniu.

Amerykański prezydent liczy się tylko z silnymi. Tylko takich szanuje. Stąd krytykę Macrona zniósł w milczeniu, a Zełenskigo wyrzucił za drzwi.

Ale bez sukcesu

Zasadnicze pytanie brzmi jednak inaczej: czy dyplomacja Macrona i jego poufałości z Trumpem odniosły jakiś realny skutek? Czy skłoniły prezydenta USA do zmiany zdania?

Otóż nic na razie na to nie wskazuje. Francuski dziennik „Le Monde” nazwał rozmowę Macrona z Trumpem wręcz „dialogiem głuchych”. Każdy pozostał przy swoim. Podobnie jak w przypadku nieco późniejszej wizyty brytyjskiego premiera Keira Starmera w Waszyngtonie.

Ani Macron, ani Starmer nie zachwiali przekonaniem Trumpa, że trzeba dobić targu w bezpośrednich negocjacjach z Putinem. Cóż z tego, że stanie się to kosz-



Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski, premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer i prezydent Francji Emmanuel Macron podczas szczytu w Lancaster House. Londyn, Wielka Brytania, 2 marca 2025 r.

tem Ukrainy i bez oglądania się przez Biały Dom na protesty płynące z Europy (zresztą podzielonej w tej kwestii, patrz Węgry i Słowacja).

– W czasie tego spotkania Trump powiedział Zełenskiemu: „Nie masz żadnych kart w ręku!”. Czy to się nam podoba, czy nie, jest w tym wiele prawdy nie tylko w odniesieniu do Ukrainy, ale i do całej Europy – komentuje w rozmowie z „Tygodnikiem” Pierre Haroche, polito-

log z Uniwersytetu Katolickiego w Lille, znawca kwestii europejskiego bezpieczeństwa.

– Nie jesteśmy w stanie zmusić Stanów do zrobienia tego, czego one nie chcą. Można nawet mieć wrażenie, że im bardziej Europa i Ukraina mówią o gwarancjach bezpieczeństwa dla Kijowa, tym bardziej stanowisko USA się usztywnia. Tak odbieram też tło kłótni w Białym Domu – ocenia Haroche.

Nowy alians francusko-brytyjski

Pierre Haroche jest mimo to umiarkowanym optymistą: uważa, że stanowisko Waszyngtonu może z czasem ewoluować. Jednak aby tak się stało, europejska koalicja proukraińska musi zmienić metodę działania wobec Trumpa.

Haroche: – Trump nie ma empatii dla słabych. Powtarzanie mu, że potrzebujemy Ameryki, bo bez niej przegramy, ↳



KYODO NEWS / GETTY IMAGES

Francuski myśliwiec Rafale może przenosić pociski rakietowe ASMP-A uzbrojone w głowice jądrowe

→ do niczego nie prowadzi. Ale jeśli Europa pokaże swoją determinację w pomocy dla Ukrainy, to prezydent USA może w końcu potraktuje ją poważnie.

Pewną zmianę metody już widać. Rolę liderów w mobilizowaniu Europejczyków przejęły dwa państwa posiadające broń jądrową: Francja i Wielka Brytania. Do zbliżenia francusko-brytyjskiego doszło w ciągu ostatnich tygodni, właśnie po powrocie Trumpa do Białego Domu.

– Ten alians francusko-brytyjski wziął się z konieczności. W Europie są tylko te dwa kraje, które mają równocześnie tak silny potencjał militarny, są członkami Rady Bezpieczeństwa ONZ i mają broń jądrową. Fakt, że wcześniej Wielka Brytania opuściła Unię Europejską, nie mógł być tutaj przeszkodą – komentuje dla „Tygodnika” Dominique Moïsi, znany francuski politolog i ekspert od spraw międzynarodowych.

– Ponadto w Niemczech trwa przekazanie władzy. Wiadomo, że kanclerzem będzie Friedrich Merz, choć nie wiadomo jeszcze, z kim będzie rządzić. To

sprzyja formowaniu się sojuszu Paryża i Londynu, który w sensie historycznym można widzieć jako powrót do *entente cordiale*, aliansu sprzed I wojny światowej – uważa Dominique Moïsi.

Paryż i Londyn za sterem

Przypomnijmy kolejne kroki Macrona.

Najpierw, nazajutrz po Monachium, zorganizował w Paryżu zlot przywódców największych krajów Unii, w tym Polski, a także Wielkiej Brytanii. Spotkanie ujawniło głównie rozbieżności i nie doprowadziło do konkretów. Może poza jednym: potwierdzono, że w Unii będzie można wyłączyć wydatki na obronność z zasady dyscypliny budżetowej, obowiązującej państwa unijne (deficyt budżetowy nie może przekraczać 3 proc. PKB).

Kolejnym etapem akcji, już francusko-brytyjskiej, było nadzwyczajne spotkanie 2 marca w Londynie z udziałem kilku nastu krajów, w tym także Kanady i Turcji. Macron i Starmer zaproponowali na nim plan pokojowy dla Ukrainy, mający poparcie Zełenskigo, a przewidujący

w pierwszym etapie częściowe zawieszenie broni na miesiąc (na morzu i w powietrzu, ale już nie na lądzie).

Jakie są szanse powodzenia tego pomysłu? – Atutem propozycji francusko-brytyjskiej jest to, że wbrew temu, co głosi Trump, pokazuje on wolę Zełenskigo do zawarcia rozejmu, a jednocześnie przerzuca piłeczkę na stronę Putina. To on musi teraz pokazać, czy na serio chce zawieszenia broni. Ale to nic pewnego – twierdzi Pierre Haroche.

Mobilizowanie Europy

Plan Macrona i Starmera przewiduje też, że jeśli dojdzie do podpisania pokoju, do Ukrainy pojedzie wojskowa misja stabilizacyjna na czele z Francją i Wielką Brytanią, w której skład wejdą siły innych krajów z tzw. koalicji chętnych.

Nie wiadomo, co z tego planu wyjdzie – zwłaszcza iż Kreml otwarcie mówi, że jest przeciw i takiemu rozejmowi, i misji. Ale faktem jest, że od czasu Monachium Macron znów gra pierwsze skrzypce na scenie światowej dyplomacji.

Dwoi się i troi, by mobilizować Europejczyków do zwiększenia nakładów na zbrojenia, i stara się za wszelką cenę odgrywać rolę mediatora między USA a Ukrainą. Według informacji z Pałacu Elizejskiego, już po kłótni między Trumpem a Zełenskim, francuski prezydent dzwonił kilkakrotnie do jednego i drugiego, aby wrócić do rozmów. Jednak mimo pojednawczych deklaracji prezydenta Ukrainy, Trump zawiesił pomoc wojskową dla Kijowa i odciął go od pomocy wywiadowczej.

Ani w Waszyngtonie, ani w Moskwie

Ceniony za granicą, Macron ma natomiast bardzo złą opinię wśród swoich rodaków. Francuzi obwiniają go o rosnące znów bezrobocie i polityczną niestabilność (cztery rządy w roku 2024). Na początku tego roku notowania Macrona w sondażach były najniższe od czasu ruchu antyrządowych Żółtych Kamizelek (z lat 2018-19) i oscylowały w granicach 20 proc. poparcia.

W ostatnich tygodniach, po raz pierwszy od pół roku, prezydent odbił się w tych notowaniach, choć tylko o kilka punktów procentowych. Można to przypisać docenieniu przez Francuzów jego aktywności dyplomatycznej.

W ubiegłym tygodniu, w swoim pierwszym od wielu miesięcy telewizyjnym przemówieniu, Macron uderzył w dramatyczne tony. Mówił o zagrożeniu rosyjskim, które, jak podkreślił, dotyka już codziennie Francuzów np. za sprawą fali cyberataków na francuskie szpitale czy dezinformacji w sieci kierowanej z Moskwy.

„Kto może jeszcze wierzyć, że Rosja zadowolili się tylko Ukrainą?” – pytał Macron. Jednocześnie krytykował, choć mniej frontalnie, administrację Trumpa, mówiąc o niepewności dotyczącej dalszego wsparcia USA dla Kijowa i „niezrozumiałej decyzji” wprowadzenia amerykańskich cel na europejskie towary. „Przyszłość Europy nie może się decydować ani w Waszyngtonie, ani w Moskwie” – podkreślał.

W orędziu Macrona do Francuzów kluczowy był jeden przekaz: na przekór trudnościom gospodarczym i wysokiemu długowi publicznemu musimy zaciśnąć pasa i znaleźć pieniądze na zbrojenia. Podał przy tym jako wzór, nie po raz pierwszy, Polskę, a także kilka innych państw (Niemcy, Danię i kraje bałtyckie), które raptownie podniosły nakłady na obronność.

Następnego dnia minister obrony Sébastien Lecornu skonkretyzował zapowiedź prezydenta: Francja ma zwiększyć budżet na obronność z obecnych 51 mld do 90 mld euro rocznie.

Rozciąganie parasola

W swojej ofensywie dyplomatycznej z ostatnich tygodni Macron wyciągnął z rękawa jeszcze jednego asa: francuską broń atomową.

Uczynił to po tym, jak przyszły kanclerz Merz zapowiedział, że zamierza dyskutować z Brytyjczykami i Francuzami o możliwym rozszerzeniu ich parasola jądrowego na Niemcy. W odpowiedzi Macron odparł, że postanowił rozpocząć „debatę strategiczną” na ten temat z partnerami europejskimi. Dał też do zrozumienia, że francuska broń atomowa mogłaby – w razie konieczności – chronić także kraje sojusznice. Podkreślił jednak, że tylko prezydent Francji zachowuje i zachowa kontrolę nad „guzikiem” atomowym.

Według francuskiej doktryny obronnej broń atomowa może być użyta tylko „w razie zagrożenia żywotnych interesów” Francji. Ale te ostatnie nie zawężają się do terytorium kraju, stąd, jak wcześniej wspominali poprzednicy Macrona i także on sam, możliwe jest rozszerzenie francuskiego parasola.

Haroche: – Nowością jest przede wszystkim zainteresowanie francuskim parasolem ze strony innych krajów. Wcześniej nie chciano o tym mówić, bo wszyscy liczyli na ochronę nuklearną ze strony USA. Na razie nie ma podstaw do tego, by mówić o zwinięciu amerykańskiego parasola jądrowego, ale o wzmocnieniu go francuskim i brytyjskim atomem.

Podobnie jak inni francuscy specjaliści, Pierre Haroche zauważa, że w sytuacji napięć na linii USA-Europa oferta Macrona, wciąż dość mglista, jest szczególnie interesująca, poza Niemcami, także dla krajów Europy Wschodniej: Polski, państw bałtyckich, Rumunii.

Rozszerzenie parasola jądrowego rodziłoby wiele pytań. Począwszy od tego, że propozycja „podzielenia się” bronią nuklearną oburza we Francji zarówno nacjonalistyczną prawicę Marine Le Pen, jak i radykalnie lewicową Francję Nieujarzmioną. Czyli dwie siły, które łącznie mają ok. 40 proc. miejsc w parlamencie.

Warszawa na trzeciego?

Inną kwestią jest konsolidacja tzw. koalicji chętnych mającej bronić Ukrainy. Które kraje, oprócz Wielkiej Brytanii i Francji, mogłyby być jej silnym ogniwem?

– Jestem zdania, co wielokrotnie już powtarzałem, że do sojuszu Paryża i Londynu powinna dołączyć Warszawa jako trzeci element tego trójkąta. Po prostu w koalicji chętnych jest to kraj najmocniej broniący sprawy ukraińskiej. I który wydaje dziś na obronność, w stosunku do swojego PKB, najwięcej wśród krajów NATO – mówi „Tygodnikowi” Dominique Moïsi. © SZYMON ŁUCYK

Tekst ukończono 7 marca.

REKLAMA

BookGame

21-23 marca 2025

FESTIWAL I TARGI GIER PLANSZOWYCH

EXPO Kraków, ul. Galicyjska 9

Partner strategiczny



BILETY



BookGameKrakow.pl



Aktualna polityczna satyra na pochodzie karnawałowym w Düsseldorfie, Niemcy, 3 marca 2025 r.

Nie tak miało być

WOJCIECH KONOŃCZUK

Rosja jest w euforii i zamierza bezwzględnie wykorzystać zabiegi Trumpa, który bardzo chciałby doprowadzić do „resetu” amerykańsko-rosyjskiego. Ukraina zaś ma poczucie, że została zdradzona przez Amerykę. A nawet, że musi walczyć na dwa fronty.

OD KILKU TYGODNI W KIJOWIE PANUJE przekonanie, że jego niedawny sojusznik zaczął grać w jednej drużynie z jego rosyjskim wrogiem.

Niebywale szybkie zbliżenie Waszyngtonu z Kremlm, zakończenie izolacji Rosji, mylenie ofiary z agresorem, wstrzymanie amerykańskiej pomocy – to tylko wybrane wydarzenia z ostatnich dni, które na Ukrainie (oraz daleko poza nią) wywołały szok i niedowierzanie. Ukraińcy oczekiwali bowiem innego Trumpa.

Na dwa fronty

Zacznijmy od tego, że w listopadzie 2024 r. władze ukraińskie odniosły się do zwycięstwa Trumpa z umiarkowanym optymizmem: nowy prezydent USA miał stać się szansą na zmianę dotychczasowej polityki amerykańskiej wobec wojny.

W percepcji Kijowa administracja Joe Bidena zrobiła wprawdzie dużo – uratowała Ukrainę od klęski – ale jednak o wiele za mało, aby doprowadzić do pomyślnego zakończenia tej wojny. Strategia

poprzedniej ekipy w Waszyngtonie, która z obawy przed eskalacją konfliktu nie zdecydowała się na bardziej odważne wspieranie Ukraińców, skutkowała bowiem powolnym wykrwawianiem Ukrainy.

Owszem, Kijów – podobnie jak duża część świata – obawiał się nieprzewidywalności Trumpa. Zarazem jednak – tu paradoks – dopatrywał się w tym szansy dla siebie, uznając, że nowy prezydent USA pozostanie sojusznikiem, i że może zmusić Moskwę do zakończenia wojny.

Tymczasem działania nowej administracji w jej pierwszych tygodniach urzędowania okazały się czymś zupełnie innym – zmianą, owszem, ale bynajmniej nie taką, jakiej oczekiwała Ukraina (i nie tylko ona).

Zaczęło się od odwrócenia amerykańskiej narracji wobec Rosji – zapoczątkowanej po rozmowie telefonicznej Trumpa z Putinem. Następnie doszło do próby zmuszenia Ukraińców do podpisania kolonialnej w istocie umowy o eksploatacji zasobów mineralnych. Wresz-

cie katastrofą zakończyło się spotkanie Trump–Zelenski w Białym Domu, czego następstwem stało się wstrzymanie wsparcia USA dla Ukrainy.

Nic dziwnego, że w Kijowie powstało dziś wrażenie, że musi walczyć na dwa fronty.

Gdzie są granice ustępstw?

Szybko stało się też jasne, że prezydent Trump zmierza do możliwie najszybszego porozumienia z Kremlm, i że cenę za to miałyby zapłacić Ukraińcy.

Zaznaczmy wprawdzie od razu, że nie wiemy, co dokładnie leży na stole negocjacji amerykańsko-rosyjskich. Nie wiemy też, gdzie sięgają granice ustępstw Stanów Zjednoczonych wobec Moskwy. Jednak sam fakt, że negocjacje te odbywają się bez udziału – czy choćby nawet bez konsultacji – ze stroną ukraińską, został potraktowany jako zagrożenie interesów ukraińskich (i nie tylko ukraińskich). Trudno się zresztą dziwić, że Kijów nie chce niczego o Ukrainie bez Ukrainy.

Znaczące pogorszenie się – nazywając to ogólnie – relacji amerykańsko-ukraińskich zostało spowodowane nie tylko oczywistym sprzeciwem Kijowa wobec rozmów o zakończeniu wojny ponad ukraińskimi głowami. Ewidentnie Trump nie czuje jakichkolwiek sentymentów, jakiegokolwiek empatii wobec Ukrainy.

Najwyraźniej uznaje on, że – spośród szeregu problemów międzynarodowych, przed jakimi stoi jego administracja – wojna rosyjsko-ukraińska jest najłatwiejsza do załatwienia. Co więcej, wojna ta

stała się teraz „problemem ukraińskim” – choć przecież w istocie to Rosja i jej agresja są tutaj problemem.

Pokój, ale za jaką cenę?

W efekcie z kolejnych wypowiedzi Trumpa wynika dziś, że to nie Putina, lecz Zełenskigo postrzega jako przeszkodę w zakończeniu wojny. Nagle okazało się, że – z perspektywy Białego Domu – to Ukraina nie chce pokoju, a Rosja ma jakoby do niego prężyć.

Tymczasem, wbrew nowej amerykańskiej retoryce, to Ukraina marzy o zakończeniu wojny. Jednak nie za wszelką cenę.

Już po wyborach w USA Kijów – chcąc być postrzegany jako konstruktywny partner – zaczął wysyłać sygnały, że byłby faktycznie gotów zrezygnować z ziem okupowanych przez Rosję. W zamian jednakże oczekiwałby gwarancji bezpieczeństwa – jeśli nie w formie członkostwa w NATO, to przynajmniej w innych ramach.

Ukraińską odpowiedzią na wywrócenie przez Trumpa do góry nogami dotychczasowej amerykańskiej polityki zagranicznej jest wyraźna deklaracja, że skoro nie ma wyjścia, to zamierza – z Ameryką lub bez Ameryki – kontynuować wojnę obronną. Rzecz jasna Kijów wciąż deklaruje, że chce wstrzymania ognia, ale że musi się to stać na akceptowalnych zasadach. Swoją wolnością handlować bowiem nie zamierza.

„Efekt flagi” w Kijowie

W obecnej sytuacji Ukraińcy liczą na większą pomoc Europy. Ta zaś wysyła sygnały, że chce i może wspierać Ukrainę bardziej niż dotychczas. W ostatnich dniach i tygodniach padły ważne deklaracje, jednak kluczowe jest, aby zamienić je na skuteczne i możliwie najszybsze działania.

Choć siły ukraińskie wciąż mają za soby na kolejne kilka miesięcy, to jest jednak jasne, że w niektórych kwestiach nie da się szybko (o ile w ogóle) zastąpić Amerykanów. Dotyczy to w szczególności wsparcia w sferze danych wywiadowczych, rozpoznania i naprowadzania, a także zapewnienia części zamiennych, amunicji i raket do sprzętu produkcji amerykańskiej.

Choć w Kijowie panują więc nastroje minorowe, doszło tam do „efektu flagi” – w obliczu niespodziewanego ataku ze strony dotychczasowego głównego so-

jusznika, naród się jednoczy. Jednym głosem mówią władze i opozycja, a społeczeństwo jest w znacznym stopniu zjednoczone w oburzeniu na – jak to jest coraz częściej nazywane – „amerykańską zdradę”. Wydaje się jednak, że podskórnie obecna jest świadomość, iż przyszłość rysuje się niepewnie.

Rosyjska euforia

Radykalnie odmienne nastroje panują za to w Moskwie. Kreml i jego propaganda z coraz większym trudem skrywają euforię, patrząc na nieoczekiwane amerykańskie prezenty. Wprawdzie Rosjanie pokładali w Trumpie znaczące nadzieje, ale rozwój wydarzeń po 20 stycznia wręcz przerósł ich oczekiwania.

Wynika to nie tylko ze zmiany retoryki Waszyngtonu wobec Kijowa i wojny, ale z ewidentnego dążenia Białego Domu do nowego „resetu” w relacjach z Rosją. Co więcej, działania nowej administracji już silnie podważyły zaufanie między zachodnimi sojusznikami – nie tylko między USA i Europą, lecz także między USA i Kanadą – oraz zwiastują głęboki kryzys w relacjach transatlantyckich. Można podejrzewać, że za murami Kremla niemal codziennie strzelają korki od szampana.

Na zewnątrz oficjalna Rosja zachowuje minę pokerzysty. Ale Putin zdaje sobie sprawę, że po ponad trzech latach pełnoskalowej wojny nie jest w stanie jej wygrać na froncie. Warto o tym zresztą przypominać, bo w ferworze ostatnich wydarzeń ten prosty, choć kluczowy fakt często znika nam z pola widzenia: Ukraińcy, owszem, powoli się cofają, lecz działania wojenne wciąż toczą się w Donbasie.

Dziś Kreml pokłada jednak nadzieje już nie tylko w sile swojej armii, co w rosyjskiej dyplomacji – oraz w ignorancji i strategicznych błędach Trumpa i jego ekipy. I nie należy mieć wątpliwości, że zamierza je bezwzględnie wykorzystać.

Kremlowski kij i marchewka

Zarazem Kremlowi nigdzie się nie śpieszy. To Trump zadeklarował, że chce zakończyć wojnę „w ciągu stu dni”. Rosjanie wiedzą, że jeśli przeciwnik popełnia podręcznikowe błędy, to nie tylko należy je wykorzystywać, ale grać tak, aby było ich jeszcze więcej.

Dlatego ton Kremla, ton jego dyplomacji i propagandy wobec Trumpa jest uderzająco wręcz grzeczny i układny.

Płynie z niego przekaz, że rzekomo Rosja chce porozumienia ze Stanami Zjednoczonymi i pokoju na Ukrainie. Oraz że, oczywiście, musi to się stać „z poszanowaniem rosyjskich interesów i względów bezpieczeństwa”.

Należy przez to rozumieć – co zresztą jest praktycznie otwarcie artykułowane przez dyplomację Rosji – że cele jej wojny pozostają dokładnie takie same, jak przed 24 lutego 2022 r.

Machając gałązką oliwną i podsuwając Waszyngtonowi marchewkę, Kreml zarazem regularnie wysyła swoje „donosy” do administracji Trumpa. Z jednej strony na Zełenskigo, który rzekomo jest głównym przeciwnikiem pokoju i „uzurpuje władzę”, bo „pozbawiony jest legitymacji demokratycznej”. Można by to było zignorować, gdyby nie fakt, że echa tej narracji słychać potem w wystąpieniach amerykańskiego prezydenta.

Z drugiej strony, obrywa się również Europie, która – jak to ujął szef rosyjskiej dyplomacji Siergiej Ławrow – wspierając Kijów i planując wysłanie europejskich sił stabilizacyjnych na Ukrainę, pragnie „wielkiej wojny”.

Po chwili zaś Ławrow dodaje, że Rosja „nie zamierza się temu po prostu przyglądać”. Co ma być niedwuznacznym przekazem do europejskich elit i społeczeństw, że Moskwa jest zdeterminowana do działań, i że wojna nie musi się skończyć na Ukrainie.

Na przełomie epok

Trudno nie odnieść wrażenia, że Kreml uważa, iż trzeba pozwolić amerykańskiemu prezydentowi dalej robić to, co robił w ciągu ostatnich tygodni – i jedynie spokojnie czekać na efekty. I ten rosyjski moment „zawrotu głowy od sukcesów” może, choć nie musi, zakończyć się właśnie sukcesem.

Choć nie ma wątpliwości, że historia przyspieszyła dziś bardziej, niż ktokolwiek oczekiwał, to „piłka” wciąż jest w grze na przełomie politycznych epok. Rosja może się przeliczyć, a jej obecna pewność siebie – może się skończyć.

Bo przecież nie wszystko w tym świecie zależy od Donalda Trumpa. ©

Tekst ukończono 7 marca.

Autor jest dyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich imienia Marka Karpia w Warszawie.

Brytyjski konsens

PATRYCJA BUKALSKA

**„Specjalne relacje”
Londyn–Waszyngton
– ogłoszone niemal 80 lat temu
przez Churchilla i wydawało się,
że nienaruszalne – są
wystawiane na ciężką próbę.
Premier Starmer może być
zmuszonym określić je na nowo.**

ZWYKLE CHŁODNY I OPANOWANY, TYM razem szef brytyjskiego rządu witiał Wołodymyra Zełenskigo na Downing Street wyjątkowo wylewnie. Keir Starmer wyszedł na spotkanie swojego gościa i serdecznie go objął. Jakby pocieszając, wskazywał mu na londyńczyków, którzy zgromadzili się na sąsiednich ulicach i wiwatowali na jego cześć.

O to jednak chodziło: aby pokazać, bez cienia wątpliwości, że brytyjskie władze wspierają ukraińskiego prezydenta, który przedwcześnie musiał opuścić Waszyngton po kłótni z Donaldem Trumpem i J.D. Vance’em.

Londyńskie spotkanie Keira Starmera i Zełenskigo, a także szczyt z przywódcami kilkunastu państw następnego dnia – to jedno z wielu elementów dyplomatycznej ofensywy brytyjskiego premiera.

ZAKLINANIE TRUMPA | Kiedy świat obieła wiadomość o szokującej wymianie zdań w Gabinetcie Owalnym między Zełenskim a Trumpem i Vance’em, Starmer uznał, że zamiast wyrażać oburzenie, lepiej będzie, jak to sam określił, „zakasać rękawy” i zacząć działać.

Najpierw zadzwonił do Zełenskigo i do Trumpa, a następnego dnia przyjął ukraińskiego prezydenta na Downing Street. Po szczycie dotyczącym bezpieczeństwa, który odbył się w kolejnym dniu, udało się jeszcze zorganizować audiencję ukraińskiego przywódcy u króla Karola III.



FRANK AUGSTEIN / AP / EAST NEWS

Zaledwie kilka dni wcześniej sam Starmer był z wizytą u Trumpa. Starł się go obłaskawiać, wręczając mu napisane przez króla zaproszenie do złożenia wizyty w Szkocji. Być może nawet na zamku Balmoral – ulubionym miejscu królowej Elżbiety II, matki Karola. Trump deklaruje, że bardzo szanował Elżbietę.

Stawka tego dyplomatycznego zaklinania Trumpa – przed Starmerem podobną próbę podjął Emmanuel Macron – była wysoka: nie tylko kwestia wsparcia dla Ukrainy, ale także sprawy istotne dla samej Wielkiej Brytanii. Jak ewentualne amerykańskie cła, a także losy archipelagu Czagos. To brytyjskie terytorium zamorskie na Oceanie Indyjskim, które w 2023 r. Londyn zgodził się – w ramach dekolonizacji – przekazać Mauritiusowi. Problem w tym, że na Diego Garcia, jednej z wysp tego archipelagu, jest baza USA.

Spotkanie poszło dobrze, a Trump nawet żartował, w swoim stylu, że Starmer „zarobił tyle, ile mu tam płacą”.

HISTORYCZNY MOMENT | Jeszcze przed rozpoczęciem drugiej kadencji Trumpa było wiele obaw, czy Keirowi Starmerowi, politykowi centrolewicowej Partii Pracy, uda się z nim dogadać. Lecz jak dotąd wychodzi mu to całkiem dobrze.

– Starmer nie jest zainteresowany konfrontacją ani podkreślaniem różnic między USA a Brytanią. Nie ma zamiaru wdawać się w kłótnie z Trumpem – mówi „Tygodnikowi” dr Richard Johnson, poli-

Na Downing Street podczas spotkania przywódców europejskich w sprawie Ukrainy. Napis na banerze „Trump zdrajca. Czas wrócić do UE”. Londyn, 2 marca 2025 r.

tolog i wykładowca Queen Mary University w Londynie.

– Zarówno Starmer, jak też inni europejscy liderzy, jak Macron, zaczynają rozumieć, że jesteśmy w historycznym momencie, kiedy porządek międzynarodowy pod przywództwem Ameryki ewoluuje w coś innego – dodaje Johnson. – Jeśli w Wielkiej Brytanii oraz w Europie chcemy bronić naszych wartości, musimy być przygotowani, by zrobić to sami, bez oglądania się na USA.

CIEŃ BREXITU | Po II wojnie światowej, jak zauważa brytyjski politolog, przez większość czasu amerykańskie administracje – z wyjątkiem prezydenta Richarda Nixona i właśnie Trumpa – przy najmniej retorycznie zobowiązywały się do zachowania liberalnych wartości na świecie jako czegoś wartego obrony i wsparcia. – Teraz administracja Trumpa wykazuje tym minimalne zainteresowanie. To poważna zmiana – uważa Richard Johnson.

Ta zmiana to wyzwanie dla wszystkich Europejczyków, jednak Wielką Brytanię stawia w szczególnym położeniu. – Jest tu pewien apetyt na wyznaczenie sobie bardziej szczególnej roli niż w przeszłości – ocenia Johnson. – Być może fakt, że

Wielka Brytania znajduje się poza Unią Europejską, daje jej pewien dodatkowy stopień niezależności, który pozwala przedstawiać się jej jako przyjaciel obu stron, bez jawnego wiązania się z jedną lub drugą.

Keir Starmer podkreślał w ostatnich dniach, że chce być pomostem między Zełenskim a Trumpem. Ale to porównanie można by rozciągnąć na całe Zjednoczone Królestwo, niejako łączące Europę z USA. Tym samym mogłoby to oznaczać również koniec okołobrexitoowej retoryki, ustawiającej Brytanię w kontrze do Europy.

SPECIAL RELATIONSHIP | W marcu 1946 r. Winston Churchill, charyzmatyczny przywódca Brytyjczyków w czasie II wojny światowej, był już ekspremierem: przegrał pierwsze powojenne wybory parlamentarne. Jednak to wtedy właśnie – niejako *ex post* – wygłosił przemówienie, w którym wprowadził do obiegu pojęcie „specjalnych stosunków” (*special relationship*) między Wielką Brytanią a Stanami Zjednoczonymi (w tej samej mowie użył słynnej frazy „żelazna kurtyna”, która zapadła nad Europą, podzieloną między Zachód i strefę wpływów Stalina).

Miejsce wystąpienia może zaskakiwać: był to Westminster College, uczelnia położona w liczącym kilkanaście tysięcy mieszkańców amerykańskim miasteczku Fulton, w rolniczym stanie Missouri. Churchill przyjechał tam na zaproszenie prezydenta Harry’ego Trumana, następcy zmarłego wiosną 1945 r. Franklina Delano Roosevelta. Truman miał zachęcać Churchilla, że ów college to „wspaniała szkoła w moim rodzinnym stanie”, i że ma nadzieję, iż ekspremier da radę przybyć.

Churchill przyjechał i mówił o wyzwaniach nowego powojennego świata, o odpowiedzialności za przyszłość, o ochronie przed „dwoma wielkimi nieszczęściami: wojną i tyranią”. Aby się z tym wszystkim skutecznie zmierzyć, dowodził, potrzebne jest „braterskie stowarzyszenie narodów anglojęzycznych”, obejmujące brytyjskie Imperium, brytyjską Wspólnotę Narodów oraz Stany Zjednoczone.

Churchill nie omieszczał przejść od wizji do szczegółów i wskazać, że poza przyjaźnią i wzajemnym zrozumieniem istotne są też sprawy praktyczne, zwłaszcza współpraca wojskowa.

TROCHĘ HISTORII | Wprawdzie bliska współpraca Brytanii z USA miała miejsce już wcześniej, zanim Churchill wygłosił swą przemowę o „specjalnych stosunkach”, ale rzeczywiście to jego relacja z prezydentem Rooseveltem w czasie II wojny światowej symbolizuje ową więź ponad Atlantykiem.

– Wiąż Churchill’a i Roosevelta była istotnie szczególnie ważna – przyznaje Richard Johnson. Ale przypomina też powojenną współpracę między prezydentem Trumanem a laburzystowskim premierem Clementem Attlee, zwycięzcą pierwszych powojennych brytyjskich wyborów.

– Warto podkreślić, że u nas to jest kwestia ponadpartyjna. Zarówno laburzyści, jak i konserwatyści rozumieją znaczenie transatlantyckiego sojuszu z USA. Zawsze zdawali sobie sprawę, że Stany mają potencjał i zasięg jak żaden inny kraj na świecie, a ze względu na wspólną historię, język i powiązania kulturowe Brytania postrzega się jako kluczową część gwarancji, że USA są zaangażowane w infrastrukturę międzynarodową – mówi Johnson.

WILSON I JOHNSON | – A teraz właśnie widzimy, jak to się zaczyna walić... – mówi Johnson i tym samym wracamy do współczesności. – Starmer robi, co może, by utrzymać Stany w tej współpracy, ale jego możliwości są ograniczone.

W historii brytyjsko-amerykańskich stosunków Keir Starmer może jednak znaleźć dla siebie pewną cenną wskazówkę. Jego poprzednik na Downing Street w latach 60. i 70. XX w., lewicowy premier Harold Wilson skutecznie opierał się naciskom prezydenta USA Lyndona B. Johnsona w sprawie wsparcia dla Amerykanów toczących wojnę w Wietnamie.

Johnson: – To mogłaby być ważna lekcja dla Starmera, który nie musi zawsze zgadzać się z Trumpem. Może powiedzieć „mam inny pogląd na tę sprawę, więc tu cię nie wesprę” i to nie musi podważać całej relacji. A na marginesie: gdy Starmer starał się o przywództwo w Partii Pracy, wyznał, że jego politycznym idolem jest właśnie Wilson.

BRYTYJSKI KONSENS | Tak jak obie strony brytyjskiej sceny politycznej zgadzają się, że transatlantyckie stosunki są istotne, tak samo ponadpartyjna zgoda panuje

w kwestii pomocy dla Ukrainy. To nie zmienia się od początku inwazji Rosji: i rządząca dziś Partia Pracy, i opozycyjna Partia Konserwatywna opowiadają się za suwerennością i integralnością Ukrainy, a po kłótni w Gabinetcie Owalnym zgodnie wyraziły wsparcie dla Zełenskiego.

Co do tego, że Ukrainie trzeba pomagać, zgadzają się też Brytyjczycy. W sondażu ośrodka YouGov pytani o to, co należy zrobić w przypadku, gdyby pokój – wynegocjowany przez Trumpa bez udziału Ukrainy – oznaczał dla Ukraińców utratę części terytoriów, odpowiadali w większości, że należy ich dalej wspierać w kontynuowaniu walki. Jedynie 11 proc. uważa, że należałoby wycofać wsparcie wojskowe, gdyby Ukraińcy odmówili przyjęcia takiego porozumienia.

Dalej: 62 proc. Brytyjczyków popiera ukraińskie aspiracje do członkostwa w NATO, a aż 58 proc. deklaruje, że nie miałoby problemu z wysłaniem do Ukrainy brytyjskich żołnierzy jako sił pokojowych. Zgadzają się co do tego wyborcy Partii Pracy, Partii Konserwatywnej i Liberalnych Demokratów. Jedynie zwolennicy Reform UK, partii Nigela Farage’a, są w tej sprawie podzieleni.

KREDYT I RAKIETY | Zełenski opuszczał Londyn nie tylko ze wsparciem moralnym i politycznym. Wielka Brytania pozwoli Ukrainie na użycie 1,6 miliarda funtów kredytu eksportowego na zakup ponad 5 tys. pocisków przeciwlotniczych. Będą produkowane w Belfaście, jest to więc także korzyść dla brytyjskiego przemysłu. Londyn udzieli też Ukrainie pożyczki w wysokości ponad 2 mld funtów na obronność; zostanie ona spłacona z przychodów pochodzących z zamrożonych aktywów rosyjskich.

„Będziemy stać przy Ukrainie tak długo, jak to będzie konieczne” – zapewniał Keir Starmer. Pytanie, czy w miarę, jak pogarszają się stosunki Waszyngtonu z Kijowem, nie będzie to coraz trudniejsze.

Choćby w obliczu decyzji Trumpa o wstrzymaniu wsparcia wojskowego, a nawet odcięciu Ukraińców od informacji wywiadowczych. Te ostatnie są niezbędne, aby brytyjskie pociski manewrujące Storm Shadow, podarowane Ukraińcom, mogły precyzyjnie trafiać w cele za linią wroga. ©

Przełom w Berlinie

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z NIEMIEC

W 80. rocznicę zakończenia II wojny światowej w Berlinie zostanie odsłonięte miejsce pamięci jej polskich ofiar – ustalił „Tygodnik”.

W POLITYCZNYCH KULUARACH I EKSPERCKICH GREMIACH Berlina o tym projekcie mówi się w ostatnich tygodniach szczególnie dużo. Również na linii Warszawa–Berlin w pośpiechu ustalone są ostatnie szczegóły. Coraz mniej czasu zostało do okrągłej, 80. rocznicy zakończenia II wojny światowej, którą będziemy obchodzić 8 maja.

„Tygodnik” ustalił w kręgach organizatorów, że do tego czasu w centrum Berlina powstać ma tymczasowy pomnik upamiętniający polskie ofiary tej wojny. Ma stać w parku w centrum miasta, na przeciw gmachu Reichstagu, gdzie dziś jest siedziba Bundestagu. Finalnie w przyszłości powstać ma tam też docelowy pomnik. Ale ten wymaga jeszcze szeregu decyzji i rozpisania konkursu. A strona polska naciskała na symbol widoczny już teraz.

DLA POLSKICH OFIAR | – Łopaty jeszcze nikt nigdzie nie wbił, ale wszystko na tę chwilę wskazuje, że dzięki wsparciu władz Berlina uda się do tego doprowadzić – Jan Tombiński, polski chargé d'affaires w Berlinie [w zasadzie ambasador; jego nominacji nie chce podpisać prezydent Andrzej Duda – red.], mówi w rozmowie z „Tygodnikiem”. – 85 lat po wybuchu II wojny światowej w Berlinie wciąż brakuje miejsca, w którym można byłoby upamiętnić polskie ofiary. To się wkrótce może zmienić – dodaje z nadzieją.

Informacji tej oficjalnie nie chciał jeszcze potwierdzić jeden z głównych partnerów po stronie niemieckiej. – Ostateczne decyzje co do formy czy napisu na tablicy jeszcze nie zapadły – mówi nam prof. Peter Oliver Loew, dyrektor Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich (DPI).

JAK SIĘ ZACZĘŁO | Idea takiego pomnika sięga postaci Władysława Bartoszewskiego: to on w 2013 r. wyraził nadzieję na jego budowę. Następnie w 2017 r. grupa prominentnych postaci niemieckiego życia publicznego wezwała do jego urzeczywistnienia.

Jednak od tego czasu wśród zaangażowanych osób i instytucji po obu stronach Odry trwały ostre spory co do ostatecznej formuły. Strona polska kładła nacisk na klasyczną formę pomnikową i jak najszybszą budowę. Strona niemiecka przedstawiła szerszy pomysł budowy Domu Polsko-Niemieckiego: centrum z ekspozycją stałą dotyczącą historii niemieckiej okupacji, ale i relacji polsko-niemieckich w szerszym kontekście historycznym.

CZAS IMPASU | W ostatnich latach wokół projektu zapanował impas. Nieoficjalnie nawet przedstawiciele DPI krytykowali opieszałość federalnych instytucji, od których zależała przyszłość projektu. W końcu rząd Olafa Scholza zaakceptował realizację szerszej koncepcji Domu Polsko-Niemieckiego.

Jednak nie doczekała się ona niezbędnego głosowania w Bundestagu – rządząca koalicja zdążyła się w listopadzie 2024 r. rozpaść. Doszło wręcz do sytuacji, w której pierwotni inicjatorzy zagrozili samowolką i postawieniem pomnika na własną rękę („Tygodnik” opisywał sprawę w listopadzie 2024 r.).

Ostatnio atmosferę dodatkowo podgrzała wypowiedź historyczki Agnieszki Wiercholskiej, jednej z autorek koncepcji Domu Polsko-Niemieckiego. Na łamach „Die Welt” stwierdziła na temat samego pomnika, że problem polega częściowo na tym, iż oddawałby też hołd Polakom, „którzy np. podczas pogromu w Jedwabnem w 1941 r. brali udział w mordowaniu swoich żydowskich rodaków”.

NADZIEJA NA POPRAWĘ | Znający kulisy sprawy wskazują na ważną rolę burmistrza Berlina Kaia Wegnera i jego prawej ręki Florianu Hauera, sekretarza stanu ds. europejskich w berlińskim Senacie. Oni nadali sprawie tempa. Obaj należą do CDU. Chadecja wygrała niedawne wybory i wkrótce utworzy rząd wraz z SPD.

Doprowadzenie do powstania pomnika, choćby tymczasowego, może być rozumiane jako przyjazny gest nowego rządu wobec Warszawy. Przyszły kanclerz Friedrich Merz w czasie kampanii wielokrotnie podkreślał chęć poprawy stosunków polsko-niemieckich. Te w ostatnich latach naznaczone były antagonizmami i brakiem zaufania.

A co z finalnym pomnikiem i centrum? – Koncepcja Domu Polsko-Niemieckiego jest wciąż aktualna i mam nadzieję, że nie będziemy teraz musieli czekać kolejne lata na postępy – mówi nam Jan Tombiński. Ambasador zapewnia, że rozmawia już z politykami przyszłej koalicji, by koncepcja ta jak najszybciej została poddana pod dyskusję i następnie przyjęta w nowej kadencji Bundestagu. ©



Tymczasowy pomnik polskich ofiar ma powstać w tym miejscu. Kiedyś stała tu Opera Krolla, w gmachu której 1 września 1939 r. Hitler poinformował o ataku niemieckich wojsk na Polskę.

STANISŁAW

Mancewicz:

Polski pech



POWIADA SIĘ, ŻE POLSKI PECH BIERZE SIĘ z położenia na mapie. Co prawda przez ostatnie, przedwojenne lata, próbowaliśmy być – jeśli idzie o położenie – optymistami, ale był to optymizm jakby po lekach, czyli nienaturalny, a wspomagany. Oto tłumaczyliśmy sobie,

że położenie uchodzące od czasów zlodowaceń plejstocénskich za niedobre, można wykorzystać do umiejscowienia dużych lotnisk, dworców, kontynentalnych centrów przesiadkowych i przeładunkowych.

Zarówno wśród polityków, inżynierów i fizyków, poetów i prozaików, oraz w najszerzej pojętych kręgach specjalistów i ekspertów – czyli po prostu wszędzie – ustalono, że Polska jest wybitnym, by nie rzec najlepszym w Europie miejscem do przesiadania się w trakcie podróży, bądź do przeładowania towaru z jednej ciężarówki na drugą. Otóż w powszechnym mniemaniu w polskich kręgach zarówno decyzyjnych, jak i niedecyzyjnych, najlepiej w trakcie podróży zrobić to gdzieś w okolicach Sochaczewa. Rzecz jasna, jest nieco tras do wyznaczenia, na których przesiadka w Baranowie pod Sochaczewem będzie miała sens i można by w tym magicznym miejscu wybudować ogromny dworzec, ale – tak mniemamy – problemów biorących się z fatalnego położenia na mapie ten peron, czy jak kto woli pas startowy, nie rozwiąże. Polski pech jest bowiem substancją złożoną, jej smak i zapach nie wynikają wyłącznie z wyznaczenia miejsca na Ziemi.

Polski pech jest bulgoczącym kociołkiem zdarzeń – i każdy przyzna, że jest to śliczne określenie. Sumując – stwierdzenie,

że polski pech to wyłącznie wina miejsca na Ziemi, jest opinią naskórkową. Uważamy za oczywiste, że gibki autor, któremu udałoby się porządnie zbadać i opisać naszego pecha, nieustającego od czasów zlodowaceń plejstocénskich, powinien zostać sowicie nagrodzony. Materialnie i symbolicznie. Mamy na myśli nagrodę pieniężną, jakiś order bądź choćby wieniec. Piszemy dziś o polskim pechu, bowiem jest okazja. Już słyszemy tu i ówdzie śmiechy oraz krytyczne uwagi, że mianowicie okazja po temu jest przecież zawsze. No więc zgoda, ale jednak zważyć należy, że czas jest jednak szczególnie ciekawy. I pechowy.

Popatrzmy uważnie. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów kraj nasz nie jest komentowaną, niepojmowaną osobliwością, wybijającą się atrakcjami w świecie wystandaryzowanej nudy politycznej. I to jest objaw szczęśliwy, czyli co najmniej niepechowy. Owszem, ten świat się w ostatnich latach na naszą korzyść zmienił. Sztafeta zaburzonych dziwolągów u władzy, o – jeszcze nie tak dawno – szokujących poglądach, to dziś norma. Zanim do tego doszło, nasi byli nie lada atrakcją. Zrozumienie, co mówią, co mają na myśli, dlaczego tak a nie inaczej wyglądają, przez kogoś spoza tutejszej etni było niemal niemożliwe, a więc było pokazywane i komentowane od Maroka po Nową Zelandię. To już przeszłość. Bo znaleźli się lepsi. Rzecz wydawała się przecież niemożliwa, a jednak członkowie amerykańskiego rządu – można rzec – przekroczyli *in corpore* granice, które dotychczas wyznaczali nasi.

Wizerunek rządu amerykańskiego jest dziś na granicy groteski, jeżeli nie jest już groteską pełną gębą i w znaczeniu dosłownym. I tu kończy się nasze szczęście wynikające z utraty pozycji lidera w kategorii „najdziwniejsza polityka świata”. Sceny, które codziennie oglądamy, skłaniają nas bowiem do trwogi, by nie rzec, że do łez. A więc pech. Znowu. Co z tego, że to nie nasi przykuwają uwagę twórców programów satyrycznych od Sydney po Kair, skoro nie ma się z czego śmiać. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

REZERWUJ
CZAS!

- **TRÓJMIASTO**, piątek 14 marca godz. 18.00, spotkanie z ks. Eligiuszem Piotrowskim, „Zmartwychwstał! Ale co to znaczy?”, Czarna Sala klasztoru oo. Dominikanów (ul. Świętojańska 72, Gdańsk)
- **ZIELONA GÓRA**, wtorek 18 marca godz. 18.00, Rozmowa z prof. dr hab. Włodzimierzem Wróblem, sędzią Izby Karnej Sądu Najwyższego RP,

„Kim jest niezawisły sędzia?”,
Prowadzenie: Konrad Stanglewicz,
Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13),

- **WARSZAWA**, czwartek 20 marca godz. 18.00, Warszawski Klub świętuje jubileusz „Tygodnika Powszechnego”, Przedwczoraj, wczoraj i dziś. 80 lat „Tygodnika Powszechnego”, Sala KIK (ul. Freta 20/24A, II piętro)

ZESKANUJ I SPRAWDŹ



więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia

Rozmowa na

WIARA

Wielki Post (2)

OBOJĘTNOŚĆ NIE WCHODZI W GRĘ

ZBIGNIEW NOSOWSKI, REDAKTOR NACZELNY „WIĘZI”:

Czasem trzeba akceptować rzeczywistość, czasem ją zmieniać.
Duchowość codzienności nie wyklucza duchowości walki.



MARCIN WÓJCIK:

Uważa się Pan za Don Kichota?

ZBIGNIEW NOSOWSKI: Rozumiem, że nawiązuje pan do grafiki, która wisi w tym pokoju? Jerzy Jaworowski, świetny grafik, narysował tego pięknego Don Kichota dla Tadeusza Mazowieckiego, założyciela i wieloletniego redaktora naczelnego naszego pisma. Rysunek wisiał w redakcji, ale gdy Mazowiecki został premierem, w 1989 r., zabral go do swojego gabinetu. Po latach odświeżyliśmy związki „Więzi” z tym wizerunkiem i wykorzystujemy go promocyjnie. To taka symboliczna polemika z tymi, którzy nam zarzucają, że nasze zmagania to bezsensowna donkiszoteria, skazana na niepowodzenie. A my uparcie staramy się kroczyć po kroczyku zmieniać rzeczywistość na lepsze.



MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”

Czasami myślę o kryzysie w Kościele jak o życiu z mężem alkoholikiem. Żona wierzy i walczy, by przestał pić, a on dalej swoje. I w końcu przychodzi taki moment, że zaufanie pęka.

Czy Pan wciąż wierzy, że ten moment nie nastąpił?

Osobiście mam najgorszy moment już za sobą. Nic trudniejszego nie może mnie w Kościele spotkać niż rozczarowanie, jakie przyniósł największy mój duchowy autorytet, Jean Vanier. To doświadczenie, dramatycznie trudne, utwierdziło mnie jednak w przekonaniu, że droga, którą pokazywał Vanier – bliskość z ludźmi słabymi, odnajdywanie Jezusa w ubogich, wrażliwość na ludzką kruchość i delikatność – jest drogą jak najbardziej słuszną, nawet jeśli on sam z niej poważnie zбочzył.

Nie mam pretensji do ludzi, którzy nie potrafią się odnaleźć w Kościele takim, jaki jest, i z niego odchodzą. Z myślą o ludziach rozczarowanych Kościołem prowadzę podcast „Półprzewodnik po nocy ciemnej”. Szukamy tam punktów orientacyjnych w drodze przez kryzysy i trudności.

Rozmawiamy w czasie ciężkiej choroby wiekowego już papieża Franciszka. Jego pontyfikat pokazuje, że w Kościele może się wiele zmienić. On świadomie rozpoczynał rozmaite procesy i pootwierał drzwi w taki sposób, że już się ich nie da zatrzaskać. Zatem zmiana jest możliwa, trzeba ją kontynuować, warto więc znaleźć swoje miejsce w tych procesach.

Skąd czerpie Pan siłę, żeby od tylu lat walczyć i wystawiać się na krytykę?

Krytyka może być przykra, ale przecież każdy, kto korzysta z prawa krytykowania innych, w sposób oczywisty otwiera się na bycie krytykowanym. Na to nie sposób się oburzać. Jeśli sam krytykuję, to nie mogę oczekiwać, że wszyscy będą mnie za to wyłącznie okłaskiwać.

A jak sobie radzę w ciężkich chwilach, których jest bardzo dużo? Przede wszystkim co wieczór (a nawet częściej...) rozmawiam z żoną. Ona jest dla mnie przyjaciółką, przewodniczką i jednocześnie superwizorką (akurat jest z zawodu psychołożką, co się tu bardzo przydaje). Nikt z ludzi bardziej mnie nie kocha i nikt skuteczniej mnie nie powstrzymuje, gdy trzeba.

Zbigniew Nosowski, Warszawa 2020 r.

A tym, co mnie napędza, jest codzienna wierność dokonanym życiowym wyborom. Jestem pewien, że Bóg mnie bardzo kocha, i jestem pewien, że moja żona mnie bardzo kocha. To daje siłę na co dzień.

A modlitwa? Czym jest dla Pana?

W sensie ścisłym – czymś, o co stale walczę w swoim zabieganym życiu aktywisty, pozostającego stale online. Kiedyś w mojej modlitwie było więcej gadania – teraz najważniejsza jest cisza, o którą najtrudniej, gdy ciągle coś się dzieje i trzeba reagować. To trochę tak jak w dojrzalej miłości, kiedy już nie potrzeba wielu słów, wystarczy potrzymanie za rękę.

Moja modlitwa to także chodzenie w Obecności. Gdy idę po mieście, to nie noszę słuchawek w uszach. Pewnie tracę przez to sporo ciekawych podkastów, ale chodzę, powtarzając słowa „Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nade mną, grzesznym” albo jeszcze prościej: „O, mój Boże, mój Ojczy, uczyni ze mną, co chcesz”. Nie jestem jeszcze na takim etapie, żeby te słowa same się we mnie „odmawiały”, ale gdy uwalniam umysł, to się włączają.

W szerszym rozumieniu chciałbym, żeby całe moje życie było modlitwą. Przecież duchowość to nie tylko praktyki pobożne, lecz także moje małżeństwo, moja rodzina, codzienne relacje z innymi, praca zawodowa, wierność moim obowiązkom, zaangażowanie społeczne, zwykłe szare obowiązki. Ale o tym łatwiej mi się teoretyzuje, gorzej z praktyką. Jestem jak Tertulian, który zaczął traktat o cierpliwości słowami: „Opowiem wam o cnocie, której sam nie posiadam”.

Od lat zadaje sobie pytanie, czy religia nie jest mniej lub bardziej uświadomioną projekcją naszych pragnień i potrzeb. Poszukiwaniem wybawienia u liderów, bóstw, instytucji i świętych. A tylko czasami dotyka czegoś, czego wypowiedzieć się nie da. Takiej intymności serca nie sposób ubrać w słowo czy metaforę. Cisza wymaga odwagi i nagości. Odarcia z iluzji i projekcji. Bo jedyne, co jest, to niepewność oczekiwania. Tylko czy można to wciąż nazwać religią?

Pan opisuje raczej wiarę niż religię. Zgadza się całkowicie, że cisza wymaga odwagi. Może zresztą właśnie dlatego tak mi trudno o ciszę, bo wciąż brak mi odwagi? →

→ Zdecydowanie jednak nie zgadzam się z myśleniem, że wiara to projekcja naszych pragnień. Dla mnie wiara to przede wszystkim spotkanie z Osobą. Takiego spotkania doświadczyłem, więc wiem, że jest nie tylko coś, co mnie przekracza, ale i Ktoś. Bóg to dużo więcej niż nasze ludzkie idee o Nim. On nie jest tylko projekcją. Mogę Go znaleźć w sobie, w bliźnich, w sprawach pozornie czysto świeckich, w codzienności, w znakach czasu, w nieoczekiwanych wydarzeniach.

Teologia codzienności podpowiada mi, że Bóg jest jednocześnie immanentny i transcendentny. Odnajduję Go wewnątrz siebie, ale zarazem on mnie nie-skończenie przekracza.

Na czym polega teologia codzienności?

Duchowość codzienności odkrywałem jako młody student teologii z oazowym zapalem, czyli można rzec: od strony Boga już znalezionej. Nie musiałem wtedy zadawać sobie pytania, czy On jest, ale jak Go doświadczyć w szarej rzeczywistości lat 80., gdy większość czasu musiałem marnować na rzeczy błahie i niemające nic wspólnego z wzniosłym powołaniem człowieka wierzącego.

Wtedy zrozumiałem, że nie trzeba na siłę koloryzować rzeczywistości czy sztucznie dodawać jej jakiegoś sakralnego wymiaru. Wystarczy dobrze wykonać swoje obowiązki, nie uciekać od nich, lecz je zaakceptować. Uznać, że to, co szare, może być piękne w swojej zwyczajności.

Dziś to oznacza przede wszystkim wspomnianą troskę o relacje. Często poja-

wiają się napięcia. Jeden z wnuków słusznie mi wypomina, gdy czasem sprawdzam na smartfonie jakieś informacje, które do mnie przychodzą, że ciągle „siędzę w tej Więzi”, a ja stopniowo uczę się, że można mu powiedzieć: tak, teraz naprawdę muszę coś sprawdzić, bo ktoś tego bardzo potrzebuje, tak jak ty potrzebujesz być ze mną. Ale za chwilę wracam i mamy czas tylko dla siebie.

Powiedział Pan, że dochodził do teologii codzienności od strony Boga już znalezionej. Czy faktycznie da się Boga znaleźć? Ja myślę, że można Go tylko poszukiwać i że czasami się to udaje.

Jedno drugiego nie wyklucza. Znaleźć to nie znaczy przestać szukać. A czasem ten, kto myśli, że wciąż szuka, już w istocie Boga znalazł. Kiedyś powiedziałem o ks. Adamie Bonieckim, że jest tak wiarygodny jako przewodnik po świecie ducha, bo doskonale wiadomo, że już znalazł, ale zarazem wciąż szuka.

Ja mogę powiedzieć, że Boga spotkałem – i właśnie dlatego wciąż Go szukam. Tylko niech mnie pan nie prosi, żebym opisywał to spotkanie! To było doświadczenie zmieniające moje życie i ustawiające je w innej perspektywie, ale wciąż nie potrafię go opowiedzieć innym, choć minęło od tego czasu już 45 lat. Dzięki temu mogę jednak szczerze mówić duchowym poszukiwaczom, że ich szukanie Boga nie jest czekaniem na Godota. On jest, On przychodzi, można i warto Mu zaufać.

Jak to Panu wychodzi w praktyce?

Zdecydowanie źle. Albo może, ujmując to kategoriami szkolnymi – dostatecznie.

W porannej modlitwie powtarzam słowa kard. Leo Suenensa, które są dla mnie coraz większym wyzwaniem: „Pragnę spoglądać na świat oczyma przepełnionymi miłością, patrzeć ponad to, co jest tylko pozorem, widzieć Twoje dzieci tak, jak Ty sam widzisz, i dostrzegać w nich to, co dobre”. Bardzo chciałbym móc skupić się na dostrzeganiu w ludziach przede wszystkim dobra. Sęk w tym, że skoro pisuję o strukturach zła w Kościele, to muszę zajmować się także złem – i złymi czynami konkretnych ludzi, i złem systemowym.

Musi Pan?

Muszę nie dlatego, że ktoś mnie zmusza. Muszę, bo tak wybieram. Bo wiem, że to jest obecnie moje powołanie, sumienie mnie do tego wzywa – więc muszę wewnętrznie.

A z problemem, o którym mówię, radzę sobie w taki sposób, że pisząc o złu, zawsze staram się pokazywać dobro. Niektórzy, czytając powierzchownie, skupiają się na ukazywanym złu. Ale dla mnie kościelne reportaże śledcze zawsze są także o jakimś dobru, mają jakiegoś bohatera pozytywnego. Czasem są to osoby, które doświadczyły przemocy w Kościele, od których mogę się uczyć wytrwałości w wierze i nadziei mimo wszystko. Czasem to jacyś cisi bohaterowie, którzy samotnie walczą o sprawiedliwość, bez których by się to wszystko nie dokonało.

Promuje Pan postawę akceptującą i współczującą, ale jednocześnie jest Pan też wojownikiem. Jak to pogodzić?

Ma pan rację, to są dwie różne postawy. Duchowość codzienności wychodzi z za-

RAFAŁ CHOJNACKI @JUMP // GRAŻYNA MAKARA // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Nowy cykl Podkastu Tygodnika Powszechnego:

CIEKAWÉ, CO CZYTA

Nasi idole i ulubieńcy. Aktorki i aktorzy, muzycy, sportowcy, piosenkarki i piosenkarze. Jakie książki czytają przed snem, co ostatnio ściągnęły na swój czytnik, który tytuł ich zachwycił?

Posłuchaj rozmowy Moniki Ochędowskiej z **MASZĄ WĄGROCKĄ**



łożenia, że akceptujemy rzeczywistość taką, jaka jest. Duchowość walki wynika z diagnozy, że rzeczywistość trzeba zmieniać, trzeba się zmagać, na przykład o Kościół.

Ale łączenie tych aspektów nie wydaje mi się szczególnie trudne. Przecież życie jest bardzo różnorodne i w różnych sytuacjach trzeba różnie reagować. „Weselcie się z tymi, którzy się weselą, płaczcie z tymi, którzy płaczą” – czytamy w Liście do Rzymian. To znaczy także: walczyć z walczącymi, milczyć z milczącymi.

Gdzie jest ta granica między zgodą a niezgodą? Między akceptacją faktu, że całego świata nie zmienimy, a przymusem działania, bo trzeba pomagać ludziom cierpiącym. Mam wrażenie, jakby jedna część Pana mówiła: pozostanę w ciszy, będę się uczył kochać, a druga krzyczała: nie, nie, nie! Ludzie cierpią, trzeba biec.

To dwie strony tego samego medalu. W sposób najprostszy i dla każdego zrozumiały porządkuje to słynna modlitwa Anonimowych Alkoholików, przypisywana różnym autorom: „Boże, użycz mi pogody ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić; odwagi, abym zmieniał to, co mogę zmienić; i mądrości, abym odróżniał jedno od drugiego”.

Zadam więc to słynne pytanie: co by Pan zrobił, widząc oprawcę porzucającego ofiarę w rowie?

Pomógł ofierze czy biegł za oprawcą?

Przy takim pytaniu także kwestionuję podejście: albo–albo. Jasne, że zdecydowanie będę po stronie słabszego. Ale nie ma tu, według mnie, uniwersalnej odpowiedzi. To, co bym zrobił w danym momencie, byłoby zależne od błyskawicznego procesu rozeznania. Trzeba zorientować się, czy krzywda jest tak wielka, że wymaga natychmiastowej pomocy ofierze, czy może trzeba próbować szybko złapać sprawcę, bo akurat nie ma innych świadków.

Jest jeszcze jedna możliwość: obojętność. Pan nie przejdzie obojętnie. Dlaczego?

Obojętność nie wchodzi w grę. Bo człowieczeństwo, a tym bardziej chrześcijaństwo, weryfikuje się przez stosunek do słabszych, do skrzywdzonych.



MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”

ZBIGNIEW NOSOWSKI

(ur. 1961) jest redaktorem naczelnym kwartalnika „Więź”. W latach 2001 i 2005 był świeckim audytorem synodu biskupów w Watykanie. W latach 2002-08 konsultor Papieskiej Rady ds. Świeckich. Współtwórca inicjatywy Zranieni w Kościele. Autor reportaży śledczych o ukrywaniu pedofilii w Kościele „Przeczekamy i prosimy o przeczekanie”. 24 listopada odebrał Nagrodę Znak i Hestii im. ks. Józefa Tischnera za pisarstwo będące kontynuacją Tischnerowskiego „myślenia według wartości”.

Ktoś inny powie, że warto być przyzwoitym w obrębie własnej strefy wpływu: rodziny, przyjaciół i sąsiadów. Że to wystarczy.

Jeśli mu to rzeczywiście wystarczy, proszę bardzo. Mnie nie wystarcza. Wychodzą z założenia, że skoro Bóg daje mi siebie, to i ja powinienem siebie dawać innym. Skoro On stał się dla mnie Chlebem, to i ja powinienem być dla innych jak chleb. Bardzo często mi się to nie udaje, ale...

– Nie mów ludziom o Bogu, kiedy nie pytają, ale żyj tak, żeby pytać zaczęli?

– Bardzo jest mi bliska ta duchowość małych braci Karola de Foucauld. A obecny papież bardzo lubi podobne słowa św. Franciszka: „Głosie Ewangelii! Jeśli trzeba, nawet słowami”.

Takie podejście jest dziś bardzo potrzebne, bo – pomimo tylu stuleci ewangelizacji i chrystianizacji – sporo ludzi tak naprawdę Boga jeszcze nie poznało. Za to poznali wiele fałszywych, zmanipulowanych przedstawień tegoż Boga. Mogli też doświadczyć zła od tych, którzy czynią się Jego przedstawicielami. Dlatego warto im opowiadać o Bogu nie słowami najpierw, lecz życiem.

Kiedy zaczęła się pełnoskalowa wojna w Ukrainie, poszedłem na Dworzec Główny w Krakowie, który był dosłownie usłany uchodźcami. Rozpłakałem się, gdy tam stałem. Czuję się tak bezradny. Zaczętem pomagać z pełną świadomością, że robię to nie tylko dla nich,

ale także dla siebie, bo nie wiem, co z tymi emocjami począć.

Nie ma w tym niczego niestosownego. Ewangelia podpowiada, że rozdając siebie, znajdujesz siebie. Znowu nie jest to albo–albo.

Nie ma Pan poczucia bezradności?

Miewam. Ale mam też przekonanie, że nie ma bezradności ostatecznej, bo po mojej stronie zawsze jest jakiś wybór. Tworząc portal Więź.pl uczyniliśmy jego mottem bardzo mądre zdanie z eseju Tadeusza Mazowieckiego „Powrót do najprostszych pytań”. Tuż po śmierci swojej żony zanotował on, że „pytania, na które nie ma odpowiedzi, rozwiązujemy nie przez wyjaśnienie ich, ale przez postawę wobec nich”. W podobny sposób podchodziłbym do problemu bezradności. Nawet jeśli nie można komuś pomóc, to można z nim być. A to już nie jest bezradność.

Jest Pan optymistą.

Tomasz Halik opowiada, że gdy go pytają, czy jest optymistą, czy pesymistą, mówi: „Jestem człowiekiem walczącym o nadzieję”. To także moja postawa. Walczę o nadzieję, nie chcę ulec zgorzknieniu i zniechęceniu, choć powodów do narzekania przybywa.

Tego mnie nauczyło także towarzyszenie ludziom po koszmarnych doświadczeniach przemocy. Skoro oni na dnie cierpienia potrafią skutecznie walczyć o nadzieję, to tym bardziej ja powinienem.

© Rozmawiał MARCIN WÓJCİK



DANIEL PETER / BENEDIKTUSHOF

Willigis Jäger

Kropla w morzu, morze w kropli

PIOTR SIKORA

Sto lat temu urodził się Willigis Jäger – benedyktyński mnich i jednocześnie mistrz zen, człowieka, którego historia życia odzwierciedla głęboką ewolucję katolicyzmu XX i XXI wieku.

JESTEŚ NICZYM FALA – MASZ SWOJE MIEJSCE, punkt widzenia na świat, ale w głębi jesteś, tak jak nieskończenie wiele innych fal, jedno z wielkim, wszechogarniającym oceanem. A ocean ten, „który z jednej strony ukazuje się jako miliardy fal, a z drugiej jest czymś więcej niż te fale”, jest tą Rzeczywistością, którą wielkie religie monoteistyczne nazywają Bogiem. Żyjesz: jedyna/y niepowta-

rzalna/y, a jednocześnie jesteś częstką wszechogarniającego Życia, które „rozwijają się w każdej żywej istocie, a jednocześnie jest o wiele, wiele większe niż wszystkie żywe istoty”.

Wytrzymać napięcie

Zdania napisane wyżej mogą być tylko słowami (fascynującymi lub niepokojącymi), a mogą też wyrażać bezpośred-

nie, egzystencjalne doświadczenie. Są tacy, którzy doświadczenia takiego się obawiają. Są inni, którzy poszukują go (i czasem osiagają) przez długotrwałe duchowe ćwiczenia. Niektórym przydarza się ono po prostu w pewnym momencie życia. Willigisowi Jägerowi przydarzyło się, gdy jako sześciolatek przyszedł z matką do pustego, cichego kościoła. Później, na wiele lat doświadczenie to ukryło się pod powierzchnią świadomości, ale cały czas oddziaływało na codzienne życie i ważne wybory młodego człowieka.

Życie Jägera od początku do końca toczyło się w napięciu pomiędzy niezależnym podążaniem własną ścieżką a przynależnością do uporządkowanych instytucji.

Urodził się 7 marca 1925 r. w Hösbach w Bawarii. Szczęśliwe dzieciństwo – dużo swobody, paczka przyjaciół, nielegalne kopanie piłki na miejscowym boisku i włączenie się po okolicy – zakończyło się, gdy dwunastoletni Willigis wyjechał do klasztoru inter-

natu gimnazjum. Dla chłopca z biednej rodziny była to jedyna możliwość dalszej nauki, okupiona jednak koniecznością poddania się surowej, niezrozumiałej dyscyplinie. Po latach wspominał okres w internacie jako najgorszy czas w swoim życiu.

Gorszy niż wojna, przez którą prześlizgnął się szczęśliwie, powołany do Wehrmachtu, ale posyłany na mniej niebezpieczne odcinki frontu. Po wojnie, wiedziony wyniesioną z domu żarliwą, tradycyjną wiarą, ale także echem przeżytego w pustym kościele doświadczenia, wstąpił do jedynego zakonu, jaki znał – benedyktynów. Ale od początku odczuwał napięcie pomiędzy nauczaną w klasztorze pobożnością a własnym duchowym pragnieniem.

Gdy przełożeni orientują się, że wypoczywa z klasztornej biblioteki dzieła hiszpańskich mistyków, Jana od Krzyża i Teresy z Ávili, dają mu do zrozumienia, iż to nie jest odpowiednia lektura dla nowicjusza. Pobożne rozważanie według przygotowanych wcześniej punktów (i formułowanie na tej podstawie moralnych postanowień) jest ich zdaniem bezpieczniejsze od bezmiaru mistycznej ciszy.

Kościół katolicki połowy XX wieku był dość nieufny wobec własnej tradycji mistycznej. W wielu środowiskach uważano, że doświadczenie mistyczne przeznaczone jest tylko dla wybranych, a pragnienie podążania tą ścieżką to wyraz „duchowego zachwytu”. Młody Willigis, czytający hiszpańskich mistyków i próbujący praktykować to, o czym pisali, był w swych wysiłkach zupełnie sam, niezrozumiany przez zakonnych współbraci. Podobną samotność przeżywało wówczas wiele osób o podobnym duchowym nastawieniu.

Wykorzystać okazje

Ale Jäger ma szczęście. Zaangażowany w rozmaite dzieła misyjne, sporo podróżuje. Tak spotyka m.in. jezuitę i nauczyciela zen, Hugo Enomię-Lassalle'a. Odkrywa, że istnieje żywa tradycja, kulturowo bardzo odległa, ale duchowo bliska temu, co on sam (samotnie) praktykuje. Poznaje zen poprzez katolickiego księdza, więc widzi, że mistykę chrześcijańską i zen można łączyć w osobistej praktyce.

Po raz kolejny los się doń uśmiecha na początku lat 70. Benedyktyni otwierają klasztor w Japonii, w mieście, w którym naucza mistrz Lassalle'a. Willigis podejmuje szybką, choć ryzykowną decyzję: zgłasza się na misję, wyjeżdża do Japonii i zostaje uczniem Roshiego Yamady. Praktykuje pod jego kierunkiem przez kilka lat. Po powrocie do Niemiec, w 1980 r., otrzymuje od mistrza pozwolenie na samodzielne nauczanie zen. W 1983 r. zakłada przy macierzystym klasztorze ośrodek, w którym naucza zarówno kontemplacji chrześcijańskiej, jak i medytacji zen. W 1996 r. zostaje uznany za mistrza zen w linii Sanbo Kyodan.

Jäger odnalazł w zen konkretną praktykę, która współgrała z jego doświadczeniem duchowym i rozumieniem pism mistyków chrześcijańskich. Po spotkaniu z Lassalle'em i roshim Yamadą bliższym niż Jan od Krzyża i Teresa z Ávili stał się mu Mistrz Eckhart. Wiązało się to z jego ewolucją rozumienia Boga, świata i siebie. Z coraz większym dystansem traktował antropomorficzny obraz Boga jako najwyższego bytu oddzielnego do człowieka i otaczającej nas rzeczywistości. Coraz wyraźniej odkrywał, że to, co nazywamy swoim „ja”, jest bardziej konstruktem świadomości niż trwałym, niezależnym bytem.

Coraz bardziej cenił apofatyczny nurt chrześcijaństwa, który podkreśla, że Rzeczywistość nazywana Bogiem przekracza wszelkie ludzkie obrazy i konceptualizacje. Chcąc nauczać, nie mógł jednak po prostu trwać w ciszy. Bliższe jego doświadczeniu i dominujące w jego pismach i mowach stały się metafory nieosobowe (czy, jak on sam lubił podkreślać: transosobowe), które podkreślają boską immanencję i jedność z całą rzeczywistością: oceanu i fal, wszechogarniającego i bogatego w formy życia czy tańca. „Bóg tańczy stworzenie. On jest tańcem i tańcem w jednym. Również my jesteśmy tancerzami i tańcem – całkowicie indywidualnym, jednorazowym, niepowtarzalnym krokiem Boga”.

W 2000 r. Jägerowi zaczyna przypaływać się krytycznie Kongregacja Nauki Wiary pod przewodnictwem kard. Ratzingera. Dwa lata później dostaje zakaż prowadzenia kursów kontemplacji i medytacji zen. Podporządkowuje się na dwa tygodnie. Później opuszcza

macierzyste opactwo. Z najbliższymi uczniami i współpracownikami zakłada nowy ośrodek – Benediktushof – międzyreligijne centrum medytacji i rozwoju świadomości w nieczynnym benedyktyńskim klasztorze, wykupionym i ofiarowanym przez jedną z jego uczennic. W 2009 r. Jäger opuszcza szkołę zen Sanbo Kyodan i zakłada własną, świecką linię zen „Pusta Chmura”. Rozwija ją do śmierci w marcu 2020 r.

Iść odważnie

Był człowiekiem, który od dzieciństwa podążał własną ścieżką. Mistyczne doświadczenie, jakie mu się wtedy przydarzyło i którego jako sześciolatek nie rozumiał, nie przeszkodziło mu przez następne lata włączyć się z kumplami bez nadzoru rodziców i forsować nielegalnie ogrodzenie boiska do piłki nożnej. Potem przyszły lata samotnych poszukiwań, niechętnie widzianych przez klasztornych przełożonych. Potem lata treningu pod okiem mistrza Yamady i dwie dekady prowadzenia ludzi do duchowego doświadczenia w ramach przyklasztornego „duszpasterstwa,” naznaczone konfliktem z dwiema hierarchicznymi instytucjami, buddyjską i katolicką.

Czy wszystko można wyjaśnić cechami osobowości Willigisa, który, jak napisał o nim jego najbliższy uczeń i następca, Alexander Poraj-Żakiej, „lubił być swoim własnym szefem”? A może ujawnia się tu paradoks, o którym Jäger pisał w wielu swoich dziełach: przywiązanie do naszego małego, empirycznego *ego*, jako do trwałego bytu, i chęć zachowania go za wszelką cenę jest złudzeniem, które przesłania nam naszą jedność z Rzeczywistością nazywaną Bogiem. Jednak z drugiej strony, rozpoznanie względności i nietrwałości „ja” nie osłabia naszej osobowości, przeciwnie – często ją wzmacnia i daje siłę do przeciwstawiania się opresyjnym społecznym strukturom; pozwala zaryzykować wytyczanie własnej, niepowtarzalnej ścieżki życia.

Miał silną osobowość i zapewne niełatwo było z nim wytrzymać. Ale z drugiej strony potrafił wytworzyć w prowadzonym przez siebie ośrodku atmosferę, która wielu jego uczniom pozwalała traktować Benediktushof jak drugi, a nawet pierwszy dom. Jego uczennica, Marsha Linehan, twórczyni terapii →

→ dialektyczno-behawioralnej, która wielokrotnie spędzała dłuższe i krótsze odosobnienia w ośrodku, wspominała, że podczas jednego z pierwszych takich pobyków przeżywała potężny kryzys psychiczny (długotrwałe odosobnienia medytacyjne mogą do takich prowadzić) i cierpiała na bezsenność. Budziła Willigisa z prośbą o rozmowę, a on wstawał w nocy, by wesprzeć ją w trudnych chwilach.

Zostawił po sobie dobrze funkcjonujący ośrodek, fundację „Mądrość Wschodu i Zachodu” i świecką linię zen „Pusta Chmura” (działają także w Polsce). Częścią „dziedzictwa” Jägera jest też terapia dialektyczno-behawioralna, stworzona przez Marshę Linehan – najlepszy dowód, że wychowywał swoich uczniów do samodzielności. Willigis był zafascynowany Carlem Gustawem Jungiem i psychologią transpersonalną. Linehan przyjechała do niego jako behawiorystka – przedstawicielka nurtu bardzo krytycznego wobec psychologicznych bohaterów Jägera. Po kilku latach treningu nie tylko została mianowana przez Willigisa nauczycielką zen, ale – jak sama przyznała – zintegrowała z terapią behawioralną to, czego nauczyła się w Benediktushof. Można powiedzieć: gdyby nie otwartość i elastyczność ich obojga – Willigisa i Marshy – nie byłoby dziś jednego z nurtów psychoterapeutycznych najsukcesowniejszych w leczeniu osób z tendencjami samobójczymi i zaburzeniami osobowości typu borderline.

Akceptować niedoskonałość

Jägerowi warto się przyglądać także dlatego, że w jego życiu i dziele ujawnia się ewolucja, jaka zaszła w katolicyzmie od połowy XX wieku. Za jego młodości była to religia silna instytucjonalnie, ale w dużej mierze odcięta od części głębokich nurtów swej tradycji; skupiona bardziej na dyscyplinie i poprawności teologicznej niż na poszukiwaniach duchowych; a także raczej zamknięta na dialog z innymi tradycjami duchowymi ludzkości.

Odkrycie i rozpowszechnienie znajomości mistycznych nurtów chrześcijaństwa często dokonywało się u katolików poprzez zetknięcie się z tradycjami Indii i Dalekiego Wschodu, w re-

zultacie zmian kulturowych i zawiroowań historycznych.

Pisma Jägera pokazują także, jak trudne jest tworzenie chrześcijaństwa otwartego na doświadczenie mistyczne i uczącego się od innych tradycji. Benedyktynskiemu mistrzowi zen można bowiem zarzucić, że nie jest całkiem konsekwentny w swoim myśleniu. Z jednej strony podkreśla konieczność postawy apofatycznej (uznania, że wszelkie nasze metafory i pojęcia są nieadekwatne wobec ostatecznej Rzeczywistości). Kieruje krytykę w stronę tradycyjnego, antropomorficznego ujęcia Boga i Jego relacji do świata, ale gdy sam posługuje się obrazami nieosobowymi (czy też transosobowymi) o apofatycznej postawie jakby nieco zapomina.

Sposób, w jaki instytucje kościelne potraktowały Jägera, mówi jednak więcej o ograniczeniach tychże instytucji i dużej części katolickiej wspólnoty. Willigis zawsze uważał się za chrześcijanina, chciał pozostać w Kościele i pokazać, w jaki sposób wiara chrześcijańska może zintegrować mistyczne doświadczenie oraz wyniki współczesnych badań naukowych – nawet jeśli doktrynalne struktury muszą w tym celu się zmienić. To, że benedyktyn został przez instytucje kościelne odrzucony, pokazuje, że posoborowe otwarcie Kościoła jest procesem postępującym bardzo powoli.

Ograniczeniom nauczania Willigisa Jägera trudno bowiem się dziwić. W swoich poszukiwaniach duchowych spotkał mistrzów buddyjskich – ale w bliskich sobie środowiskach chrześcijańskich był praktycznie sam. Nasze myślenie rozwija się zaś znacznie lepiej w dialogu, gdy może czerpać z bogatej i żywej tradycji. Dlatego sposób, w jaki pisał o doświadczeniu, które przeżył i ku któremu prowadził innych ludzi, można uznać za początek drogi, którą chrześcijanie muszą przebyć, jeśli chcą dokonać integracji swojej wiary z mądrością innych tradycji i współczesną naukową wiedzą o świecie. Mamy szczęście, że Willigis Jäger i jemu podobni ludzie zrobili już pierwszy krok w tym kierunku. Możemy iść dalej, korzystając z owoców ich pracy i życia.

© P. PIOTR SIKORA

Do ślubu na skróty

JOANNA GIERAK-ONOSZKO

Katechezy przedmałżeńskie to nawet tuzin cotygodniowych spotkań. By zdążyć przed „sezonem ślubnym”, trzeba zacząć już wczesną wiosną. Wiele par szuka więc alternatywy dla nudnych kursów. Albo drogi na skróty.

MAŁŻEŃSTWO SAKRAMENTALNE TO Oficjalny komunikat młodych wobec rodziny, Kościoła i Boga: tak, ślubujemy dożgonną miłość, wierność i uczciwość – mówi ks. Przemysław Śliwiński, rzecznik prasowy Archidiecezji Warszawskiej. – Tymczasem zdarza się, że sam ślub opiera się na oszustwie.

Na „nieodwołalne przymierze zawierane publicznie przez kobietę i mężczyznę w obecności Boga”, jak określa Kościół małżeństwo, można też spojrzeć z drugiej strony ołtarza. Wtedy perspektywa jest zupełnie inna: ślub kościelny to coraz częściej teatr, oparty na milczącej zgodzie, że nie zagląda się za kuliszy.

Sakrament czy zwyczaj

W 2023 r. zawarto w Polsce blisko 146 tys. małżeństw – informuje Główny Urząd Statystyczny. W latach 70., przy mniejszej populacji, było ich dwa razy tyle. Z roku na rok na ślub decydujemy się coraz rzadziej. Wolimy żyć po swojemu, coraz częściej poza tradycyjnymi czy religijnymi schematami.

Formułę: „ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską” słyszać w kościołach coraz rzadziej. Według GUS w 2023 r. zawarto zaledwie 68 tys. małżeństw wyznaniowych, w większości katolickich. Przed pandemią, w roku 2019, przed ołtarzem stanęło 125 tys. par.

Widać, jak rosnącej się nożyce, a populacja przesuwana w stronę przeciwle-



KRZYSZTOF ZATYCKI / FORUM

Pani młoda na festiwalu Poł And Rock w Kostrzynie nad Odrą. 1 sierpnia 2019 r.

głych biegunów. Na jednym znajdują się ci, dla których sakrament małżeństwa jest wciąż prawdziwym duchowym przeżyciem. Takimi osobami kieruje żywa, odczuwalna przez nie więź z Bogiem.

– Co prawda liczba zawieranych małżeństw spada, ale ci, którzy decydują się na ślub kościelny, robią to świadomie i z przekonania. Przychodzą, by się jak najwięcej dowiedzieć i wzmocnić swój związek. Chcą, by ich małżeństwo przetrwało i bardzo im zależy na dotrzymaniu przysięgi – mówi Dominika Warmuz, dyrektor Specjalistycznej Poradni Rodzinnej w Legnicy.

Na drugim krańcu są ci, którzy na ślub kościelny decydują się ze względów tradycyjnych („wszystkie kobiety w mojej rodzinie wychodziły za mąż w tej katedrze”), rodzinnych („bo inaczej babcia by nie przeżyła”), magicznych („szukamy pozytywnego rytuału, który nas sementuje”), a nawet estetycznych („żadna oprawa nie będzie tak podniosła jak ta w kościele”).

Klasycznie i na skróty

Wszystkie pary, niezależnie od intencji, z jaką pukają do kancelarii parafialnych, powinny odbyć katechezy przedślubne, zwane potocznie kursami przedmażeńskimi. Czuwają nad tym kurialne Wydziały Duszpasterstwa Rodzin. Od 1969 r. obowiązują „Instrukcje Episkopatu Polski o przygotowaniu do zawarcia małżeń-

stwa w Kościele katolickim”, w 2019 r. uzupełnione dekretem Konferencji Episkopatu Polski. Przez lata podstawa programowa niewiele się zmieniła – zakłada koncentrowanie się m.in. na teologii małżeństwa, zagrożeniach i obronie rodziny oraz „naturalnych metodach rozpoznawania płodności w kontekście świętości życia i odpowiedzialności za przyszłe losy Ojczyzny i Kościoła”.

W tradycyjnej formule to nawet tuzin cotygodniowych, rozciągniętych w czasie spotkań, które mają sprzyjać refleksji nad istotą małżeństwa i pogłębić więzi między małżonkami. Ale nie wszyscy mają na to czas i ochotę, więc Kościół od lat proponuje bardziej dostępne formy. Popularne są intensywne kursy weekendowe czy warsztaty dla par. Zmiany wymusiła też pandemia: przybyło kursów online, a w wielu parafiach zajęcia można odrobić jak obowiązkowe szkolenie z BHP, oglądając webinaria i klikając na ekranie w moduł za modulem.

Mimo to młodzi wcale się do kursów nie garną. Wielu spośród tych, którzy decydują się na ślub kościelny, podaje w wątpliwość sens tego typu zajęć. Widzą rozdział pomiędzy nauczaniem Kościoła a praktyką życia. Podczas obowiązkowych spotkań w poradni rodzinnej, gdzie omawia się wyłącznie akceptowane przez Kościół metody planowania rodziny i rzadko używa słowa „seks”, zażenowania nie ukrywają nie tylko uczest-

nicy, ale i prowadzący. Szczególnie, że wiele kursantek przychodzi z zaokrąglonymi brzuchami.

Narzeczony podstawiony

– Weszłam kiedyś na spotkania w dwóch różnych parafiach w mieście i posłuchałam. Raz było dość nudno, jednak merytorycznie okej. Innym razem byłam zażenowana tym, co słyszę. Zarówno formą przekazu, jak i brakiem wiedzy – wspomina Marieta Szymkowiak, która sama prowadziła takie zajęcia w jednej z poznańskich poradni. Kilka lat temu zrezygnowała. – Nie podobały mi się odgórne zalecenia, np. żeby w ciągu trzech spotkań nauczyć jednej z metod opartych na naturalnym cyklu kobiety. Nie da się. Nie chciałam udawać, że pary, które u mnie kończą kurs, znają taką metodę. Dlatego też zmieniałam w zaświadczeniu słowo „nauczyli się” na „zapoznali się”.

Narzeczonych interesowała praktyka. Pytali o problemy ginekologiczne, życie z teściami, powrót do intymności po porodzie. A często komunikowali wprost, że „przyszli po papierek” i nie udawali, że zależy im na nauce.

– W ciągu ok. 10 lat zdarzyło mi się kilkakrotnie być oszukiwaną. Na katechezy zamiast narzeczonych przychodzili wynajęci ludzie. Siedzieli, słuchali i mówili „obecny” przy nie swoim nazwisku – wspomina Szymkowiak. – Zdarzyło się, że narzeczony pracował →



KRZYSZTOF ZATYCKI / FORUM

Państwo młodzi na festiwalu Pol'And'Rock w Kostrzynie nad Odrą. 1 sierpnia 2019 r.

→ za granicą i dziewczyna cały kurs zrobiła z bratem. Albo narzeczona pracowała do późna, a przyszedł pan młody przychodził z mamą. Raz przyjechał ojciec narzeczonej i zaproponował 1000 zł za pieczętkę z podpisem. To była chyba najsmutniejsza próba oszustwa.

Ile za zaświadczenie

Oszuści mają coraz lepsze narzędzia, bo rewolucja cyfrowa nie omija Kościoła. „Gdzie zrobić eksternistyczne nauki przedmażeńskie, za godziwą opłatą” – to częste pytanie w internecie. Odpowiedzi są równie otwarte i przychodzą błyskawicznie. Zresztą, nie trzeba specjalnie pytać: platformy sprzedażowe i portale społecznościowe pełne są tego typu ofert. Ludzie, którzy je proponują, tłumaczą się, że chcą ułatwić innym życie. Wiedzą, że otrzymanie przepustki do sakramentu często jest dla wielu niemożliwe, a prawie zawsze wymaga wysiłku.

Wolą pozostać anonimowi. „Klara”, z którą rozmawiam, przekonuje, że jej działanie wynika z chęci pomocy.

– Młodzi pracują dziś od rana do wieczora. Nie mają jak i kiedy odbyć kursów. Dlatego jesteśmy my. Nie jesteśmy firmą, lecz ludźmi, którzy sami byli kiedyś w takiej sytuacji. Współpracujemy z parafiami i księżmi, którzy potrafią się dogadać. Dzięki temu klienci mogą dalej planować swoje śluby bez zamartwiania się o formalności.

Oferta jest szeroka. W taki sposób można uzyskać nie tylko zaświadczenie o odbyciu nauk przedmażeńskich czy wizycie w poradni rodzinnej, ale także zgodę na ślub poza parafią swego zamieszkania, dokumenty potrzebne od chrztu czy katolickiego pogrzebu.

Stawki różnią się w zależności od parafii. W regionach najbardziej religijnych są wyższe i zaczynają się od 450 zł. W Warszawie, gdzie popyt jest mniejszy, bo proporcjonalnie mniej osób myśli o ślubie w kościele, kwoty są znacznie niższe.

Zadowolonych klientów nie brak. W ich głosach słychać ulgę, że udało się sprawy załatwić szybko, dyskretnie i bez upokorzeń. „Pełen profesjonalizm, polecam z całego serca”, „Polecam! Szybki kontakt i wszystko zgodnie z ustaleniami” – komentują. O szczegółach transakcji nie chcą jednak opowiadać, nawet jeśli na forach występują pod prawdziwym nazwiskiem. Jeden z pośredników potwierdza, że pomaga rocznie ok. 700 parom. Za same tylko zaświadczenia o ukończeniu nauk, bez żadnych dodatkowych kwitów, może mieć rocznie nawet ponad 300 tys. zł.

Zaprzysiężeni księża

Rzecznik Archidiecezji Warszawskiej przyznaje, że księża mają świadomość zjawiska i wiedzą o stronach internetowych, które oferują fikcyjne zaświadczenia, czasem nawet z ich własnymi pod-

pisami. Czy takie dokumenty są fałszowane przez osoby spoza Kościoła czy raczej wystawiane przez księży poza oficjalnym obiegiem?

– Fałszerze są coraz lepsi, podrabiają pieczęcie, podpisy, hologramy. Ale czy są w to zaangażowani księża? Wątpię. Oni sami zgłaszają nam ten problem – mówi ks. Śliwiński. – Przecież o wiele łatwiej złapać i ukarać księdza niż fałszerza, który działa na zewnątrz Kościoła.

„Klara”, która pośredniczy w przekazywaniu dokumentów, twierdzi jednak, że zaświadczenia wydają duchowni: – Nie ma mowy o podrabianiu dokumentu czy oszustwie. Po prostu są jeszcze księża, którzy potrafią zrozumieć człowieka.

Inny pośrednik, „Jonasz”, też zapewnia, że korzysta ze wsparcia „zaprzysiężonych księży”, a wszystkie wystawiane przez niego zaświadczenia są od razu wpisywane przez duchownych do parafialnej bazy danych. Dzięki temu w przypadku wątpliwości możliwa jest szybka, pozytywna weryfikacja w kościelnych archiwach. Podpisany dokument, drukowany na papierze z hologramem archidiecezji, jest wysyłany klientowi w ciągu 48 godzin do domu, do pracy albo do paczkomatu.

Czy kancelarie parafialne nie mają podejrzeń i nie sprawdzają otrzymanych dokumentów?

– Ależ sprawdzają – mówi „Klara”. – Dzwonią i weryfikują autentyczność dokumentów. Ale przecież po drugiej stro-

nie telefonu jest ksiądz, który bierze za to pieniądze, więc wszystko potwierdzi.

Ks. Śliwiński przyznaje, że Kościół nie ma dobrych narzędzi do weryfikacji.

– Kiedy księdzu zapala się lampka, może zadzwonić do parafii, która wystawiła dokument, i prosić o potwierdzenie, czy rzeczywiście został on wydany. To jedyny sposób.

Druki kolekcjonerskie

Jesienią 2021 r. gdańscy dominikanie ujawnili proceder sprzedawania przez internet fałszywych zaświadczeń, na których widniały podrobione pieczęcie ich klasztoru, parafii oraz proboszcza, a także sfalszowane podpisy duszpasterzy. „Tego typu działanie jest przestępstwem i każda parafia, gdzie posługiwano się fałszywymi dokumentami, jest zobowiązana do zawiadomienia policji o podejrzeniu popełnienia przestępstwa” – napisali w oświadczeniu.

Dziś Michał Osek OP, przeor klasztoru i proboszcz parafii św. Mikołaja w Gdańsku, nie ukrywa, że niewiele to dało.

– Postępowanie trwało, dopóki było za interesowanie medialne. Potem zostało umorzone, zarówno w kwestii podrobienia podpisów, pieczętki, jak i sprzedaży dokumentów. Ale po zgłoszeniu przez nas sprawy Archidiecezja Gdańska wprowadziła jednolite zaświadczenia, z naklejką hologramową.

Tyle że fałszerze potrafią wytworzyć doskonałe repliki takich hologramów, więc handel kwitnie.

Falszowanie dokumentów lub posługiwanie się nimi jest przestępstwem zagrożonym karą pozbawienia wolności od 3 miesięcy do 5 lat (art. 270 Kodeksu karnego). Tyle że ten zapis nie działa na korzyść Kościoła, bo państwo z zasady nie uznaje akt kościelnych za dokumenty. W mocy jest zasada rozdziału Kościoła od państwa.

– W praktyce organy ścigania często uznają, że dokumenty kościelne nie spełniają definicji dokumentu w rozumieniu prawa karnego, ponieważ służą głównie do celów religijnych i nie mają bezpośredniego wpływu na prawa czy obowiązki w sferze prawa świeckiego. W rezultacie, fałszowanie takich dokumentów może nie być ścigane na gruncie prawa karnego, a sprawy mogą pozostawać bezkarni – tłumaczy dr Michał Poczmański, adwokat kościelny z Kancelarii Kanonicznej.

– I to jest przyczyna, dla której służby nie ścigają fałszerzy. Policja z pobłażaniem traktuje takie zgłoszenia, ignoruje je albo umarza. A Kościół nie ma przecież służb ani środków, by tropić fałszerzy – potwierdza ks. Przemysław Śliwiński.

„Adam”, który handluje zaświadczeniami, uprzedza swoich klientów, że wystawiony papier jest tylko dokumentem kolekcjonerskim, a posługiwanie się nim jest zabronione w rozumieniu przepisów prawa karnego. Ponadto zdecydowanie zaleca, „aby dokumenty były wykorzystywane zgodnie z prawem i etyką”.

Niegodne, ale ważne

Kodeks Prawa Kanonicznego (kan. 1391) stanowi, że ukarany może być ten, „kto sporządza fałszywy dokument kościelny (...) albo posługuje się fałszywym lub zmienionym”, a także „kto w publicznym dokumencie kościelnym potwierdza fałsz”. I grozi „sprawiedliwą karą”, którą może być suspensa (dla duchownych) lub ekskomunika (dla wiernych). W praktyce jest to martwy przepis.

Jeśli przy okazji sporządzania protokołu ślubnego dojdzie do ujawnienia fałszerstwa, konsekwencje są zwykle mało bolesne: narzeczeni (albo inni kandydaci do sakramentów) wędrują na początek planzji i rozpoczynają na nowo przygotowania w normalnym trybie.

Posługiwanie się sfalszowanym zaświadczeniem nie pociąga za sobą nieważności sakramentu.

– Po fakcie nie można nic zrobić. Pozostaje poczucie niesmaku – mówi ks. Śliwiński. – Małżeństwo zawarte po przedłożeniu sfalszowanych zaświadczeń o bierzmowaniu, spowiedzi czy odbyciu kursu, nadal jest ważne. Ważne, choć zawarte w pewnym stopniu niegodziwości.

Od tej zasady są jednak wyjątki.

– Posługiwanie się fałszywymi dokumentami kościelnymi przy zawieraniu małżeństwa może prowadzić do nieważności sakramentu, gdy na przykład służy ukryciu wcześniejszego małżeństwa – wyjaśnia dr Michał Poczmański.

Podobnie może być, jeśli podrobiony dokument zaświadczał fałszywie o chrzcie:

– Jeśli osoba podająca się za ochrzczonego ochrzczonego nie jest, oznacza to wprost nieważność sakramentu małżeństwa – mówi ks. Śliwiński.

By lepiej się poznać

Niektóre diecezje chcą usztywnić zasady i wracają do obowiązku kursów stacjonarnych. To oczywiście nie pomaga frekwencji. Rzecznik Archidiecezji Warszawskiej przyznaje, że w reakcji na kryzys jeszcze papież Benedykt XVI chciał wydłużenia obowiązkowego okresu nauk dla narzeczonych, ale ludzie coraz mniej tego potrzebują. Skoro z różnych powodów nie chcą sakramentów, to i sam kurs staje się niepotrzebną fasadą.

– Żeby zostać księdzem, przez sześć lat codziennie przygotowywałem się do pełnienia swojej roli – mówi ks. Przemysław Śliwiński. – Jestem wdzięczny za ten długi okres formacyjny. A przecież i tak jako księży nie zawsze jesteśmy gotowi i nie zawsze dajemy sobie radę. Tymczasem osoby, które mają przyjąć drugi z sakramentów „w służbie Komunii”, które mają wkrótce wziąć odpowiedzialność nie tylko za współmałżonka, ale i za dzieci, jakie w tym małżeństwie się pojawia, mają do zaliczenia tylko krótki kurs. Czasem tylko online.

Dominika Warmuz, która kieruje poradnią rodzinną w Legnicy, pracuje też w sądzie kościelnym. Widzi, z jakimi problemami przychodzą ci, którzy starają się o stwierdzenie nieważności małżeństwa.

– Każdy ma swoje wyobrażenia na temat związku i zakłada, że druga strona będzie je podzielać. To prowadzi do rozczarowań, nawet do dramatów. Dlatego tak ważne jest, by porozumieć się przed ślubem, nie po. Wszystko trzeba wcześniej między sobą omówić. Kursy przedmałżeńskie właśnie temu służą. One nie są dla mnie czy dla proboszcza, tylko dla pary, żeby lepiej się rozumiała. Bywa, że ludzie się po nich rozstają.

Katechezy przedmałżeńskie są tradycyjnym narzędziem przygotowania do sakramentu małżeństwa, ale nikt nie sprawdza, czy ono działa. Nie mierzy się ich efektywności i skuteczności, nie ma kryteriów oceny. Nie wiemy, czy dzięki nim małżeństwa są bardziej zgodne, szczęśliwe i trwałe. Nie ma ewaluacji sprawdzającej, komu przynoszą korzyści. Kościół prowadzi je w nadziei, że są wszystkim potrzebne. Narzeczeni coraz częściej udają, że tak właśnie jest, a Kościół – że im wierzy.

© JOANNA GIERAK-ONOSZKO

O. WACŁAW

Oszajca: Przemienienie



BÓG POLECA ABRAMOWI WYJŚĆ Z NAMIOU i popatrzeć na niebo. Ogrom wszechświata ma przekonać patriarchę, że dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych, co daje mocną podstawę dla nadziei, że Bóg dotrzyma danego słowa. Zawsze będzie wierny przymierzu za-

wartemu z Adamem i Ewą, następnie z Noem, a teraz z nim. „Abram uwierzył Panu, który za to uznał go za sprawiedliwego”, to znaczy mającego odwagę szukać Boga i odnajdywać w wielowarstwowej magmie wydarzeń. Zawarte z Abrahamem przymierze Bóg potwierdzi w przymierzu z Mojżeszem. A kiedy przyjdzie właściwy czas, przyśle Eliasza, w rolę którego wcieli się Jan Chrzciciel, i przez niego ogłosi, że Jezus z Nazaretu jest „Jego ukochanym Synem”. To dlatego w opowiadaniu o wydarzeniu na Wysokiej Górze towarzyszą Jezusowi Mojżesz i Eliasza, co znaczy, że nic nigdy się nie kończy, i nic nie zaczyna, ale trwa. Dlatego nad trumną zmarłego mamy odwagę mówić, że w chwili śmierci nasze życie „zmienia się, ale się nie kończy”.

Ostatnimi czasy po wielu wiekach wzajemnego zwalczania się wreszcie odkrywamy, że my, Żydzi, chrześcijanie i muzułmanie, mamy wspólnego ojca, Abrahama. Co więcej, Abraham jawi się jako ojciec wszystkich, którzy wciąż szukają swojej ojczyzny, gdyż ta, którą zamieszkują, dlatego że jest tak piękna, ale też równie paskudna, do szczęścia im nie wystarcza. Znamy przecież ludzi, którzy jak Abram mają odwagę porzucić to, co oczywiste, i iść w nieznaną, wspinać się na górę, której szczyt sięga niewyobrażalności. To stąd nauka, filozofia, teologia, sztuka. Dokąd te ścieżki wędrówek ludzkiego umysłu i serca prowadzą, też wiemy.

Ewangeliczne opowiadanie o tym, co przydarzyło się Piotrowi, Janowi i Jakubowi na „Wysokiej Górze”, nawet jeśli jest tworem wyobraźni pisarza, nie przestaje być prawdą. Opowiada bowiem o przemianie mentalności ludzi, którym udało się połączyć życie ze śmiercią. Istnienie z nieistnieniem. Uwierzywszy, „że Bóg wzbudził (Jezusa) z martwych”, gdyż Go „ukochał przed zaistnieniem świata”, uwierzyli, że w pustce niemożliwości pulsuje możliwość, uwierzyli, że ze zła potrafi wyrosnąć dobro. Dowodem na to jesteśmy my, ludzie. Nie musieliśmy zaistnieć, a przecież istniejemy i mogąc, i nie mogąc, wspinaemy się na nasz Tabor, po polsku Wysoką Górę, gdyż ze szczytu widać dalej i lepiej, co dzieje się w dolinach. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Niczego mi nie braknie



W ZESZŁYM TYGODNIU PRZEŻYWALIŚMY w Łodzi „Arenę młodych”. W tym roku była oparta na Psalmie 23: „Pan jest moim pasterzem”. To cudowny tekst, pełen nadziei (właśnie z racji zawartej w nim nadziei został przez nas wybrany). Tradycja żydowska mówi, że

Dawid napisał go pod koniec życia albo podczas buntu Absalom. W każdym razie nie w żadnej z chwil chwały i szczęścia, których doświadczył wiele. „Pan jest moim pasterzem – niczego mi nie braknie!”. Znając kontekst, trudno nie zapytać: co kryje się w tym wyznaniu?

Nie chodzi o to, że Dawid ma od Pana wszystko, na cokolwiek przyjdzie mu ochota, ale o to, że relacja z Nim w pełni go nasyci. W psalmach często pada to właśnie wyznanie: „Gdy jestem z Tobą, nie cieszy mnie ziemia” (Ps 73, 25; niektórzy tłumaczą: „Niczego nie pożądam na ziemi – tylko Ciebie!”). Albo: „Poza Tobą nie ma dla mnie dobra” (Ps 16, 2; św. Hieronim tłumaczy: „Nic – bez Ciebie – nie jest dla mnie dobrem”).

To nie tylko doświadczenie Dawida. Także św. Pawła, najmocniej wyrażone w 3. rozdziale Listu do Filipian, gdzie wszystko – oprócz „poznania Chrystusa Jezusa” – apostoł uznaje za „klęskę” i (dość) „odchody”. A wcale nie mówi o grzechach! Mówi o dobrych „rzeczach” – o tym wszystkim, co do tej pory uważał za „zysk”: o swoim pochodzeniu – z rodu Izraela, z pokolenia Beniamina; o obrzezaniu – a więc o znaku Przymierza, wprowadzającym go do wspólnoty Ludu Boga; pisze o przynależności do faryzeuszy, z którą przecież wiązała się także znajomość Pisma i Jego wykładu; pisze wreszcie o swojej gorliwości w przestrzeganiu przykazań. Wszystko to są wielkie wartości. Szawel/Paweł porzuca je nie dlatego, że były złe, ale dlatego, że od tej pory w jego życiu liczy się tylko Jezus! Porzucenie ich jest wyłącznie miarą radykalizmu tego wyboru. Teraz odkrył Jego miłość ku sobie, z którą nic nie jest porównywalne.

Dawid zapisuje wielką prawdę o każdym z nas: tylko relacja z osobą/Osobą jest w stanie nas nasycić. Żadna „rzecz” nie wypełni ludzkiego pragnienia. Wydaje się to oczywiste, ale w rzeczywistości ciągle budujemy wokół siebie świat pełen rzeczy, chowamy się za nimi. Aż w końcu dojdziemy do wyznania wielkiego Augustyna: „Stworzyłeś nas (...) jako skierowanych ku Tobie i nie-spokojne jest serce nasze, dopóki nie spocznie w Tobie”. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekollekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

ZUZANNA

Radzik: *Blond Jezus*



DWIEŚCIE DOLARÓW ZA GODZINĘ. Tyle ponoć możesz zarobić w stanie Utah, jeśli tylko wyglądasz jak Jezus. Potrzebne jest jedynie silne podobieństwo, które wyraża się w posiadaniu brody i długich włosów oraz ogólnym

byciu ładnym. Trend trwa już od paru lat. Długowłosi trzydziestoletni mężczyźni, a nawet pięćdziesięciolatki (sic!) pozują do świątecznych fotek, ślubnych zaproszeń, rodzinnych portretów czy scen błogosławienia dzieci.

I tu przeszedł mnie dreszcz, bo jednak to jest całkiem żywy facet, tyle że z długimi włosami i obsadzony chwilowo w Jezusowej roli, utrwalony na zdjęciu ślubnym lub rodzinnym jako błogosławiący Zbawiciel. A przecież życie uczy, że możesz go potem spotkać w barze albo, co gorsza, w jakiejś niechlubnej sytuacji. Albo twoje dzieci za kilkanaście lat spotkają Jezusa ze swojego rodzinnego obrazka. Chyba bym nie ryzykowała.

Jeden z modeli Jezusa miał jednak sytuację przeciwną, gdy został zaczepiony przez kobietę, która właśnie prosiła Boga o znak, a zobaczyła jego. Ona zrobiła na niej wrażenia tłumaczenia, że nie jest prawdziwy. Aż strach się fotografować, ale jeśli „Wall Street Journal” nie kłamie, to biznes Jezusowych modeli w Utah ma się dobrze.

Bardziej może niż to, że natkniesz się potem na swojego foto-Jezusa w kompromitujących okolicznościach, niepokoi mnie jednak inny problem wizerunkowy. Te niebieskie oczy, długie włosy, uroda – kto powiedział, że Jezus tak wyglądał? Tak, ten Żyd, Galilejczyk z początków I wieku naszej ery. Czy wcielenie koniecznie oznacza, że musiał być z niego przystojny chłopak, czy mógł być zupełnie zwykły? Oraz, czy wreszcie mógłby na obrazach i w grafikach przestać być Europejczykiem i blondynem? Czy to tak wiele oczekiwać w XXI wieku, że Jezus z domu Dawida, zrodzony z matki Żydówki z Nazaretu, nie będzie dejudaizowany?

Z dejudaizacją to wcale nie żarty. W XIX i na początku XX wieku antysemitcy chrześcijanie szukali sposobu, żeby Jezusa od jego żydowskich korzeni uwolnić. Inna rzecz, że jak się zdejudaizuje Jezusa i potem jeszcze Biblię, to niewiele z chrześcijaństwa zostaje. Ćwiczenie

to przerabiali już marcyonici w II w. n.e., gdy pozbyli się Starego Testamentu i wszystkiego, co odnosi się do Stwórcy, aż zostali z samą Ewangelią Łukasza i paroma listami Pawła. Paradoksalnie, w czasach nowożytnych w tę samą pułapkę wpadli nie tyle konserwatywni protestanci, co liberałowie, którzy używając metod historycznych chcieli oddzielić Jezusa od współczesnego mu judaizmu. Tych wszystkich faryzeuszy, krwawych ofiar świątynnych, rzekomego legalizmu...

Ile razy słyszycie, że kaznodzieja maluje judaizm z czasów Jezusa jako niegodne go tło, niech się wam zapali czerwona lampka! A że to będzie przy co drugim kazaniu, to już inny problem. W XIX wieku uczeni bibliści z Tybingi uważali, że choć chrześcijaństwo wyrosło z judaizmu, to porzuciło jego nacjonalistyczne i konserwatywne skłonności. Potem uczony Albrecht Ritschl widział rozwój chrześcijaństwa w porzucaniu judaizmu, co wpłynęło na jego uczniów, wśród których byli znani Adolf Harnack, Wilhelm Herrmann czy Rudolf Bultman, a potem ich uczniowie Karl Barth i Ernst Käsemann, autor popularnych prac o Nowym Testamencie, zajmujący się po wojnie historycznością Jezusa.

W Polsce ten nurt reprezentował wykształcony w Rosji i Niemczech prof. Tadeusz Zieliński, ojciec warszawskiej filologii klasycznej, którego, gdy obejmował w 1922 roku profesurę na Uniwersytecie Warszawskim, witano słowami *Habemus papam!* Zieliński uważał, że to hellenizm, a nie judaizm, był gotowy na przyjęcie chrześcijaństwa, pisząc zaś o Jezusie spekulował o wielonarodowym regionie Galilei pełnym helleńskich wpływów i tym, że Jezus tam wybrał uczniów. Twierdził, że Jezus był *durch und durch Antijude*, do cna anty-Żydem. Trzeba jednak przyznać, że w latach 30. polemizujący z nim na łamach „Ateneum Kapłańskiego” księża nie zostawiali na jego dejudaizacyjnych zabiegach suchej nitki.

A dziś jakiego Jezusa słyszycie w kazaniach? Blond i zdejudaizowanego czy osadzonego dobrze w swoich czasach, swoim narodzie, jego oczekiwaniach, Pismach, sporach i troskach? Spierającego się z faryzeuszami, bo byli tak bliscy, czy faryzeuszami pokazanymi, jakby byli karykaturalnie od niego różni? Interpretującego Prawo, porzucającego je jako skamielinę, niepotrzebną i ani nie ludzką, ani nie boską? Zdejudaizowany blond Jezus może się okazać równie fałszywy jak ten z sesji zdjęciowej w Utah. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet”.



KSZTAŁTUJEMY LEPSZY ŚWIAT

Renata Bem, dyrektor generalna UNICEF Polska

Dzięki środkom od darczyńców UNICEF zmienia jakość życia dzieci na świecie i w Polsce.
W ten sposób wszyscy mamy szansę zrobić coś dobrego.

JACEK TARAN: Jakie są główne cele UNICEF Polska i jakie działania organizacja podejmuje na rzecz dzieci? Jakie najważniejsze wyzwania stoją obecnie przed UNICEF-em w Polsce?

RENATA BEM: UNICEF, czyli Fundusz Narodów Zjednoczonych na rzecz Dzieci, chroni prawa dzieci, wspiera ich potrzeby oraz tworzy warunki do rozwoju. W Polsce prowadzimy działania dostosowane do lokalnych potrzeb. Reprezentujemy interesy najmłodszych w relacjach z władzami i społeczeństwem. W tym celu np. monitorujemy wdrażanie Konwencji o prawach dziecka. Przygotowaliśmy raporty o skali wykluczenia transportowego dzieci i młodzieży oraz o respektowaniu

ich praw. Angażujemy szkoły i społeczności lokalne w promowanie praw dziecka oraz zwiększanie świadomości na temat potrzeb i problemów. Prowadzimy zbiórki funduszy na międzynarodowe projekty pomocowe. Dzięki nim wpływamy na poprawę warunków życia dzieci w najuboższych regionach świata, zwłaszcza dotkniętych konfliktami i klęskami żywiołowymi.

Nawet w najbardziej niedostępnych i niebezpiecznych miejscach świata UNICEF może zapewniać dostęp do podstawowej opieki medycznej, szczepień oraz programów żywieniowych. W regionach dotkniętych konfliktami czy ubóstwem budujemy szkoły, dostarczamy materiały edukacyjne i szkolimy

nauczycieli. Znaczna część naszych działań dotyczy ochrony dzieci przed przemocą, wykorzystywaniem i zaniedbaniem, także poprzez wsparcie psychologiczne.

Do najważniejszych wyzwań należy pogarszająca się kondycja psychospołeczna dzieci i młodzieży w Polsce. Z naszych badań wynika, że aż 40 proc. badanych dzieci nie czuje się szczęśliwe, a głównym źródłem stresu jest szkoła. Młodzi uważają też, że ich prawa nie są przestrzegane. Z pewnością na życie dzieci w Polsce w najbliższych latach ogromny wpływ będą miały megatrendy obserwowane na całym świecie: zmianie się społeczeństw, zmianie klimatu i szybki rozwój technologiczny. To wy-

maga dostosowywania działań do dynamicznie zmieniających się warunków.

Dlaczego możliwość przekazania 1,5% podatku na UNICEF jest tak ważna dla organizacji?

Dziś 1,2 mld dzieci żyje w ubóstwie; prawie 600 mln nigdy nie miało okazji nauczyć się czytać, a 35 mln cierpi przez niedożywienie. Co czwarte dziecko na świecie żyje w strefach konfliktów albo zostało zmuszone do ucieczki z domu.

Skuteczne dostarczanie pomocy humanitarnej wymaga stałego dostępu do odpowiednich środków. Te zasoby pozwalają na finansowanie bieżących, często gwałtownie pojawiających się potrzeb.

Środki pozyskane dzięki 1,5% wspierają główne obszary działań UNICEF-u. To dzięki nim finansujemy też wsparcie rodzin, macierzyństwa i rodzicielstwa, a także upowszechnianie i ochronę praw dziecka.

Na jakie działania przeznaczane są środki z 1,5% podatku? Jakie programy wcześniej udało się zrealizować z tych wpływów?

W tej chwili mamy kompletne informacje za rok 2023. To był ekstremalnie trudny czas. W ramach pilnych akcji humanitarnych pomagaliśmy dzieciom poszkodowanym w trzęsieniach ziemi w Syrii i Turcji, w powodzi w Libii czy ofiarom konfliktu w Strefie Gazy. Docieraliśmy z pomocą do potrzebujących w ciągu pierwszych 72 godzin, dostarczając namioty, czystą wodę, lekarstwa, żywność oraz ciepłe ubrania. Finansowaliśmy wsparcie dla pokrzywdzonych przez kryzysy zbrojne i akty przemocy w Górskim Karabachu, w Sudanie, w Afryce Zachodniej i Środkowej oraz na Haiti.

W 2023 r. jedna trzecia środków UNICEF-u została wydana na programy zdrowotne, żywieniowe i akcje szczepień. Finansowaliśmy programy chroniące dzieci przed przemocą i wykorzystywaniem. Ważnym zadaniem jest też promowanie i ochrona praw dziecka, a także pozyskiwanie i analiza danych o najmłodszych.

W jaki sposób darczyńcy mogą zobaczyć efekty swojego wsparcia?

Na stronie UNICEF Polska publikujemy sprawozdania oraz raporty, które omawiają sposób wydatkowania pozyskanych środków. Prowadzimy też bieżącą komunikację w mediach i naszych kanałach aktywności, które organizacja

prowadzi na szczeblu światowym i krajowym.

Czy może Pani podzielić się historią dziecka lub społeczności, która skorzystała z pomocy UNICEF-u dzięki środkom z 1,5%?

Takich podnoszących na duchu historii jest wiele. Przychodzi mi na myśl np. pochodząca z Nigerii Nana. Trafiła do ośrodka zdrowia wspieranego przez UNICEF, kiedy miała osiem miesięcy. Była skrajnie niedożywiona. Szybko otrzymała odpowiednie leki i bogatą w składniki odżywcze żywność terapeutyczną – w jej stanie nie mogła od razu zacząć przyjmować normalnych pokarmów. Po dwóch miesiącach leczenia przybrała na wadze i zaczęła wygrywać z niedożywieniem.

W ostatnim czasie szczególnie skupiamy uwagę na Strefie Gazy. Bez pomocy humanitarnej dzieci nie są w stanie tam przetrwać. Zapewniamy im dostęp do czystej wody, opatrujemy szpitale i wspieramy personel medyczny, dostarczamy suplementy i witaminy. UNICEF koordynuje w Gazie grupę ponad 30 partnerów, którzy zajmują się walką z niedożywieniem.

Jak możemy dodatkowo angażować się w pomoc dla UNICEF-u poza przekazaniem 1,5%?

Każdy z nas może przy pomocy jednorazowych lub comiesięcznych wpłat wspierać wybrany przez siebie cel. Te środki sfinansują konkretny obszar działania lub trafią do wskazanego kraju. W ramach programu „Prezenty bez pudła” można też przekazać środki na zakup produktów humanitarnych, np. mleka terapeutycznego, środków higieny czy też zestawów edukacyjnych dla dzieci. Coraz popularniejszy jest też w Pol-

sce program testamentowy „Ponadczasowi” – zależy nam, żeby spadkodawcy pamiętali o potrzebach dzieci, a każdy taki zapis dla nas się liczy.

Wiele firm w świadomy sposób chce łączyć swoje cele korporacyjne ze wsparciem poprawiającym warunki życia najmłodszych. Wykorzystujemy zasoby i wiedzę sektora prywatnego, zwiększając w ten sposób globalny wpływ UNICEF-u. Współdziałamy z przedsiębiorstwami z różnych branż, aby dokonywać strategicznych inwestycji w projekty i obszary geograficzne, które mają znaczenie dla działalności biznesowej naszych partnerów.

Przedsiębiorcy mogą np. dołączyć do nowego globalnego programu UNICEF Champion for Children i przekazywać darowizny pieniężne na wsparcie wybranego celu humanitarnego. Form pomagania i wspierania naszych działań jest bardzo wiele, wszystko zależy od woli naszych darczyńców.

Jakie są plany UNICEF Polska na najbliższe lata w kontekście finansowania i nowych inicjatyw?

Finansowanie wspomnianych już zasobów podstawowych to najlepszy sposób, aby wspierać UNICEF w codziennej pracy na rzecz każdego dziecka. W swych działaniach musimy być elastyczni, dlatego cenimy innowacyjność i nowe spojrzenie na wyzwa-

nia współczesności. Już teraz przeznaczamy środki na pionierskie inicjatywy, które mają potencjał, aby zapewnić dzieciom najlepsze wsparcie i jeszcze większe możliwości, także w przyszłości.

Będziemy też kontynuować starania zmierzające do sprawnego reagowania na kryzys klimatyczny, postępującą degradację środowiska i utratę różnorodności biologicznej.

Jakie jest Pani przesłanie dla osób, które zastanawiają się, czy przekazać swoje 1,5% podatku na UNICEF?

Troska o zdrowie, edukację i bezpieczeństwo życia dzieci i młodzieży w Polsce i na świecie pomaga nam wszystkim kształtować lepszy świat przyszłości. Dzięki środkom od darczyńców prowadzimy działania na rzecz dzieci w zakresie dopasowanym do rzeczywistych potrzeb. W ten sposób nasze wsparcie dociera na czas wszędzie tam, gdzie jest najbardziej potrzebne, niezależnie od niesprzyjających okoliczności. UNICEF jest globalną, wszechstronną organizacją, która dzięki skali podejmowanych działań, wieloletniemu doświadczeniu oraz sprawdzonym metodom zmienia jakość życia dzieci na świecie i w Polsce. ©

Ty decydujesz. My działamy. Przekaż swoje 1,5% podatku na pomoc dzieciom z UNICEF Polska. KRS 0000107957



RENATA BEM

– dyrektorka generalna i prezes zarządu UNICEF Polska, związana z organizacją od ponad 14 lat. Pełniła funkcję zastępcy dyrektora generalnego, nadzorując i wspierając działania zespołów fundraisingowych, marketingu i komunikacji. Współautorka programów współpracy NGO-biznes.

CHRZEŚCIJAŃSCY ŻOŁNIERZE IZRAELA

Choć państwo żydowskie to przede wszystkim dzieło świeckich syjonistów,
do jego powstania przyczynili się również chrześcijanie.
Zafascynowani Biblią, wsparli tę ideę religijnym uzasadnieniem.
Oraz osobistym udziałem.

ALEKSANDER R. MICHALAK

SYJONIZM KOJARZY SIĘ GŁÓWNIEMIE ZE świecką ideologią powstałą w XIX stuleciu w kręgach żydowskich, którym marzyło się stworzenie państwa na tzw. Ziemi Obiecanej. Jednak idea powrotu Żydów na Bliski Wschód – motywowana religijnie – już kilka wieków wcześniej zyskała zwolenników wśród chrześcijan. Książki tych autorów, nawołujące do nowego osiedlenia Żydów w Palestynie, poprzedziły wydany w 1896 r. manifest „Państwo Żydowskie” Theodora Herzla, ideologa nowoczesnego syjonizmu.

To również religijne koncepcje przygotowały grunt pod powstanie w 1922 r. brytyjskiego Mandatu Palestyny, a potem Państwa Izrael. Niektórzy chrześcijańscy syjoniści odegrali też znaczącą rolę w jego historii. O ile rola polityków jest tu bardziej znana, łatwiej mogą umknąć nazwiska dwóch żołnierzy chrześcijan. Opowiedzmy o nich.

KORZENIE | Opowieść tę zaczniemy jednak kilkaset lat wcześniej. Wówczas to chrześcijański syjonizm wyrósł z Reformacji i początkowo znalazł zwolenników w Kościołach protestanckich. Ich poparcie dla powrotu Żydów do Palestyny było

związane z taką wykładnią Biblii, która przypisywała im ważne miejsce w perspektywie zbawienia.

Reformacja przyniosła bowiem nie tylko zainteresowanie tekstami biblijnymi, ale też opisaną w nich historią Izraela. Wraz z tym rosło zainteresowanie hebrajskim, uznanie dla dziejów starożytnego Izraela i dla współczesnych Żydów. Zwłaszcza w Anglii i Niderlandach, gdzie łączyło się z wiarą w biblijne proroctwa o końcu czasów i millenaryzm. Millenaryzm, tj. przekonanie o rychłym ponownym przyjściu Chrystusa, łączył się w tym czasie z poglądem, iż przyjście to nastąpi dopiero, gdy Żydzi wrócą do Ziemi Świętej, uznają Jezusa za zbawiciela i staną się chrześcijanami.

O ile na początku powrót Żydów do Palestyny postrzegano jako akt duchowy, to z czasem zaczęto zastanawiać się, jak można to zrealizować całkiem ludzkimi siłami.

BLIŻSZY WSCHÓD | Był to też czas, gdy tłumaczenie Biblii na angielski pomogło rozkwitać różnym jej interpretacjom. W tym koncepcji, że Żydzi tymczasowo żyją w Europie, a ich prawdziwą ojczyzną jest Ziemia Obiecana. Zyskała ona popu-

larność zwłaszcza w purytańskiej Anglii: purytanie uznali, że Żydom należy pozwolić na powrót do Ziemi Obiecanej, by doprowadzić do spełnienia się biblijnych proroctw.

Idea ta pozostała jednak marginalna aż do wyprawy Napoleona na Egipt (1798-1801), zakończonej klęską. Wtedy to w Brytanii pojawiły się głosy, że należało przekonać Imperium Osmańskie – sprzymierzone z Londynem – by odstąpiło fragment swej ziemi Żydom. W tym czasie Turcja była cieniem dawnej potęgi, a Bliski Wschód „przybliżył się” do Europy: archeologia i relacje podróżnych rozpały wyobraźnię protestanckich misjonarzy i polityków, prowadząc też do większego zaangażowania mocarstw w Ziemi Świętej.

W 1809 r. powstało Londyńskie Towarzystwo Szerzenia Chrześcijaństwa wśród Żydów; z niego wyszli liczni zwolennicy osiedlenia Żydów w Palestynie. Najsłynniejszy, lord Ashley-Cooper (szef Towarzystwa) popularyzował pogląd, iż odkupienie dokona się dopiero po sprowadzeniu Żydów do Ziemi Obiecanej. To on ukuł chwytliwy slogan „Kraj bez ludzi dla ludzi bez kraju”. Sugerował on błędnie, że na Żydów czeka niezamieszкана Palestyna.



ORDE

WINGATE

*bezkrytycznie
uznawał Stary
Testament za
niezawodne
źródło
historyczne
i traktat
polityczny.*



JOHN HENRY PATTERSON

*to postać,
która uosabia
wszelkie cechy
kolonialnego
bohatera
czasów potęgi
Wielkiej
Brytanii.*

PUNKT ZWROTNY | Plan osiedlenia Żydów w Palestynie wydał się na chwilę namacalny w końcówce lat 70. XIX w., a to za sprawą Laurence'a Oliphanta. Ten dyplomata i dziennikarz (relacjonował polskie powstanie styczniowe) był też gorliwym chrześcijańskim syjonistą. Wierzył, że odbudowa Izraela przyspieszy czasy ostateczne. Jego plan upadł jednak podczas rozmowy Oliphanta z sułtanem – Brytyjczyk nie omieszkiał wspomnieć islamskiemu władcy, że osiedlenie Żydów na jego ziemiach spowoduje nadejście Jezusa.

Chrześcijański syjonizm wciąż był popularny w Anglii końca wieku XIX, a więc w okresie, gdy – za sprawą Herzla – upowszechniać zaczął się w Europie świecki syjonizm. Ale dopiero wybuch I wojny światowej stał się punktem zwrotnym, który zmienił sytuację na Bliskim Wschodzie. W tym czasie, a także w kolejnych latach szczególną rolę odegrali dwaj brytyjscy wojskowi – gorliwi chrześcijanie i zwolennicy osiedlenia się Żydów w Palestynie.

Obaj wywodzili się z nurtu, przez niektórych badaczy określanego mianem Syjonizmu Szkółek Niedzielnich (Sunday school Zionism), gdyż ich prożydowskie sympatie miały zrodzić się podczas nauki w jednym z takich miejsc. Obaj, dalecy od świętości, byli barwnymi postaciami – i niezwykle przysłużyli się sprawie syjonistycznej.

ŁOWCA LWÓW | John Henry Patterson – rocznik 1867, anglo-irlandzki protestant z Ulsteru – to postać, która może uosabiać wszelkie cechy kolonialnego bohatera Albionu. Zapalony myśliwy, polował na tygrysy w Indiach i zabił dwa lwy-ludojady z Tsawo (opisał to w książce, na motywach której powstał potem film). Podczas wojen burskich, gdy koloniści z Południowej Afryki chcieli wybić się na niepodległość, służył w Imperialnej Kawalerii.

Patterson był zaczytany w Biblii gorliwym chrześcijaninem. Pisał o sobie: „Jako mały chłopiec pożerałem gorliwie zapisy przygód żydowskich militarnych dowódców jak Jozue, Joab, Gedeon i Juda Machabeusz, marząc trochę, że któregoś dnia w jakiś niewielki sposób i ja stanę się kapitanem zastępów dzieci Izraela”.

Marzenie to spełniło się podczas I wojny światowej: jego znajomość świata Biblii sprawiła, że stał się świetnym kandydatem na dowódcę oddziałów żydowskich tworzonych w armii brytyjskiej. Objął dowództwo najpierw nad Korpusem Mułników Syjonu, →

→ z którym walczył pod Gallipoli, a potem tzw. Legionem Żydowskim.

PIERWSZE WOJSKO | Ta idea żydowskiego wojska wyszła od Żydów syjonistów, którzy wierzyli, że zaangażowanie po stronie brytyjskiej pomoże im w utworzeniu państwa na terenie ziem należących do Turcji. Po wiekach żydowskiego pacyfizmu był to projekt rewolucyjny. Rozważano, czy nadać formacji nazwę „Machabeusze”, która łączyłaby ją z czasami starożytnej militarnej świetności Żydów. Wedle Pattersona, Juda Machabeusz czułby się jak w domu w jego obozie, gdzie rozbrzmiewały hebrajskie komendy.

Jednym z pomysłodawców formacji i podoficerem w Legionie był słynny przywódca syjonistyczny Włodzimierz Żabotyński. Wspominał on później, że gdy maszerowali przez osmańską Palestynę, dla Pattersona biblijne nazwy miejscowości były o wiele bardziej znaczące i lepiej znane niż dla niego, niewierzącego Żyda. Kapelan Legionu przegrał zakład z Pattersonem o pewną regułę biblijną: Brytyjczyk ją znał, a on, rabin, nie był jej świadomy.

Żołnierze Legionu nosili naszywkę z menorą. Patterson zadbał o obecność rabin, koszerne jedzenie i zachowanie szabatu (jeśli okoliczności pozwalały). Choć Legion odegrał pewną rolę w kampanii w Palestynie, kluczowy był jego wymiar symboliczny.

OJCIEC CHRZESTNY | Również po I wojnie światowej Patterson wspierał sprawę syjonistyczną, a później był członkiem tzw. Grupy Bergsona, zaangażowanej w ocenie Żydów podczas II wojny światowej.

O tym, że Patterson – zmarły w 1947 r., na rok przed powstaniem Izraela – zawsze myślał o państwie żydowskim w kategoriach biblijnych, świadczy jego mowa wygłoszona na 20-lecie Legionu, a dotycząca dalszych losów Mandatu Palestyny, które rozważała wtedy brytyjska Komisja Królewska: „Zawisł nad wami strach przed orzeczeniem Komisji Królewskiej. Zaprawdę, nie to jest ważne, nie to decyduje, ale to, że Palestyna jest dla Żydów i Synowie Izraela odziedziczą ziemię Izraela”.

Wsparcie dla syjonistów i krytyka działań Wielkiej Brytanii w Palestynie kosztowała Pattersona dalszą karierę wojskową, którą zakończył w stopniu podpułkownika. W historii Żydów odegrał on ważną rolę: posiadanie własnej jednostki wojskowej zostało w pamięci syjonistycznych liderów, którzy tworzyli potem podziemne siły zbrojne w Mandacie Palestyny, mające chronić przyszłe państwo.

Beniamin Netanjahu wspominał po latach, że postrzega Pattersona jako ojca chrzestnego izraelskiej armii. Jego starszy brat Jonatan – słynny komandos, poległy w akcji uwolnienia zakładników na lotnisku w Ugandzie – nazwany został właśnie na cześć Johna Pattersona (i dziadka Natana Milejkowskiego). Jonatan, urodzony w 1946 r., jako niemowlę otrzymał

od Pattersona srebrny kubek z inskrypcją, w której Brytyjczyk nazwał go swoim chrześniakiem.

ROMANTYK W SUDANIE | Inną niezwykle wyrazistą postacią, a przy tym chrześcijańskim oficerem syjonistą, był Orde Wingate (1903-44). Był wnukiem jednego ze wspomnianych protestanckich misjonarzy, którzy usiłowali nawracać Żydów. Jego rodzice byli w Indiach misjonarzami z ruchu Braci Plymouthkich (Plymouth Brethern). To ugrupowanie propagowało dyspencjonalizm: wiarę, że historia została podzielona przez Boga na siedem okresów-dyspensacji, z których ostatnim miało być tysiącletnie królestwo Chrystusa.

To specyficzne religijne wychowanie sprawiło, że także Orde Wingate został chrześcijaninem syjonistą. On sam łączył to z wpływem matki: „Nauczyła mnie, że muszę żyć według Biblii i muszę pomóc spełnić biblijne proroctwa. To ona powiedziała mi, że mam przyjaźnić się z Żydami i pomóc wypełnić im biblijne proroctwo i wrócić do Palestyny”.

Jego pierwszym namacalnym kontaktem ze wschodem był kurs arabskiego, który ukończył w Londynie. Później był oficerem armii brytyjskiej w Sudanie, gdzie walczył z kłusownikami. Podczas pobytu w Afryce jego romantyczno-orientalistyczne inklinacje skłaniały go do poszukiwania śladów zaginionej starożytnej armii Kambazyza i legendarnej, pełnej

Zapraszamy do nowego newslettera **POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM**

Jest coś wyjątkowego w popołudniach
– kiedy rzeczy ważne i nagłe mieszają się z tymi
zupełnie przyjemnymi, dającymi moment wytchnienia.

I właśnie w tym momencie dnia przychodzimy
do Państwa z naszym nowym newsletterem:
oto **POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM!**

Chcemy, żeby było ono miejscem na chwilę oddechu,
spojrzeniem na rzeczy, które są naprawdę ważne,
poszukiwaniem wspólnie szerszej perspektywy.

zeskanuj i zapisz się!





Premier Izraela Benjamin Netanjahu podczas pochówku prochów Johna Henry'ego Pattersona na cmentarzu w Awichajil. Izrael, 4 grudnia 2014 r.

skarbow oazy Zerezura (tej, której poszukiwał „angielski pacjent” László Almásy). Relacja z tej wyprawy została opublikowana w Royal Geographical Magazine w 1934 r.

ŚLADEM GEDEONA | Wingate bezkrytycznie uznawał Stary Testament za niezawodne źródło historyczne i traktat polityczny. Gdy zaś jako oficer wywiadu brytyjskiego trafił z żoną Lorną do Mandatu Palestyny, potraktował dosłownie wskazówki matki.

W 1936 r. wybuchło tam powstanie arabskie przeciw Brytyjczykom i Żydom. Wśród żydowskich osadników nie było zgody, jak odpowiedzieć. Z początku lewicowi syjoniści chcieli zachować powściągliwość i nie odpowiadać przemocą na przemoc. Wkrótce, wobec nasilających się ataków arabskich, nawet dla nich stało się jasne, że nie da się uniknąć walki.

O ile brytyjscy wojskowi byli podzieleni, gdy idzie o ich sympatie, o tyle Wingate opowiedział się z całą gorliwością po stronie Żydów. Wspomógł żydowskich mieszkańców Palestyny, tworząc tzw. Specjalne Oddziały Nocne, które walczyły z Arabami. Jako bazę dla nich wybrał nieprzypadkowo Ein Harod – miejsce kojarzone z biblijnym sędzią Gedeonem, który miał tam wybrać swoich 300 żołnierzy.

W swoim zapatrzeniu w tekst biblijny Wingate rozważał nawet użycie podstępów, jakim posłużył się Gedeon przeciw Midianitom: wykorzystanie dźwięku trąb, by przerazić Arabów. Nie powiodło się to jednak z racji na sprzeciw żydowskich przywódców religijnych, aby użyć szofarów, zaś trąbki angielskie nie okazały się dość efektywne.

MIT BOHATERA | Historycy nie są zgodni co do metod Wingate'a – niektórzy oskarżają go, że na zabójstwa dokonywane przez Arabów na osadnikach żydowskich odpowiadał środkami równie bezwzględny.

Zapamiętano go jednak głównie jako tego, który swoją taktyką zmienił przebieg walk w Palestynie. Dzięki temu stał się bohaterem dla pierwszego pokolenia izraelskich wojskowych. Niektórzy z nich, jak Mosze Dajan, byli zresztą członkami Oddziałów Nocnych i twierdzili, że cała późniejsza taktyka armii Izraela polegała na inwencjach Wingate'a.

Nic dziwnego, że jego ekscentryczna postać uległa mitologizacji, tym łatwiej, że jego życie dostarczało barwnych detali, w których pojawiały się motywy biblijne (nawet kupioną żonie małąkę nazwał imieniem Batszeby, żony króla Dawida). Jeden z uczestników tych walk wspominał, że Wingate wieczorami uczył się hebrajskiego. Ponoć znał na pamięć techniczne detale biblijnych potyczek. Pewien bojownik Hagany, tajnej żydowskiej organizacji wojskowej, opisywał go jako człowieka, który nosił ze sobą karabin, Biblię i słownik hebrajski.

Wspierający powstanie państwa żydowskiego i niesubordynowany, Wingate stał się problemem dla zwierzchników, co zaowocowało odesłaniem go z Palestyny. Jego dowódca raportował, że choć jest on dobrym żołnierzem, przekłada interes Żydów nad interes Brytanii.

DŁUG CESARZA | Podczas II wojny światowej Wingate walczył z Włochami w Etiopii, gdzie stworzył oddziały o nazwie Siły

Gedeona. Zanim w 1944 r. zginął w katastrofie lotniczej, zdążył stworzyć też oddziały walczące skutecznie z Japończykami w dżunglach Birmy. W dalekiej Azji pozostał chrześcijańskim syjonistą. Przed śmiercią pisał do żony z Birmy, cytując psalm: „Jeruzalem, jeśli zapomnę o tobie, niech uschnie moja prawica!”.

O jego śmierci pisała prasa brytyjska i żydowska, a także polska, przedstawiając go jako znakomitego dowódcę i „samotnego rycerza” w świecie nowoczesnej wojny. Jego żona Lorna kontynuowała pasję męża i gdy w ONZ miało odbyć się głosowanie nad podziałem Mandatu Palestyny, napisała do cesarza Etiopii Hajle Syllasjego, powołując się na jego dług wobec jej męża, aby wsparł powstanie Izraela. Etiopia ostatecznie wstrzymała się od głosu, co okazało się wystarczającym wsparciem.

Ben Gurion powiedział o nim, że gdyby Wingate żył, byłby naturalnym dowódcą armii Izraela podczas wojny w 1948 r. Generał i premier Ariel Szaron przyznał zaś, że Wingate był jego bohaterem z dzieciństwa, i że zaczytywał się o jego wyczynach w Abisynii i Birmie.

PAMIĘĆ | Patterson i Wingate doszli do wsparcia syjonizmu przez chrześcijaństwo i biblijne prorocтва. Dziś obaj są honorowani w Izraelu.

W 2014 r. prochy Pattersona przeniesiono z Kalifornii do Izraela, gdzie spoczęły na cmentarzu w Awichajil, osadzie założonej przez weteranów Legionu Żydowskiego. Na pogrzebie premier Netanjahu mówił: „Nigdy w historii Żydów nie było wśród nas chrześcijańskiego przyjaciela o takim zrozumieniu i oddaniu”. Także Wingate pamiętany jest z biblijnym patosem, że „w latach krwi w Palestynie (...) zawarł przymierze krwi z obrońcami Izraela”.

Dziś dzieje chrześcijańskich syjonistów piszą się nadal – za ich współczesne wcielenie można uznać środowiska ewangelikalne w USA, które odgrywają dużą rolę, gdy idzie o niemal bezwarunkowe wsparcie Stanów dla polityki Izraela. Ale to już osobna historia.

© ALEKSANDER R. MICHALAK



Fragment ekspozycji „Afrotopie”

AFRYKA POZA STEREOTYPAMI

MAGDALENA WRÓBLEWSKA, DYREKTORKA PAŃSTWOWEGO MUZEUM ETNOGRAFICZNEGO W WARSZAWIE:

**Fotografia od zawsze była narzędziem utrwalania kolonialnych narracji.
Dlatego chcieliśmy pokazać Afrykę oczami jej mieszkańców.**

MICHAŁ SOWIŃSKI: Zaczniemy od podstawowego pytania – co tak naprawdę wiemy o Afryce? Jaki obraz Afryki, szczególnie tej subsaharyjskiej, funkcjonuje w Polsce?

MAGDALENA WRÓBLEWSKA: Prawda jest taka, że wiemy bardzo mało. Muzea etnograficzne, takie jak warszawskie, są depozytariuszami wiedzy o kulturach świata, ale często ta wiedza jest przestarzała i niepełna. Choć dysponujemy bogatymi zbiorami, brakuje specjalistów zdolnych je właściwie interpretować. Polska historia badań afrykanistycznych jest bardzo skromna. W przeciwieństwie do Niemiec, które dzięki kolonialnej przeszłości rozwinęły intensywne badania i stworzyły bogate kolekcje, my nie mamy takiej tradycji.

Czyli ten brak wiedzy przekłada się na sposób, w jaki postrzegamy Afrykę?

Zdecydowanie. W Polsce obraz Afryki jest uproszczony i pełen stereotypów. Wciąż myślimy o niej jako o „czarnym kontynencie”, jednolitym pod względem kultury czy historii. Tymczasem Afryka jest cztery razy większa od Europy i nieporównywalnie bardziej zróżnicowana – społecznie, kulturowo, językowo. Brak edukacji pogłębia ten problem – w szkołach praktycznie nie uczymy o Afryce jako o kontynencie złożonym z kilkudziesięciu krajów, setek języków i bogatych tradycji.

Co więcej, mamy tendencję do patrzenia na Afrykę przez pryzmat przeszłości, jakby tamtejsze społeczeństwa były oderwane od

współczesnych wyzwań. Rzadko myślimy o tym, że mieszkańcy Afryki zmagają się z podobnymi problemami co mieszkańcy Europy: walką o prawa obywatelskie, zmianami klimatycznymi czy napięciami politycznymi. Stereotypy utrwalają obraz Afryki jako miejsca „innego”, odległego i niezrozumiałego.

Czy muzea mogą to zmienić?

Mogą i powinny. Wystawy mogą być miejscem krytycznej refleksji nad utartymi schematami i spojrzeniami na Afrykę. Powinny pokazać różnorodność kontynentu i przełamać krzywdzące uproszczenia. Ale to wymaga nowocześniejszych narracji muzealnych oraz współpracy z badaczami i przedstawicielami

afrykańskiej diaspory i zamieszkującej kontynent społeczności.

Na wystawie „Wybielanie” pojawi się niezwykle ciekawy wątek: podważanie mitu „niewinności kolonialnej” Polski. To temat niemal nieobecny w debacie publicznej. Dlaczego tak się dzieje?

To prawda. W Europie Środkowo-Wschodniej długo utrzymywało się przekonanie o „kolonialnej niewinności”. Brytyjski badacz Matthew Rampley pisał o tym w kontekście Czech, ale to dotyczy także Polski. Nasza narracja historyczna skupia się na własnych doświadczeniach bycia ofiarą kolonizacji – zaborów czy wojen – co utrudnia dostrzeżenie własnego, choć nieoczywistego, uwikłania w system kolonialny. W XIX wieku kolonializm stał się zjawiskiem globalnym, więc nawet kraje bez zamorskich kolonii były na różne sposoby zaangażowane i uwikłane. Postanowiliśmy z Witkiem Orskim, współkuratorem wystawy, pokazać te zjawiska.

Jakie są te mniej oczywiste przykłady polskiego zaangażowania?

Choć Polska formalnie nie posiadała kolonii, to istniały ambicje quasi-kolonialne. W historii Muzeum Etnograficznego w Warszawie ważny jest epizod wyprawy Stefana Szolca-Rogozińskiego i Leopolda Janikowskiego do Kamerunu w latach 80. XIX wieku. Podróżnicy kupili tam ziemię z myślą o stworzeniu kolonii, która pełniłaby funkcję „azylu” dla polskich dysydentów politycznych. Pomysł był utopijny i skazany na porażkę, ale odzwierciedlał ówczesne ambicje kolonialne. To Janikowski przywiózł pierwsze eksponaty, które stały się zalążkiem kolekcji Muzeum Etnograficznego w Warszawie.

Czyli polskie muzea również mają za sobą skomplikowaną kolonialną historię zbiorów?

Zdecydowanie. Pierwotna kolekcja została zniszczona podczas II wojny światowej, a po wojnie zaczęto ją odbudowywać z różnych źródeł. Mamy obiekty przywiezione przez podróżników, jak choćby przez Wacława Korabiewicza, który gromadził artefakty w Afryce Wschodniej – czasem legalnie, innym razem w sposób kontrowersyjny. W 1952 roku został nawet wydalony z Tanganiki za wywóz zbyt wielu przedmiotów.

Do tego dochodzą zbiory przejęte z tzw. ziem odzyskanych, wcześniej należące do

„AFROTOPIE” (01.03–14.09.2025)

Wystawa fotografii autorstwa 18 artystów z Afryki Wschodniej i Zachodniej, ukazująca kontynent z jego wnętrza, w kontrze do stereotypów wytwarzanych przez prasową i reporterską fotografię.

„WYBIELANIE” (03.04–31.08.2025)

Krytyczna wystawa o roli polskich instytucji w kształtowaniu europejskiego spojrzenia na Afrykę, analizująca kolonialne uwikłania muzeów i archiwów fotograficznych.



Państwowe
Muzeum
Etnograficzne
w Warszawie
(ul. Kredytowa 1)

niemieckich muzeów czy uniwersytetów, np. z Breslau (Wrocławia). Część tych przedmiotów ma niejasną proveniencję i wymaga dalszych badań, aby ustalić, w jakich okolicznościach zostały pozyskane.

Czy współczesne wystawy uwzględniają te konteksty?

Nie zawsze. Wiele eksponatów pokazanych w muzeach jest pozbawionych szerszej narracji. Nie wiadomo, skąd pochodzą, jaka była ich funkcja i jak trafiły do Polski. Brakuje informacji, które pozwoliłyby zwiedzającym zrozumieć złożoność tych historii i uwikłanie Polski w globalne procesy kolonialne. To wciąż temat wymagający pogłębionych badań i odwagi w zmierzeniu się z niewygodnymi faktami.

Czy Muzeum Etnograficzne kiedykolwiek podejmowało gesty zwrotu obiektów afrykańskim muzeom jako formę przeprosin za kolonializm?

Nie, ponieważ nasze zbiory nie mają bezpośredniej kolonialnej proveniencji lub po prostu tego nie wiemy. Spora część kolekcji to zbiory poniemieckie, których historia pozyskania pozostaje niejasna. Po wojnie nie pojawiły się żadne wnioski o restytucję dotyczące afrykańskich obiektów. Inaczej

wygląda sytuacja w kontekście szczątków ludzkich, szczególnie z Australii czy Oceanii – tam pojawiają się próśby o repatriację.

W przypadku Afryki brakuje takich jednoznacznych dokumentacji jak przy słynnych brązach z Beninu, gdzie historia grabieży jest doskonale znana i udokumentowana.

Jednym z tematów wystawy jest też rola fotografii w utrwalaniu kolonialnych narracji. Jak współczesne podejście muzeów próbuje przełamać te schematy?

Fotografia od zawsze była narzędziem utrwalania kolonialnych narracji. Tworzyła obrazy służące egzotyzacji, wzmacnianiu dominacji i pogłębianiu podziałów rasowych. Dlatego zdecydowaliśmy się współpracować z Fundacją Sztuk Wizualnych, organizatorem Miesiąca Fotografii w Krakowie. Przygotowaliśmy razem wystawę „Afrotopie”, która odchodzi od schematycznych obrazów Afryki – tych znanych z „National Geographic”, ukazujących „dziewiczą przyrodę”, lub z World Press Photo, pokazujących cierpienie, głód i wojny.

Chcieliśmy pokazać Afrykę oczami jej mieszkańców, fotografie poruszające kwestie tożsamości, swobód obywatelskich czy wyzwań społecznych. To nie jest fotografia reporterska, ale artystyczna, która pozwala zobaczyć kontynent poza stereotypami.

To trochę taka „wojna na obrazy” – nowe narracje przeciwko starym schematom?

To jedna z podstawowych praktyk dekolonialnych w muzealnictwie: konfrontowanie dawnych narracji z nowymi, współczesnymi wizjami. Wystawa ma też element afirmatywny – pokazuje różnorodność Afryki i jej bogactwo kulturowe z perspektywy jej mieszkańców, a nie zewnętrznych obserwatorów.

©© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

PRZEMYSŁAW WALCZAK //
// MATERIAŁY PRASOWE PME



MAGDALENA WRÓBLEWSKA

– dyrektorka
Państwowego
Muzeum Etnograficznego w Warszawie. Historycz-

ka sztuki i muzeolożka, zainteresowana problematyką dekolonialności, związana z Wydziałem Artes Liberales Uniwersytetu Warszawskiego.

AWANTURY KOLIBRÓW

CHRIS CLARK, ZOOLOG:

Są agresywne, gdy strzegą kwiatów. Ale kolibry nie zaczynają od dziobów i łapoczynów. Najpierw wydają ostrzegawczy komunikat głosem: „nie podchodź tu”. Dopiero gdy intruz nie posłucha, przechodzą do obrony albo go gonią.

MARIA HAWRANEK: Kolibry są znane z tego, że są najmniejszymi ptaki na świecie i zachwycają ubarwieniem. A czego większość ludzi o nich nie wie?

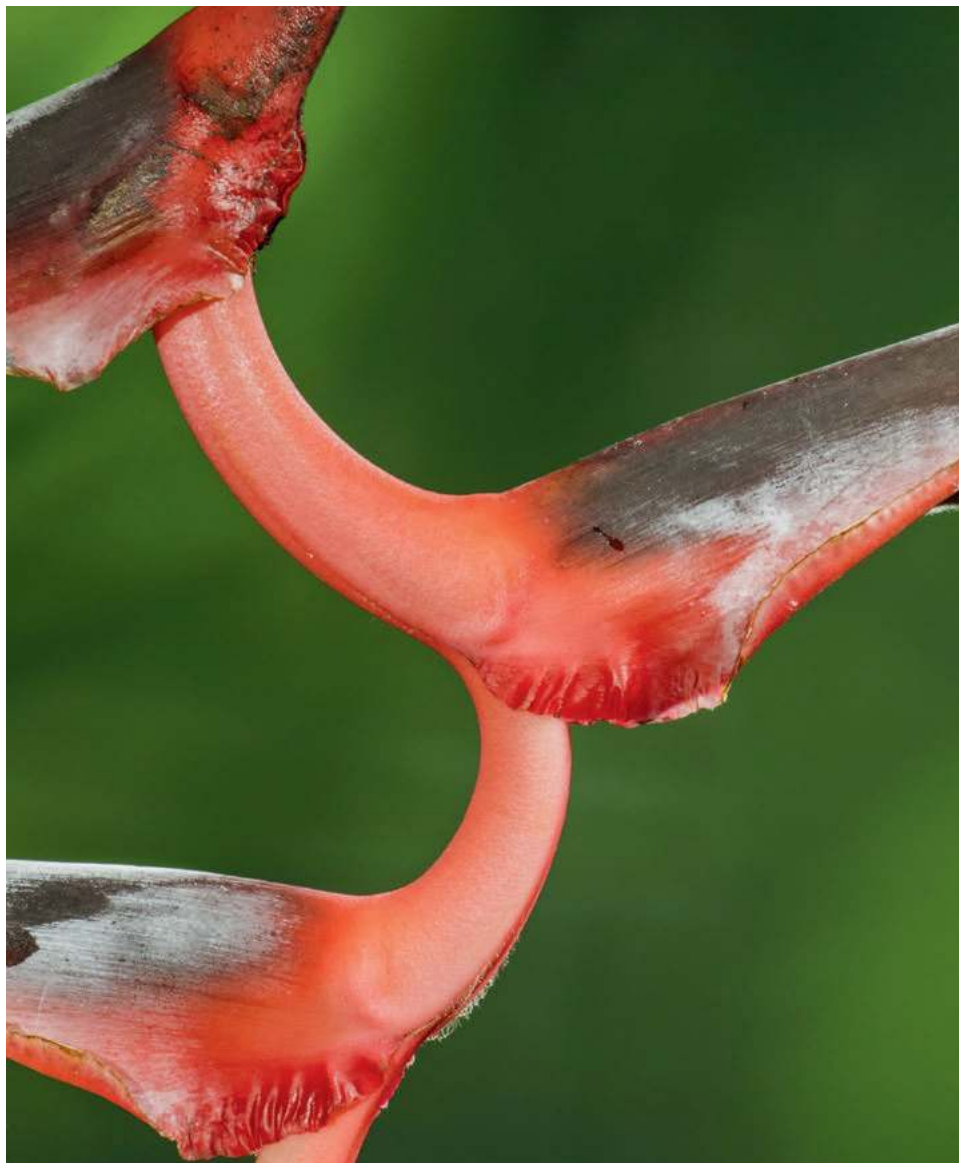
CHRIS CLARK, ZOOLOG: Pewnie tego, że są niezwykle agresywne. Niespecjalnie się ze sobą dogadują, z wyjątkiem okresu godowego oczywiście. Poza tym – sporo walczą. Aztekowie uważali je za symbol wojny i darzyli szacunkiem. Chyba nawet uważali, że pod ich postacią odrażdżają się wojownicy.

Skąd ta agresja?

Nie do końca wiemy, ale jest pewien wzorzec. Otóż inne ptaki, które niezależnie wyewoluowały, by pić nektar, także są agresywne. Zatem to musi mieć związek z pilnowaniem kwiatu przed innymi osobnikami. Kolibry widzą, ile jedzenia jest w kwiecie, wiedzą, że warto go bronić – albo spróbować się poczęstować. Podobnie rzecz ma się z nektarnikami występującymi w Afryce i części południowej Azji i Oceanii. One również ustanawiają terytoria i zaciekle z sobą walczą, by bronić zasobów nektaru.

Ma to związek z jakością pożywienia? Wysoką kalorycznością nektaru?

Też się nad tym zastanawiamy. Kolibry mają bardzo wysokie tempo metabolizmu, co jest związane z tym, że są takie



małeńkie. I zdaje się, że ten mały rozmiar jest z kolei powiązany z tym rodzajem pożywienia. Ale sądzę, że agresja jest pochodną tego, że kwiaty są kolorowe, widoczne, i można łatwo zobaczyć, ile sąsiada ma w nich jedzenia.

Może kolibry są ciągle zestresowane, bo przez ten szybki metabolizm równie szybko grozi im głód?

I dlatego latają takie nabuzowane?

I tak, i nie. Miejmy na uwadze, że stres z definicji pojawia się wtedy, kiedy zwierzę musi sobie poradzić z czymś nietypowym. A pozyskiwanie pożywienia to codzienność kolibra. Zatem może i są na ten temat nakręcone, ale nie sądzę, aby były zestresowane.

Skoło już o tym mowa, to mamy do czynienia z innym ciekawym zjawiskiem. W istocie większość dnia kolibry spędzają na... siedzeniu. Jeśli spojrzeć na bu-

dżet energetyczny tego ptaka, 80 proc. dnia spędza siedząc na gałęzi, a 20 proc. – latając. Oczywiście czasami okoliczności sprawiają, że ptak musi latać więcej, szczególnie w okresie rozrodu. Kiedy samica wysiaduje jaja, może siedzieć na nich bez ruchu przez dwie godziny, ale gdy wyklują się pisklęta, to ciągle lata, by znaleźć owady i dostarczyć je do gniazda. Szybki metabolizm oznacza, że kolibry szybko zużywają energię w locie. Strategia długiego przesiadywania pozwala ją zaoszczędzić. To prawda, że łatwo umierają z głodu. Muszą więc planować posiłki – albo kumulować tłuszcz, jeśli wiedzą, że przez jakiś czas nie będzie pożywienia, albo muszą wiedzieć, gdzie mogą zorganizować kolejny posiłek.

Kolibry są jedynymi ptakami, które potrafią latać do tyłu?

Tak. Wiele ptaków może robić manewry, w czasie których przez chwilę lecą

w tył. Ale koliber, jeśli chce, może sobie lecieć w tył przez kilka metrów. Chociaż nie robi tego często.

Skąd ten mechanizm? Czy wyewoluował po to, by ptak mógł się zbliżyć i oddalać od kwiatu z nektarem?

Tak, to część słynnego unoszenia się kolibrów, w czym są świetne – potrafią zatrzymać się na wysokości kwiatu. Można o nich pomyśleć jak o małych helikopterach. A helikopter, jeśli chce wymanewrować, po prostu przekręca wirniki, które przepychają powietrze. Kolibry mogą to robić w dwie strony – do przodu i do tyłu, chociaż do tyłu lecą nieco wolniej. Nie wiem dokładnie o ile, ale jeśli do przodu lecą z prędkością ok. 35 km na godzinę, zakładałbym, że do tyłu z prędkością ok. 15 km na godzinę.

W serialu przyrodniczym

„Jak to robią zwierzęta?” powie-
dział Pan, że kolibry mają skrzydła
podobne do owadów.

Kiedy kolibry machają skrzydłami w czasie lotu, to uderzenie skrzydłami w dół produkuje ok. dwóch trzecich całkowitej siły nośnej potrzebnej do lotu, a uderzenie w górę – jedną trzecią. To różni kolibry od innych ptaków i nietoperzy, u których uderzenie w górę nie produkuje żadnej pożytecznej siły aerodynamicznej. Kolibry produkują więc siłę aerodynamiczną w o wiele bardziej ciągły sposób. Z tym związana jest ich unikalna umiejętność unoszenia się w miejscu i lotu do tyłu.

Kiedy w naturze latają w tył?

W trakcie picia nektaru, kiedy chcą się oddalić od kwiatka i zastanowić się, co dalej – czy lecieć do następnego, czy przysiąść. Również w czasie walk. Walka dwóch kolibrów wygląda jak starcie pilotów myśliwców. Używają dziobu jako broni, czasem też mocują się łapami. Dziób jest dla nich jak miecz, którym mogą dźgać. W czasie walki unoszą się i manewrują, starając się zwieść przeciwnika albo uzyskać →

Furczak długopióry (Ocreatus underwoodii), jeden z wielu gatunków kolibrów zamieszkujących Amerykę Południową. Długie, ozdobne ogony występują wyłącznie u samców.



LUCAS BUSTAMANTE / BE&W

→ nad nim grawitacyjną przewagę. Wówczas również latają w tył.

Czy to są walki na śmierć i życie?

Znamy pojedyncze obserwacje, które o tym świadczą. Np. doniesienie o dwóch kolibrach, które wykonując lot nurkujący przypadkiem na siebie wpadły i jak rycerze przebiły się nawzajem dziobami jak mieczami. Zginęły na miejscu od tego uderzenia. Czasem walczą łapami i w efekcie jeden koliber spada na ziemię. Słyszałem historię o kolibrze, który wyładował na przeciwniku, który spadł na powierzchnię stawu, agresor dziobał go, aż zadziobał go na śmierć. Zatem walki mogą być śmiertelne, ale jak często takie są – nie wiemy. Bywa, że znajdujemy ptaki z punktową dziurą na piersi – wyobrażam sobie, że to ślad po pchnięciu dziobem. Kiedy walczą, mogą też stracić niektóre pióra i zdaje się, że to jest najczęstsza konsekwencja starcia, a śmierć stanowi niewielki procent.

Czyli są agresywne, jednak zwykle do pewnych granic.

Koliber jest agresywny, kiedy strzeże kwiatów. Ale nie zaczyna obrony od dziobo- i łapoczynów. Najpierw wydaje ostrzegawczy komunikat głosem: „nie podchodź tu”. Dopiero kiedy intruz nie posłucha, przechodzi do obrony albo go goni. I zwykle przepędzany po prostu ucieka. Jeśli intruz postanawia utrzymać się na pozycji, wówczas wywołuje się walka, ale to sytuacje dość rzadkie.

Tylko samce się biją czy samice też?

Samice też, chociaż u niektórych gatunków samice zdają się odrobinę mniej agresywne. Proszę pamiętać, że zwykle obie płcie chronią kwiatów – więc poza sezonem godowym obie są agresywne. W sezonie godowym role się zmieniają. Samce są praktycznie bezużyteczne – nie pomagają samicom odchowić młodych. Pilnują swojego terytorium albo jakiegoś losowego kawałka przestrzeni. A samice są zajęte wiciem gniazda i wysiadywaniem jaj. Zrobią się agresywne, jeśli ktoś niepożądany zbliży się do ich gniazda.

Samice też mają swoje terytoria?

Zazwyczaj tak. Albo dzielą je z samcami, albo każdy ma swoje, albo samce mają duże terytorium, w którego granicach samice mają swoje – mniejsze. Sa-

mice kolibrów kalifornijskich tworzą małe terytoria pomiędzy terytoriami samców, ale każdy ptak traktuje je bardzo ekskluzywnie. Tropikalne gatunki, które specjalizują się w wypijaniu dużych porcji nektaru z dużych kwiatów rosnących daleko od siebie – nawet kilometr – nie mogą mieć żadnego terytorium, bo nie byłyby go w stanie strzec.

Ile gatunków kolibrów znamy?

Około 350, ale są różne klasyfikacje. Ostatnio spotkałem się z liczbą 367. Oczywiście są jeszcze nieodkryte gatunki, np. w Brazylii. Sądzę, że za kilkanaście lat, kiedy naukowcy skończą już katalogować przyrodę, będzie ich ponad 400 gatunków. Większość mieszka w Amerykach – w USA, Kanadzie, tropikalnych terenach Kolumbii, Ekwadoru, Brazylii i Wenezeli, gdzie wzdłuż równika występują setki gatunków.

Jak sobie radzą ze zmianami klimatu?

Całkiem nieźle. Ok. 80 proc. gatunków radzi sobie dobrze, niektóre tutaj, w USA, nawet się rozprzestrzeniają dzięki temu, że ludzie sadzą w ogrodach kwiaty. Ale część gatunków żyjących na wyżynach, jak rudaczek szerokosterny czy rudaczek liliobrody, są w niebezpieczeństwie. Ich liczba spada, możliwe, że z powodu ocieplenia klimatu. Jednak te, które są krytycznie zagrożone, jak brzęczek chilijski, znajdują się w tym położeniu ze względu na utratę siedlisk. To największe zagrożenie dla wszystkich kolibrów.

Właśnie wrócił Pan z badań terenowych. Gdzie był Pan tym razem?

Miałem być w Wenezueli i badać gatunek *Chaetocercus jourdani*, o którym nie mieliśmy żadnych danych, ale ze względu na problemy z wizą mi się nie udało. Szczęśliwie pojechali moi współpracownicy i świetnie się spisali, a ja zająłem się badaniem *Chaetocercus heliodor* w Kolumbii. Samce tego gatunku wydają dźwięki ogonami w czasie zalotów. Próbowaliśmy nagrać te zaloty i pobieraliśmy próbki piór do badania w tunelu powietrznym, by zobaczyć, jak te dźwięki są emitowane.

To Pan był pierwszą osobą, która wykazała, że kolibry wydają dźwięki nie tylko krtanią, ale również ogonami?

Pewne badanie z lat 40. XX w. sugerowało, że ptaki mogą wydawać dźwięki ogonami, ale autorzy nie mieli dowodów. Kiedy natknąłem się na nie krótko po studiach, wpadłem na pomysł, jak przetestować, czy pióra ogonowe rzeczywiście wydają dźwięki. Czyli jako pierwszy przeprowadziłem eksperymenty z piórami ogonowymi. Umieściłem je w tunelu powietrznym, który zbudowałem, i odtworzyłem wydawane przez nie dźwięki.

Skąd Panu przyszło do głowy, żeby zostać ekspertem od kolibrów?

W dzieciństwie bardzo lubiłem obserwować ptaki, jako 14-latek miałem w tym już niezłą praktykę. Przed rozpoczęciem szkoły średniej obserwowałem kolibry przy karmniku w Idaho. I wtedy pomyślałem, że to fajne ptaki, że łatwo byłoby je złapać – i mógłbym zostać ekspertem od nich. Później zrozumiałem, że kolibry doskonale nadają się do badań nad lotem, nawet w małych klatkach, ponieważ potrafią zawisnąć w powietrzu. A ponieważ można je skusić na karmnik, to da się kontrolować, dokąd polecą. Doskonale sprawdzają się w badaniach w tunelu powietrznym. W końcu przeprowadziłem badanie na temat piór ogonowych i dźwięku u kolibrów kalifornijskich, które najpierw obserwowałem na wolności i słyszałem, jak „śpiewają” ogonami w czasie lotów nurkujących. Wznoszą się na ok. 30 metrów, by runąć w dół z dużą szybkością i przelecieć obok samicy, wydając sygnał dźwiękowy. Były wszędzie wokół mnie i wydawało mi się, że łatwo będzie przeprowadzić z nimi badania.

Tylko kolibry „śpiewają” ogonami?

Nie. W Polsce macie np. bekasy. Większość takich ptaków wydaje dźwięki trzymając rozczapierzony ogon i wymachując skrzydłami. Skrzydła zaburzają przepływ powietrza nad ogonem, ale źródłem dźwięku są wibrujące pióra ogonowe. Inny gatunek, z Kongo, to miódwód lirosterny, wydaje dźwięki, gdy rozkłada ogon w czasie lotu nurkującego. Częściej jednak ptaki wydają dźwięki piórami skrzydłowymi niż ogonowymi. Wiele gatunków kolibrów również potrafi hałasować skrzydłami. Ja skupiłem się na ogonach, bo łatwiej je badać. Kolibry po prostu je rozkładają, więc jeśli weźmiesz pióro ogonowe i umieścisz je w tunelu powietrznym, łatwo możesz odtworzyć

ten dźwięk. No i można wyrwać ptakowi pióro ogonowe bez specjalnych konsekwencji. Jeśli wyrwiesz mu pióro ze skrzydła, ptak oczywiście umrze. Pióra skrzydeł pobieram tylko z martwych zwierząt i mam w związku z tym o wiele mniej materiału.

Naprawdę wyrwanie pióra z ogona nie wyrządza kolibrom krzywdy?

W około pięć tygodni wyrasta mu nowe. Pióra są jak włosy – ptaki regularnie je wymieniają, przynajmniej raz w roku, czasami dwa.

Chyba nie może im Pan tego robić w sezonie godowym – bo jak się będą zalecać?

Cóż, przeprowadzam eksperymenty właśnie w sezonie godowym, bo badam, jak te pióra wydają dźwięki, a kolibry emitują je właśnie wtedy. Wydaje nam się, że te dźwięki to sygnały godowe i samice słuchając piór, podejmując decyzję, z którym samcem będą spółkować. Trudno nam to zmierzyć, ale zakładamy, że tak jest. Zatem jeśli zabieram samcowi pióro z ogona i on przestaje wydawać nim dźwięki, istnieje spora szansa, że czynię go na ten sezon brzydałem. Samice nie będą chciały z nim kopulować. Zgadza się, że ten samiec ma przerąbane, ale przejściowo. Szybko odrośnie mu nowe pióro. Samica będzie kopulować z kimś innym, więc populacja na tym nie straci.

Ile żyją?

Prawdopodobnie od 3 do 5 lat, choć nikt tego dokładnie nie zmierzył. Wiele kolibrów ma dwa sezony godowe rocznie.

Trochę mi ulżyło. Oszcpecone samce jeszcze dostaną kilka szans na gody w pięknie udźwiękowionej szacie. Ale nadal Pan nie wie, co tak kręci samice w tych dźwiękach z ogona?

Niestety. Bardzo trudno to zbadać. Np. przy badaniu żab tungara to relatywnie proste – samce wydają dźwięki, samice zbliżają się w stronę dźwięku, który wydaje im się atrakcyjny. Podobnie rzecz ma się w przypadku świerszczy i kilku innych owadów. W takiej sytuacji relatywnie łatwo jest określić preferencje samicy. Ale z kolibrami sprawa się komplikuje, bo samice nie dają samcom w żaden widoczny dla nas sposób odczuć, że są zainteresowane. W czasie zalotów wydaje



ANIMAL AEROACOUSTICS LAB

CHRISTOPHER CLARK jest zoologiem, szefem Animal Aeroacoustics Lab na University of California Riverside. W swojej pracy skupia się na biomechanice i ekologii behawioralnej. W pracy doktorskiej wykazał, że kolibry kalifornijskie wydają głośne dźwięki piórami ogonowymi.

się, że samica cały czas ucieka od samca, próbując mu się oprzeć. A jednocześnie to ewidentne, że samcze pokazy w czasie zalotów musiały wyewoluować zgodnie z preferencjami samic. Jednak ze względu na ich zachowanie trudno nam dojść, co jest dla nich atrakcyjne, a co nie.

Samce wydają dźwięki ogonami tylko w czasie sezonu godowego? A poza tym używają krtani?

Dźwięki piórami rzeczywiście głównie wydają w czasie sezonu godowego. Jeśli robią to poza nim, to być może ćwiczą. Niektóre gatunki, jak koliberek żarogłowy, również śpiewają krtanią. Robią to przez cały rok, ale w czasie sezonu godowego – częściej. Kiedy samiec uwodzi samicę, to obok lotu nurkującego, w czasie którego wydaje dźwięki ogonem, rozkłada świetliste piórka na gardle i śpiewa pieśń godową tuż przed dziobem wybranki. Więc i ta wokalna pieśń ma znaczenie. Jedną z moich studentek chce ustalić, który samiec kolibra kalifornijskiego jest ojcem młodych w jakich gniazdach. Może pod koniec roku dowiemy się, że ten samiec miał troje lub czworo potomstwa, a tamten – żadnego. I będzie to jakaś wskazówka, tym bardziej że studentka zbiera różne dane: analizuje dźwięki wydawane ogonem, pieśni, kolor piór pod szyją – są takie piękne, fioletowe. Może znajdzie jakieś korelacje, które na coś nas naprowadzą.

W jednym z wykładów dostępnych na YouTube mówił Pan, że pieśni

wokalne i ogonowe dwóch gatunków kolibrów – kalifornijskiego i żarogłowego – są bardzo podobne. Widać to także na spektrogramach. Wie Pan, czemu te samce się tak trudzą, wydając podobne dźwięki różnymi częściami ciała?

To pytanie męczy mnie już od piętnastu lat – podobieństwo między wokalizacjami a dźwiękami wydawanymi przez ogon jest rzeczywiście uderzające. Mam już na to wiele innych przykładów z różnych kontynentów. Gdybyśmy mogli zmierzyć preferencje samic, mielibyśmy szansę na rozwikłanie tej zagadki. Aktualnie jedyne wytłumaczenie jest takie, że sam dźwięk musi być dla samicy atrakcyjny. Może nieważne, jak samiec go wydaje, ważne, że to robi. Może ogony samców wyewoluowały, by mieli przewagę, mogąc emitować dźwięki na dwa sposoby jednocześnie. Ale to nie jest satysfakcjonujące ani pełne wytłumaczenie.

Kolibry uczą się pieśni od swoich rodziców?

Nie. Jak wspomniałem, samce nie biorą udziału w wychowaniu. Czasem do gniazda podlatuje samiec i demonstruje swoje loty nurkujące, ale nie wiadomo, czy to ojciec piskłat. Dzięki eksperymentom wiemy, że kiedy piskłeta są w gnieździe, nie mają jeszcze umiejętności wykrycia dźwięków i ich nauki. Wydaje się, że potrafią to robić dopiero tydzień lub dwa po opuszczeniu gniazda. Więc jeśli jesteś młodym samcem kolibra zaprogramowanym na to, by nauczyć się, jak brzmi twój gatunek, szukasz samców w okolicznej populacji. Ale raczej nie trafisz na twojego ojca, a jeśli trafisz, to przez przypadek.

Wszystkie kolibry uczą się jednej i tej samej pieśni czy każdy chce mieć swoją?

Wygląda na to, że większość kolibrów chce powtarzać pieśni występujące w ich populacji. W czasie eksperymentów na dwuletnich samcach kolibrów kalifornijskich dowiedzieliśmy się, że nawet dorosłe osobniki mogą się nauczyć nowych, i to o wiele bardziej skomplikowanych niż te śpiewane w ich gatunku. Na wolności wszystkie śpiewają tę samą pieśń, nie ma żadnych dialektów, różnic, zmian. A na dodatek to dość prosta melodia. Mają więc w mózgu dość skomplikowaną maszynę do nauki ➔

→ złożonej muzyki, ale z niej nie korzystają. Dlaczego? Nie wiemy.

Rzeczywiście je tak łatwo łapać, jak Pan sądził w dzieciństwie?

Czasami. Jeśli odwiedzają karmnik, jest to relatywnie proste – 80 proc. daje się wtedy pochwycić. Ale jeśli chcesz pochwycić konkretnego ptaka, możesz się nieźle namęczyć, szczególnie jeśli należy do spryciarzy. Jeśli ptaki nie podlatują do karmnika, używa się sieci – przejrzystej jak mgła – którą zawieszają się między drzewami. I czeka się, aż ptak w nią wpadnie. Niektóre osobniki jak tylko w nią wpadną, zaraz szybciotko lotem do tyłu się z niej wypłutują, a inne są tak bystre, że zauważają sieć i wyhamowują lot tuż przed nią, wznosząc się do góry i omijają. Nie jest to więc takie proste i wymaga wprawy. Ekipa, która była na badaniach w Wenezueli, przez tydzień nie złapała żadnego ptaka.

Po badaniach je Pan wypuszcza?

Większość. Teraz w awiariusm na uniwersytecie mamy sześć osobników, niebawem je wypuścimy i zastąpimy nowymi. Chyba że przeprowadzamy eksperymenty na młodych, które uczymy niewłaściwych pieśni – wówczas oddajemy je do ogrodów botanicznych i zoologicznych, bo na wolności by nie przetrwały.

Dlaczego te piękne ptaki nie stały się zwierzętami domowymi jak kanarki?

Z kilku powodów. W wielu krajach prawo zakazuje trzymania kolibrów w domu. Z pewnością dlatego, że zazwyczaj pozyskuje się je z dziczy, bo trudno je rozmnażać w zamknięciu. Trzeba się na to przygotowywać około roku, by zgrać samce z samicami. Nam rozmnożenie w niewoli udało się tylko z jedną parą, która miała sześć gniazd, ale potem szczur włamał nam się do laboratorium i zjadł chętnego do rozrodu samca. W niewoli trudno te ptaki utrzymać na takim poziomie szczęścia, by miały ochotę na zaloty i potomstwo. Inny powód to ich wymagania żywieniowe. Nie można zapomnieć pewnego ranka nakarmić kolibra – ma tak szybki metabolizm, że wystarczy dzień bez pożywienia, by umarł z głodu.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

OPP / FOT. GRAZYNA MAKARA

OLGA DRENDĄ,
dyrektorka
kreatywna
Festiwalu
Conrada.
Na zdjęciu
z Michałem
Sowińskim,
redaktorem
literackim
Festiwalu Conrada

Literatura to nie tylko piękno, ale i narzędzie do pojmowania świata tam, gdzie fakty zawodzą. Tworząc program Festiwalu Conrada, dbam, by inspirował do myślenia i przeżywania, otwierając nowe drogi. Dzięki Waszemu wsparciu wydarzenie może wprawiać w ruch odważne, budujące myśli – na dziś i jutro. Naprawdę!

**Rozliczasz PIT? To proste, a Twoje wsparcie ma realną moc. Masz pytania?
Zadzwoń: 12 426 53 31
lub napisz: fundacja@tygodnikpowszechny.pl
– chętnie pomożemy!**

1,5%



**Fundacja
Tygodnika
Powszechnego**

» KRS 0000 125 605

Twoje wsparcie pozwala zmieniać świat. Naprawdę

ELIZA

Kącka: Terapia



TRAMWAJ 16, JAZDA KU ŚRÓDMIEŚCIU. Matka z synem późnonastoletnim w przejściu między siedzeniami: „Środa Popielcowa, a ty batonika jesz?”. „Nie jem”. „Jesz?”. „Dobra, pójde do kościoła”. „A chciałeś nie iść?! Pójdiesz wypowiadać batonika”. „Mamaaa”.

„I nie podoba mi się, jak mówisz z kolegami”. „Grzeczny jestem”. „Wstydzisz się”. „Co?!”. „Wstydzisz się, schowałeś swoje akty”. „Akty?!”. „Akt bierzmowania, pamiątkę chrztu. Pochowałeś”. „Mamaaa”. „Dobra, przynajmniej nic już więcej dziś nie jedz”. „Głodny jestem”. „Tyjesz, a w poście trzeba chudnąć”. „Tyję, bo się uczę”. „A Jezus chudł”. „Jak nie będę jadł, to się nie nauczę do matury”. „Nie ty decydujesz, czy zdasz”. „A kto...”. „Ty się módl, tyle ci powiem”.

STAW U PODNÓŻA SKARPY WARSZAWSKIEJ, PRZY DOLNEJ, ZMIERZCHA. Okrażam, wypatruję, czy ktoś jeszcze wierci się w trzcinach. Przysiadam. Tuż przy brzegu stoi gość kiele sześciziesiątki. „Niebo jest popielate, nie?”. Przytakuję. „Popielec dziś, sobie uświadomiłem. Nie lubiłem, jak byłem mały. Smutek, lepkość tego popiołu”. „Uhm”. Śmieje się: „Raz mama przyniosła w książeczce, bo grype miałem. Wtarłem w miśka”. „Haha”. „A teraz mi to święto pasuje do świata. Gorzki smak popiołu. Zna pani?”. „Znam”. „Przepraszam, coś mnie wzięło, ale taki smak mam w ustach, gdy na to wszystko patrzę, czytam, rozumie pani?”. „Rozumiem. A na niebie popiół bez obrządku”.

AUTOBUS 118, WIECZÓR, WRACAM Z PÓŹNEJ ODSIADKI W BIBLIOTECIE Uniwersyteckiej. Obok mnie dwóch nieco młodszych. Pierwszy: „Ja bym kebaba jeszcze zaliczył”. „Gdzie, tu?! Tylko na Jana Pawła...”. „Ok, ale jak nie jem, to muszę pić albo gadać”. „To gadać”. „Jak już było mówione, prawda jest najtrudniejsza do powiedzenia sobie wprost tej prawdy”. „Mówisz”. „Dokonałem się wielu zdra”. „Powiedziałaś”. „Ja na Monice dokonałem zdrady”. „Mówisz?”. „Chce mi się kebaba, szlag”. „Masz chipsy moje”. „Eeee. Łatwiej by mnie było z kebabem. Monia mi i tak przebaczy”. „Fajnie masz”. „Nie, bo muszę ciągle jeść”. „A jak ty się zaopatrujesz na nią?”. „Za dobra jest”. „To co ją zdradzasz?”. „Bo jest za dobra”. „Bosz”. „A potem terapia kebabem, rozumiesz?”.

WIATA AUTOBUSOWA NA ROGU CZERNAKOWSKIEJ I CHEŁMSKIEJ. Przy mnie dziadek z wnuczką. Dziadek o lasce, wnuczek z plecakem większym od wnuczka, na pełnym nakręcie: „Dziadek, a czy można umrzeć na uczucie?”. „No, niektórzy umierają z miłości”. „Nie, na uczucie”. „Ech, poczekaj. Na przykład: na smutek? Można. A dlaczego pytasz?”. „Bo Kornel mó-

wił, że jego babcia zmarła na złość”. „Taaak? No patrz”. „A na co ty umrzesz?”. „O słuchaj, nie wiem”. „Bo babcia mówi, że ty jesteś za bardzo zadowolony”. „Hehe”. „Można na to umrzeć?”. „Oj, nie wiem, chyba nie”. „Dziadek, to może ty nie umrzesz?”. „Umre, ale możemy się tak umówić, że ze szczęścia”. „Też na uczucie?”. „Tak, na uczucie szczęścia, że miałem takiego wnuczka, no”.

TRAMWAJ MOKOTOWSKI, OBOK PARA STARSZYCH. ONA: „Te Trumpy, te nasze absurdy. Stefciu, to chyba PRL ludzi tak urobił, że nic nie rozumieją”. „Nie wiem, wiesz, oni nigdy nie byli dorośli”. „Ale już starzy są!”. „Co z tego”.

AUTOBUS 116, DWIE W MOIM WIEKU: „NO ALE PRZYNAJMNIENIEJ masz męża”. „Mam, i co?”. „Rodzinę masz. Ja tego nie zbudowałam, Aśka”. „Wojtek cię kocha”. „Kocha, ale rodziny nie chce”. „A ty chcesz?”. „Chcę. Dwójkę dzieci”. „Odważnie”. „A wy nie chcecie dzieci?”. „Nie wiem. Nie chcę się bać”. „Czego? Wojny?”. „Nie, nie tylko. Walki”. „?”. „No co? Ludzie się nie zwalczają?”. „Ale dylemat uciulałaś! Zawsze tak było”. „Nie”. „Skąd wiesz?”. „Mieliśmy więcej zaufania”. „Eee, nie zauważyłam”. „No to ja się zmieniłam. Tym bardziej...”. „Tym bardziej co?”. „...nie powinienam być matką”. „Ech, Aśka, gdyby każdy tak...”.

WIECZÓR PÓŹNY, PRZYSTANEK AUTOBUSOWY PRZY BARTYCKIEJ w Warszawie. Po jednej stronie kładki dogasające magazyny z armaturą, płytkami łazienkowymi, z rzadka migającym neonem promocji. Aż trudno uwierzyć, że w tych ospałych barakach krążą w dzień ludzie i rzeczy. I że spekany beton na niskokalorycznej kropłowce elektryczności przetrwa do jutra. Wiata autobusowa, siadam na ławce. Pod ławką instalacja z małpek, upapranych keczupem folii i okrwawionych chusteczek. Polygon. Siada przy mnie dziewczyna w wieku licealnym. „Objazd, może pani nie doczekać”. „Objazd?”. „W dzień nie jeździli. Nie wiem zresztą. Może jeździli. Wyszłam i tak siedziałam”. „Stąd?” – wskazuję ramieniem liceum nazaretanek. „Yhy. Teraz u koleżanek byłam”. „W internacie? Późno”. „W sumie nie wolno, ale ja tu tylko nocą wytrzymuję”. Milczymy. Ona: „Jak po lekcjach jadę do domu, to patrzę na ludzi w autobusie i myślę, że są wolni. Głupio”. „Znamy ten stan”. Ożywiła się: „Ostatnio jechałam 141 i starszy pan powiedział, że bym się cieszyła, bo jestem młoda i mam zdrowe nogi. A ja mu, żeby to on się cieszył, bo jest wolnym człowiekiem. I się popłakałam”. „Ech”. „Haha, pomyślał, że jestem psychiczna”. „Niekoniecznie. A może by tak zmienić...?”. „Szkofę? Rodzice uważają, że to raj. Ale ja bym też nie umiała”. „Dlaczego?”. „Nie wiem, zobowiązanie, że się tu będzie. Skazanie”. „Ciekawe”. „Zwariowałam?”. „Nie. Ale niezły fatalizm”. „Niby normalnie tu wchodzę, a się zapadam. Potem wydobywam się i na autobus”. „Jak z jakiegoś leja”. „Tak! Mama mówi, że jak się lekcje zaczyna od modlitwy, to jest gwarancja, że będzie wesoło”. „Nie zasmucać mamy”. „Ale to na pewno ja jestem nienormalna, ja”.

©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono”.



KULTURA

SZTUKA WYSOKA

PEJA (RYSZARD ANDRZEJEWSKI), MUZYK:

Nigdy nie zapełniłem stadionu. O tych, którzy to robią, mówi się „gwiazdy”. Ale o takich jak ja mówi się „ikony”. Nie mam, jak gwiazdy, tych sprzedanych stadionów, ale mam coś, czego wielu z nich raczej nie osiągnie.



PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

PEJA (właściwie **RYSZARD ANDRZEJEWSKI**) jest raperem, producentem, współtwórcą zespołu Slums Attack (wraz z DJ-em Decksem).

Od lat 90. jest jednym z najważniejszych głosów ulicznego hip-hopu. Jego kolejne albumy uzyskiwały status złotych lub platynowych płyt. W środowisku Peja jest znany także ze swojej encyklopedycznej wiedzy na temat historii hip-hopu. Właśnie minęło 15 lat, odkąd przestał pić. Mieszka w Poznaniu.

JAN BŁASZCZAK: „Musisz spróbować wybrać właściwą drogę”, „z góry założyłeś, zanim jeszcze spróbowałeś / że sprawie nie podołasz, ile razy żałowałeś?” – słucham Twoich starych utworów i tak się zastanawiam: czy Ty rapujesz w nich także do siebie?

PEJA: Bardzo często tak. Jeżeli wybrzmiewam niczym wujek dobra rada, to tak naprawdę prowadzę również monolog wewnętrzny. Stawiam jakąś tezę, próbuję z nią dyskutować, by w ten sposób dać słuchaczowi do myślenia. Bardzo często uprawiam taką retorykę. I choć nie jestem typem totalnie poważnego koleśka, to w tekstach jakoś zawsze jestem poważny. Naprawdę, chciałbym mieć talent do pisania lekkich bądź zabawnych zwrotek, ale mi to po prostu nie wychodzi.

Czy to dlatego, że od początku czułeś, że jesteś głosem osiedli? Że, jak sam rapowałeś, reprezentowałeś biedę?

Być może tak, bo chyba od początku rzeczywiście chodziło o jakieś tam misjonarstwo. Zawsze traktowałem rap śmiertelnie poważnie, może aż nazbyt i chyba się to już nie zmieni. Zawsze chciałem się wypowiadać na tematy społeczne, mówić w czyimś imieniu, brać kogoś skrzydło. W wielu utworach zawartych na pierwszych produkcjach występował koktajl emocji, z którymi mogły utożsamiać się blokowe masy. Szybko zorientowałem się, że za sprawą muzyki nie tylko reprezentuję biedę jako społeczność, do której długo przynależałem, ale także stanowią dla niej swego rodzaju nadzieję. Kiedyś mówiono o sportowcach np.: „biała nadzieja boksu” – ja byłem tą nadzieją biednych dzielnic Poznania, a już za chwilę całej Polski.

Kiedy słucham tamtych płyt, uderza mnie, jak bardzo zmienił się stosunek hip-hopu do pieniędzy. Dzisiaj raper może się przyznać do wszystkiego, tylko nie do tego, że nie ma kasy.

A kiedyś było to oczywiste. Dziś wielu raperów często posiada tylko tyle, ile ma na sobie. Dostrzegam tę fasadowość – samochody na leasingach, powynajmowane kwadraty, markowe ciuchy od włoskich projektantów, które okazują się podróbką. Wizerunek i status wyparł

knowledge, czyli wiedzę o tej grze. A to dlatego, że dzisiaj przeciętny słuchacz rapu nie karmi się wartościową treścią. Woli obserwować. Styl i gust muzyczny przegrał z ostentacyjnym bogactwem, nierzadko głupotą. Obserwatorzy zamiast *flow* i tekstów biorą pod lupę każdą wypowiedź lub zdjęcie artysty.

Co wypada posiadać?

Jeśli oprócz markowych ciuchów i butów nie posiadasz biżuterii, drogich zegarków czy okularów, to twoja artystyczna wartość w ich oczach maleje. Ostatnio napisał do mnie jakiś dzieciak: „Jak to jest, że inni artyści, którzy nie zasłużyli na duże pieniądze, je mają, a ty nie jesteś milionerem?”. No i co miałbym mu niby odpisać? Jak go przekonać, że niczego mi nie brakuje? Jestem zdania, że pieniądze lubią ciszę. No ale widzisz, nie ubieram się według jakiegoś ogólnie przyjętego kanonu. A jeżeli nie wkładasz takiego kostiumu, to w ich oczach uchodzisz za człowieka bez pieniędzy. A ja niedawno wybudowałem drugi dom i teraz co – mam trzeci budować?

Wszystko wyjaśnia już Twoja ksywka – Peja. Kiedyś ojciec ogolił Cię na tyso, bo miałeś „peje”, czyli wszy. Większość osób chciałaby zapomnieć o takim epizodzie, ty umieściłeś go w centrum.

Pochodzenia, ksywka – to wszystko napawa mnie dumą! Nigdy tego nie tuszowałem, wręcz przeciwnie. Czułem, że jestem z biedy, a biedne dzieciaki ze sobą zawsze trzymały. Wspólne przeżycia, perypetie w wymiarze domowym, problemy w szkole etc. Byłem przyzwyczajony do trudnych sytuacji i do rozwiązywania ich w różny sposób. I dlatego od początku było dla mnie tak ważne, żeby o tym wszystkim mówić.

Naprawdę wierzyłeś, że rap może Cię wyciągnąć z tej biedy? Byliście pierwszym rapowym pokoleniem, zastanawiam się więc, kto wam mógł dawać taką nadzieję.

Mieliśmy tylko Liroya, który jednak pokazał, że można sprzedawać pół miliona płyt. I z perspektywy czasu uważam, że premiera „Alboomu” to było bardzo ważne wydarzenie. Komercyjny sukces tej płyty zmobilizował wszystkie ośrodki rapowe w Polsce. Każdy chciał pokazać, ➔

→ że jest od niego lepszy, z takim czy innym skutkiem. Kozak założył RRX, nagle pojawiły się składanki Volta, Bolec pracował nad swoim debiutem dla EMI, pojawił się Kaliber ze swoim psycho-rapem. W pewnym sensie Liroy zmobilizował nas do roboty.

Ale co było Twoim muzycznym punktem odniesienia?

Przed wszystkim Stany. Wszyscy słuchaliśmy amerykańskiego rapu, kupowaliśmy płyty i przegrywaliśmy kasety, oglądaliśmy klipy i gadaliśmy o samplach, analizowaliśmy teksty, style. W pewnym momencie słuchanie przestało mi wystarczać. Wiedziałem, że mam coś do powiedzenia i chciałem z tym wyjść do ludzi. I najwidoczniej nie byłem w tym sam.

Sukces Twojego Slums Attack był olbrzymi. Kiedy w 2001 r. ukazała się płyta „Na legalu?”, piosenka „Głucha noc” leciała dosłownie wszędzie.

Słuchać duży kontrast pomiędzy tym albumem a poprzedzającym go „I nie zmienia się nic”. W ciągu zaledwie roku poszliśmy bardzo do przodu, np. w zakresie brzmienia utworów. Odnieśliśmy na ten czas ogromny sukces. W ciągu następnych dwóch lat weszliśmy do mainstreamu, gdzie na listach sprzedaży konkurowaliśmy z Budką Suflera czy Varius Manx. Zaczęliśmy dobrze zarabiać, głównie z koncertów. Stworzyliśmy też warunki, które pozwoliły nam ulepszać brzmienie i warsztat. Bo nam nie chodziło tylko o to, żeby zrobić szybki strzał i zwinąć interes. Od zawsze chciałem być artystą.

Co robiłeś, zanim nim zostałeś?

Przed nagraniem debiutanckiej płyty pracowałem fizycznie, utrzymywałem się też z tego, co zdobyłem na ulicy, ale zrezygnowałem z tego. Wolałem klepać biedę, niż pokrzyżować swoje muzyczne plany na własne życzenie. Główny cel to być sobie szefem, być całkowicie niezależnym. Trochę trwało, ale w końcu tego dokonałem. Dziś bardzo dobrze mi się wiedzie, posiadam praktycznie cały swój katalog wydawniczy, sam ogarniam koncerty. Wiem, ile zarobię z każdego występu czy albumu – mam nad tym pełną kontrolę. Wydają też płyty bardzo regularnie nie dlatego, że muszą, ale po prostu wciąż czuję taką potrzebę.

Moje utwory już nie dotyczą niepewności jutra, bo wiem, jak ono będzie wyglądało.

Utrzymuję się z rapu już trzydzieści lat.

W końcu artystą się jest, a nie bywa. Przez całe życie.

Gdybyś zrobił dłuższą przerwę, to Twoja płyta cieszyłaby się większą popularnością.

I wyobraź sobie, że często nieznani mi ludzie, słuchacze wyrażają opinie w kwestii zbyt małych wyświetleń na YouTube czy w streamach. Młodszy fani rozkminiają, czy przynosi mi to odpowiednie pieniądze – a ja powtórzę, że mam już wszystko, czego mi trzeba. Jeśli kiedyś moje utwory dotyczyły niepewności jutra, to jej już nie ma – wiem, jak ono będzie wyglądało. No bo słuchaj, ja zarabiam z rapu trzydzieści lat. Jestem długodystansowcem, jak np. DonGuralesko, który również wydaje płyty rok w rok. Wiesz dlaczego?

No dlaczego?

Bo artystą jest się przez całe życie. Nie wydaję nowej płyty, bo poprzednia przestała generować zyski. Nie. Przecież ja mogę zarabiać na wiele innych sposobów. Mogłbym, jak moi koledzy z tzw. branży, szukać kontraktów reklamowych, sponsorów dla swoich tras koncertowych, ale mi to po prostu nie pasuje. Ja już tam byłem, na tym mainstreamowym szczycie. Niczego szczególnego tam nie odkryłem. Wjechałem tam z podziemia i teraz w naturalny sposób do niego wracam. I bardzo mi to odpowiada.

Jesteś na bieżąco z tym, co się dzieje w podziemnym rapie?

Mam bardzo dobry kontakt z tą sceną. Lubię dogrywać się na płyty podziemnym artystom. Bo ważniejsze jest dla mnie, żeby pracować z raperami, a nie z ksywkami. Taki Bartek KOKO nie wykręca super liczb, ale dla mnie „Beks” to jest dzisiaj czołówka wartościowego rapu w podziemiu i nie tylko. Zresztą to zdaje się mieć potwierdzenie dzięki publikacjom w sieci od innych osób.

Na ostatnim albumie Slums Attack – wydanym w grudniu „Depeche mood” – nie ma wielu gości.

A w rapie to mechanizm stary jak świat – zapraszanie gorących nazwisk...

Wiadomo, zaprosisz pięciu czy sześciu graczy z głównego nurtu, a potem liczysz, że ta współpraca pomoże ci wykręcić dobre liczby w streamie. Fizyczne egzemplarze też zapewne sprzedadzą się lepiej. A jednak tym razem nie chciałem tego robić. Oczywiście, wcześniej mi się to zdarzało – zapraszałem Kabe, Sztossa, Szczyla, a także Pezeta czy Sokoła, którzy w moich oczach uchodzą za graczy z głównego nurtu – takich, którzy chcieliby zrobić transfer do wielkich hal i nie interesuje ich już granie w mniejszych klubach. Co uważam za błąd. A może chodzi o to, że nie potrafiłbym zagrać ośmiu koncertów, a potem siedzieć na dupie przez cały rok – bo tylko w ten sposób wygenerujesz odpowiednią przerwę i ciśnienie. To się nie wpisuje w moją definicję artysty.

Z całym szacunkiem do talentu tych warszawskich raperów, to Wy zawsze mieliście po prostu inną filozofię życia. Kiedy Ty przyglądałeś się ludziom z marginesu, Sokół rapował: „Nieudacznicy nie przytulą dzisiaj sosu / Idź zarób, skołuj, nie bądź ofiarą losu”.

W ciągu ostatnich czterech lat zrobiłem blisko dziesięć albumów i zdarzyło mi się rozmawiać o tym z Sokołem, który uważa, że takie rozkładanie weny w czasie jest szkodliwe. Nie uważam, że bym sobie tym szkodził, bo to mój świadomy wybór. I nie zamierzam niczego sztucznie hamować, niczego stymulować. Jak czytam post Gurala o tym, że napisał pięć numerów, a następnego dnia wszystkie je nagrał, to wiem, że to jest rap. Jeżeli jednego dnia pisze, a drugiego już wszystko nagrywa, to jest to po prostu sztuka wysoka. Bo tu nie ma miejsca na kalkulację. Na myślenie, czy ludzie kupią płytę, czy przyjdą na koncerty. Powtórzę: artystą się jest, a nie bywa, no kurwa!

Znaleźlibyśmy przykłady odnoszących sukces raperów, którzy nie tyle robili sobie długie przerwy, co nagle zawieszali kariery.

Peja: dzieła najważniejsze i pamiętne



■ SLUMS ATTACK „NA LEGALU?”, 2001

Płyta, która zapisała się nie tylko w historii polskiego rapu, ale też rodzimej popkultury. „Jest jedna rzecz”, „Mój rap, moja rzeczywistość” czy „Głucha noc” stanowiły ważny element polskiej audiosfery początku wieku, a później długo powracały w cytatach i przetworzeniach. Z tej płyty pochodzą też „Kolejny stracony dzień” czy „I moje miasto złą stawą owiane”. Klasyki.



■ SLUMS ATTACK „REEDUKACJA”, 2011

„SLU reedukacja – uratować kilka istnień”

– rapuje Peja w utworze tytułowym, a ósmy album Slums Attack dokumentuje początek jego abstynenckiej drogi.

Sporo tu refleksji, empatii i życiowych porad udzielanych także słuchaczkom, które raper dopinguje, by nie bały się porzucać przemocowców.



■ „KSIĄŻĘ AKA. SLUMILIONER”, 2014

„Powrót do przeszłości? Po co? Teraźniejszość mi służy”

– czwarty solowy album poznańskiego rapera ukazuje go w innym świetle. Poczucie spełnienia, luz i radość z codziennych spraw i tylko czasem oberwie się jakimś rapowym faryzeuszom.



■ PEJA/SLUMS ATTACK „HIP_HOP_50”, 2023

Jako czołowy historyk sceny Peja postanowił uczcić okrągły jubileusz hip-hopu. I choć 50 lat to poważny wiek, ta krótka płyta jest wyjątkowo pełna życia.

Pojawiają się liczni goście, bity ciągną w różne strony, dramaty przeplatają się z humorem, a miłość do rapu nie wyklucza dystansu do siebie.

Quebonafide to dobry przykład tego, o czym mówię. Jak na koleśia o tak wielkich możliwościach i liczbie fanów, to on zrobił zdecydowanie za mało. To wygaszanie konta na Instagramie, usuwanie zdjęć, znikanie, granie jednego koncertu rocznie... No nie podobają mi się takie działania. Bo możesz mówić, że te zdjęcia nie mają już dla ciebie znaczenia, ale może miały znaczenie dla twoich fanów? Te sytuacje nie dotyczą tylko jego, stały się elementem promocyjnym mainstreamu.

Dlaczego?

Bo monetyzacja muzyki jest ważniejsza od niej samej. Zwinięcie interesu po bardzo mocnym strzale finansowym może wynikać z różnych przyczyn. Wszedłeś na top i sobie z tym nie radzisz, chcesz założyć rodzinę, a jesteś wciąż na walizkach. Nie chcę tego oceniać, bo nie chodzę w nich, czyich butach prócz własnych. Sam je-

stem ze starej szkoły, wiem, że mam do czego wrócić, bo jak mawiał Too Short: „graj w małych klubach, przychodź na lokalne imprezy, rozmawiaj z ludźmi, nie oddzielaj się od nich fosą”. I ja tak robię. Wtedy czuję się dobrze. Tak ja teraz – siedzimy przy jednym stole i rozmawiamy.

Czy takie podejście pomogło w momencie, kiedy nagle pojawiła się Twoja ogromna popularność?

Nie, zupełnie nie, bo wtedy jeszcze odpychałem się od ludzi. Mówiłem bardzo dużo o materialnych brakach, kładłem nacisk na problemy pierwszej potrzeby, ale nie zauważałem swoich własnych braków. Problemów, które się uwypukliły, kiedy zacząłem smakować popularności, kiedy przyszły pieniądze. Wtedy to wszystko zaczęło dawać o sobie znać. Z tych nizin, z tej biedy wydrapałem się na jakiś materialny poziom, ale upadłem w wymiarze ludzkim. Mia-

łem jednak o tyle łatwiej, że mówimy o czasach sprzed social mediów. Dziś jest o wiele trudniej w kontaktach z fanami. Wszystko co robisz w swoim życiu, nie tylko muzycznie, wychodzi do ludzi poprzez socjale i rządne krwi serwisy. Może więc gdybym dziś był numerem jeden, jeśli chodzi o popularność, sam zapragnąłbym wyłączyć internet i zniknąć? Ale rap nigdy nie był miękką grą. „Rap or die” – jak to się mówi.

Co masz na myśli, mówiąc o problemach, które zaczęły się wraz z pieniędzmi?

Ta moja droga przez „Na legalu?”, „N.O.J.A.”, „Szacunek ludzi ulicy”, „Styl życia G’N.O.J.A.”, to był czas hardcore’owej zabawy – takiego rock’n’rollowego stylu życia. Zdarzało mi się mówić o sobie bardzo źle na płytach, dużo rzucałem mięsem... Sam się prosiłem o to, by w mediach przedstawiano mnie w negatywnym świetle. Dziś jest zupełnie inaczej. To moje lepsze piętnaście lat kariery – bez dwóch zdań.

A te gorsze?

Imprezowałem i nie przywiązywałem uwagi do feedbacku, z jakim spotyka się moje życie i moja muzyka. Internet założyłem sobie bardzo późno, w 2007 roku. Dopiero z czasem, kiedy założyłem profile w mediach społecznościowych, skumałem, jak wielki ma on wpływ na relacje społeczne i nas samych.

Mówiłeś, że łatwiej było znosić wielką popularność w czasach sprzed social mediów, ale czy myślałeś kiedyś, co by się stało, gdyby „Na legalu?” ukazało się kilka lat później?

Gdyby „Głucha noc” pojawiła się w czasach YouTube’a, to mogłaby mnie bardziej finansowo ustawić.

Z drugiej strony, gdyby ukazała się dziesięć lat wcześniej, to wszyscy kupiliby ją z leżaka pod stadionem.

I bez tego zdążyli nas okraść – pirackie kopie tej płyty sprzedano w setkach tysięcy. Poza tym, gdyby social media pojawiły się wcześniej, to może wraz z nimi profesjonalizowałby się rynek koncertowy. Ostatnio ktoś mnie zapytał o tekst, w którym rapuję, że nigdy nie zapełniłem stadionu. O tych, którzy

→ to robią, mówi się „gwiazdy”. O takich jak ja mówi się „ikony”. Nie mam tych zapełnionych hal, sprzedanych stadionów, ale mam coś, czego wielu z nich raczej nie osiągnie.

Wróć jeszcze do tych social mediów. Może straciłem pieniądze na tym, że nie pojawiły się wcześniej, ale z drugiej strony cieszę się, że one rozwinęły się już po tym, jak przestałem ostro imprezować (*śmiech*).

Mówi się czasem, że ludzie, którzy przestają pić, mają nagle niebezpiecznie dużo wolnego czasu. Jak sobie z tym poradzić?

To nie był mój przypadek. Cały czas działałem prężnie na scenie. Dzięki temu, że przestałem pić, założyłem firmę, ale i rodzinę – nie miałem czasu na głupoty. Kiedy imprezowałem, też byłem non stop w wirze roboty. Pamiętamy, że to był okres znacznie większej popularności niż teraz, więc nie było ziewania (*śmiech*). Oczywiście, wtedy działałem bardziej chaotycznie: odsypiałem

imprezy, miałem kace i różne rozterki życiowe, ale nie oznacza to, że cały czas byłem poza kalendarzem i bujałem w obłokach. Ktoś przecież nagrywał te płyty, ktoś grał te koncerty, ktoś pozował na tego złego Rycha.

Jesteś na scenie od ponad trzydziestu lat. Czy na koncertach widzisz już rodziców z dziećmi?

Jasne, ojców z synami, matki z córkami. To jeszcze nie jest Kult, na który przychodzą trzy pokolenia fanów, ale dążymy do tego (*śmiech*). Na płycie SLU z 2006 roku nawijałem „wciąż mamy fanów / nasze ksywy zdobią mury / jak Depeche się dorobię swojej własnej subkultury”. I ta subkultura powstała. Stąd tytuł nowej płyty.

Jak zmieniły się Twoje koncerty w momencie, kiedy przestałeś pić? Jak tu teraz grać „Grubą Imprę z Rysiem”?

Na początku rzeczywiście zmieniałem setlisty, bo chciałem być lojalny wobec

wspólnoty AA. Teraz jednak na tyle się wyluzowałem, że gram wszystko, na co mam ochotę. Po piętnastu latach niepicia zaczynam pojawiać się prywatnie w miejscach, gdzie pije się alkohol: przyjmuję zaproszenia na urodziny, tańczę na trzeźwo z żoną, kiedy wokół większość osób jest pod wpływem. I nic złego raczej się nie dzieje. Postanowiłem więc wrócić do grania tych numerów.

I jak to jest przyjmowane?

Na początku robiłem do nich wprowadzenie, żeby nie było nieporozumień, ale ostatecznie uznałem, że moi słuchacze to przecież nie są debile. Wystarczy, że powiem: „a teraz coś starego, coś z czasów, kiedy był rock’n’roll”. I gramy. Fajną rzecz powiedział mi kiedyś Nullo z Trzeciego Wymiaru: „Rychu, ty byłeś prawdziwy, jak piłeś, i jesteś prawdziwy, jak nie pijesz”. Bo słyszę od bliskich, że łagodnieję, że się zmieniam. A skoro się zmieniam, to mój rap też się zmienia. Ciągłe jednak składałem wersy o tym, co leży mi na sercu.

© Rozmawiał JAN BŁASZCZAK

REKLAMA

MAGAZYN
wyborcza

Tworzymy go my i Wy:
dziennikarze, redaktorzy i Czytelnicy.

Opisujemy wydarzenia, poglądy i emocje.
Zawsze prawdziwe.

Zachęcamy do refleksji i inspirujemy.
Czytasz. Myślisz. Rozmawiasz.



MAGAZYN „Wyborczej”
Szukaj w punktach sprzedaży prasy przez cały tydzień!

W środku życia

MACIEJ MIŁKOWSKI

Premiera netfliksowej ekranizacji „Lamparta” zwraca uwagę na literaturę sycylijską. Po polsku ukazały się niedawno „Miasta świata” Elia Vittoriniego – człowieka, który nie chciał wydać powieści Tomasiego di Lampedusa.

NIE DOSTAŁ NOBLA JAK JEGO SZWAGIER, Salvatore Quasimodo, czy wcześniej Luigi Pirandello, patron całej XX-wiecznej literatury sycylijskiej. Nie był tak przenikliwym interpretatorem Sycylii jak Leonardo Sciascia, raczej zadawała się jej opisywaniem – niekiedy z podziwem, niekiedy ze smutkiem, zawsze z zadziwieniem. Nie napisał międzynarodowego bestsellera, jak jeszcze inny Sycylijczyk – Giuseppe Tomasi di Lampedusa. A jednak to właśnie twórczość Elia Vittoriniego jest dziś z tej wielkiej kolekcji moim zdaniem najbardziej godna uwagi.

Mimo olbrzymiego przywiązania do lokalnego szczegółu jest to bowiem twórczość szczególnie uniwersalna, ponadczasowa i głęboko ludzka po prostu. U Vittoriniego zawsze jest jakiś brak, niedostatek, niedokończenie – niekiedy dosłowne, jak w przypadku monumentalnie zakrojonych i zarzuconych „Miast świata” – lecz może właśnie to sprawia, że mamy do czynienia z czymś prawdziwym, pozbawionym jakiegokolwiek pozy czy sztuczności.

Arystokrata i dróżnik

Autor arcydzielnego „Lamparta”, Tomasi di Lampedusa, był arystokratą z Palermo, który całe życie nie pracował. Vittorini urodził się w Syrakuzach w rodzinie kolejarskiej i od wczesnej młodości miał się różnych zajęć, niekoniecznie piarskich. Tomasi di Lampedusa dzieciń-



Elio Vittorini. 1951 r.

stwo spędził w pałacach i wiejskich posiadłościach, rodzina Vittoriniego mieszkała w kolejnych budkach dróżniczych. Tomasi di Lampedusa napisał powieść sławiącą stary, ginący świat próżniaczej arystokracji. Vittorini pokazywał niewyobrażalną biedę prostego człowieka, postulował demokrację i egalitację, z nadzieją wyglądał wszelkich jej przejawów. Tomasi di Lampedusa opiewał świat przeszłości, Vittorini wyglądał świata przyszłości.

Nic więc dziwnego, że przeczytawszy maszynopis „Lamparta” dla wydawnictwa Mondadori, Vittorini zdecydował się książkę odrzucić. Podobno list odmowny Tomasi di Lampedusa miał przeczytać na krótko przed śmiercią. Anegdotę tę często opowiada się jako przykład, jak jeden wielki pisarz może się nie poznać na talencie innego wielkiego pisarza. Trafniej

chyba jednak czytać ją jako świadectwo tego, że dwaj wielcy pisarze mogą szukać w literaturze zupełnie innych rzeczy. Dla Vittoriniego literatura miała być narzędziem kształtowania lepszego świata jutra, a nie opiewania uroków głęboko niesprawiedliwego i nierównego świata wczoraj.

Magiczne podróże

Jadąc przez opisywane w „Sycylijskiej rozmowie” Vizzini, widzi się nadgryzioną przez czas posiadłość ziemską, a obok niej szereg odrapanych budynków, przypominających nieco familoki. Tu musiał mieszkać jakiś książę Salina, a tam rodzina dróżnika. Trzeba przyznać: ta druga perspektywa pozwala zrozumieć więcej z sycylijskiej przeszłości i teraźniejszości.

Wędrując przez wyspę, myśli się więc głównie o Vittorinim. Ludzi żywcem wyjętych z jego powieści widzi się →

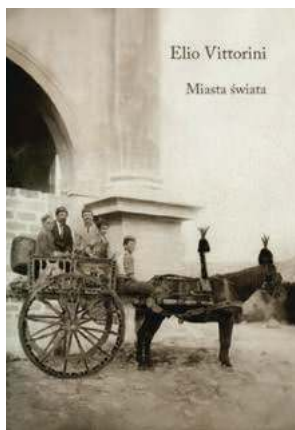
→ do dziś na każdym kroku. W głębokim interiorze, w takiej Ennie np., spotyka się mnóstwo zdeformowanych, nienaturalnie pogarbionych ludzi koło siedemdziesiątki. To ludzie, którzy jeszcze w latach 60. ubiegłego wieku jako dzieci – szczególnie cenione jako zdolne do wciśnięcia się w wąskie korytarze – pracowali w kopalniach siarki, pozamykanych dopiero w kolejnej dekadzie. O nich całe życie upominał się Vittorini.

W jego najbardziej realistycznych – i najsilniej komunizujących – książkach jest zawsze jakiś pierwiastek nadrealistyczny. „Erika” opowiada dzieje skrajnie ubogiej dorastającej dziewczyny, żyjącej w zrujnowanym wielkim mieście, pełnym i ludzi biednych, i bogatych (myśli się o Palermo), która, aby utrzymać dwójkę rodzeństwa, posuwa się do prostytucji. Powieść napisana jest w duchu drobiazgowego realizmu, przeważają opisy wręcz buchalteryjne – ile zostało nafty, ile zapalek, ile mąki, ile węgla – ale zarazem Vittorini wyczarowuje świat niemal baśniowy, przywołując motyw porzucania dzieci w lesie, ożywiając przedmioty, nadając podmiotowość samemu domowi. To rozdwojenie przenosi się i na Erikę – dziewczynka zarazem nic nie rozumie z otaczającej ją rzeczywistości fizycznej i społecznej, a zarazem rozumie wszystko. Nikt nie zna życia tak, jak ona.

W „Garibaldynce” (wydanej po polsku w jednym tomie z „Eriką”) Vittorini stosuje właściwie zabieg przeciwny. Przez nocną Sycylię pociągami jedzie młody żołnierz, spotykając starą arystokratkę. Wsiadają w Geli, po której snują się północy – on dźwiga jej walizki, ona gdzieś znika, potem wraca, ktoś się pojawia, ktoś coś mówi, żołnierz się gubi, czytelnik się gubi. Zza całej tej fanfaronady zaczyna jednak stopniowo wyglądać bardzo zwyczajny i bardzo konkretny dramat tytułowej Garibaldynki, wcale nie tak odległy od dramatu Eriki.

Śladami Hemingwaya

Powieść „Ludzie czy nie?” to przykład literatury zaangażowanej, trochę na wzór Sartre’a, ale lepiej się starzejącej. Opowiada o włoskim ruchu oporu pod koniec II wojny światowej w Mediolanie. To prosta powieść – Vittorini zresztą dosłownie wyraża w niej postulat „prostoty” w życiu i literaturze – ale zarazem autor zmusza w niej czytelnika do dołożenia jakichś in-



Elio Vittorini, **MIASTA ŚWIATA**,
przeł. Radosław Kłos, wyd. Austeria,
Kraków 2024

terpretacyjnych niuansów. Kalejdoskop niedopowiedzeń nie daje spokoju.

Książka złożona jest niemal wyłącznie z hemingwayowsko suchych dialogów (sam Vittorini był zresztą wielbicielem i tłumaczem Hemingwaya, a „Ludzie czy nie?” to w pewnym sensie „Komu bije dzwon” II wojny światowej), ale kryje się za nimi przestrzeń wołająca o wypełnienie. Po pierwsze, włoski ruch oporu opiera się tu nie tylko Niemcom, ale również i niektórym Włochom. Po drugie, granica między zobowiązaniem prywatnym a społecznym przebiega tu gdzie indziej, niż mogłoby się wydawać: posiadanie dzieci czy ukochanej osoby raczej prowadzi do podejmowania ryzyka niż do jego unikania. Po trzecie, do ruchu oporu kolejnych adeptów przyciągają raczej jego klęski niż triumfy. Po czwarte, jest w tej niezwyklej książce również figura pisarza, ujętego w partię pisane kursywą, który nieraz się zza głównego bohatera wynurza, a nieraz z nim stapia. Tyle tylko, że wbrew przyjętej konwencji, bohater jest kimś z krwi i kości, a pisarz postacią z kartonu: to postać stwarza pisarza, a nie odwrotnie.

Rozmowa z matką

Najsłynniejsza powieść Vittoriniego, „Sycylijska rozmowa”, to prawdziwa powieść drogi: bohater jedzie na Sycylię z Mediolanu pociągami. Przesiadka we Florencji, przesiadka w Rzymie, przesiadka w Neapolu, promem do Messyny, pociągami do Syrakuz, stamtąd pociągami do Vizzini, dalej autobusem, dalej pieszo. Wszystko po to, by spotkać się i porozmawiać z matką.

Rozmowa z nią też będzie zresztą miała po części charakter wędrówki – matka

wyrusza w obchód po wsi, by zrobić chorym zastrzyki. Cała ta powieść jest swego rodzaju obchodem wśród chorych, wędrówką po chorej krainie, po chorym kraju. Nic dziwnego, że odczytywano ją jako krytykę reżimu Mussoliniego, pisaną i publikowaną zresztą nie z bezpiecznej przyszłości, ale w samym środku trwania tego reżimu.

I ta książka łamie jednak znaną z literatury konwencję, a to za sprawą wieku bohatera (i autora w chwili pisania powieści). Wracający myślą i ciałem do krainy dzieciństwa człowiek jest bowiem bardzo młody, ma ledwie 30 lat. Matka, z której z trudem wydobywa wspomnienia, nie jest żadną staruszką, a kobietą 50-letnią. Nostalgia za przeszłością okazuje się więc w pewnym sensie nostalgią za teraźniejszością. To nie dawną idyllę tracimy – tracimy dzień dzisiejszy, chwilę obecną. Życie nam nie upłynęło – ono właśnie upływa. Dziś żyjemy w świecie, który powinien wyglądać zupełnie inaczej, który jak najszybciej trzeba zmienić.

Między ojcem i synem

Jest wreszcie i ostatnia powieść Vittoriniego, wyraźnie szkicowana jako *opus magnum*, lecz nigdy niedokończona. Na „Miasta świata” w Polsce musieliśmy czekać ponad 40 lat – tyle minęło od publikacji intrygujących fragmentów w „Literaturze na Świecie” do wydania książkowego. To w tej powieści najsilniej może w twórczości Vittoriniego do głosu dochodzi napięcie między realizmem a baśniowością, między lokalnością a uniwersalizmem.

Rzecz znów dzieje się na Sycylii – Vittorini drobiazgowo wylicza niezliczone tam miasta i miasteczka. Zarazem jednak są one Jerozolimą, Tebami czy Damaskiem – legendarnymi miastami ludzkości, miastami wielkiego świata, który jest gdzieś daleko, a jednocześnie tuż za rogiem. Fabuła jest jak najbardziej realistyczna – i niezwykle przyziemna – a zarazem ciąży ku bajkowości, ku metaforze. To nie ludzie wędrują przez Sycylię, to typy ludzkie wędrują przez świat.

Cała powieść sprowadza się bowiem do wędrówki. Na pierwszym planie są ojciec i syn, na drugim inny ojciec i inny syn, na kolejnym młodzi małżonkowie, na jeszcze dalszych szereg innych postaci: błąkających się, uciekających, snujących – tak czy inaczej, wędrownych.

Sycylia, przez którą wędrują, jest oczywiście biedna i pełna nierówności, ale zarazem jakoś sielankowa. Czytając „Miasta świata”, można zrozumieć, że to właśnie Sycylia wydała Teokryta. Ojciec i syn przeganiają owce, robią ricottę, sprzedają ją w barokowych miasteczkach. Życie jest trudne, człowiek jest biedny i cierpiący, ale pociesza go przyroda, wędrowka i spotkanie z drugim człowiekiem. Zwłaszcza to najważniejsze: między ojcem i synem – relacja pierwotna, najsilniejsza, najstarsza relacja świata.

W tym ostatnim temacie kryje się może rozwiązanie tajemnicy nieukończenia powieści. Vittorini pisał ją latami, publikował fragmentami, zarzucał, powracał, znowu zarzucał. Wiele pisano o rozczarowaniach tych ostatnich lat pisarza. Po interwencji sowieckiej w Budapeszcie Vittorini odsunął się od komunizmu. Stale też był niezadowolony z własnych osiągnięć, zawsze miał w technice pisarskiej jakieś opóźnienie – nim skończył pisać, uważał, że potrzeba jeszcze nowszych środków wyrazów.

Być może jednak najważniejsza była tu choroba i śmierć syna Vittoriniego, a później choroba i poczucie nadchodzącej śmierci jego samego. Syn i ojciec odchodzą. Ich dalsza wspólna wędrowka staje się niemożliwa. Nie da się o niej pisać. Opiewanie jej nie da już pocieszenia. A może gorycz skazi sposób, w jaki się ją przedstawi.

Credo Sycylijszka

Jest taki fragment w powieści „Ludzie czy nie?”, gdzie Vittorini wprost przedstawia swoje pisarskie *credo*. Mimo wszelkich rozczarowań i przemian, wydaje się, że jest ono wspólnym mianownikiem całej twórczości sycylijskiego pisarza. „Interesować się ludźmi i ich sprawami, przyglądać się im ze wszystkich stron, rozmawiać z nimi o wszystkim, co robią lub zamierzają zrobić, o ich walkach i klęskach; szukać przyczyn tego, co robią, ale równocześnie pomagać im”, pisze Vittorini. „Tkwić w środku życia i równocześnie je obserwować”.

Fascynujące jest to, że Elio Vittorini robił to właściwie w każdej swojej powieści, ale w każdej z nich robił to do pewnego stopnia inaczej.

© MACIEJ MIŁKOWSKI

Zmienny kanon

PIOTR KOSIEWSKI

Muzeum Sztuki Nowoczesnej to dziś jedyne miejsce w Warszawie, w którym można zobaczyć twórczość powstałą od lat 60. ubiegłego stulecia, i jedyne w kraju, które prezentuje dzieła polskich artystek i artystów w międzynarodowym kontekście.

→

Tau Lewis, Angelus Mortem, 2021 r.



ALICJA SZULC / MATERIAŁY PRASOWE MSN

→ **N**OWY GMACH MUZEUM SZTUKI NOWOCESNEJ w Warszawie wywołał ogromną dyskusję, najgłośniejszy spór estetyczny w Polsce w ostatnich latach. Projekt Thomasa Phifera stał się tematem ogólnonarodowej debaty. Zanim muzeum zaczęło prowadzić regularną działalność ekspozycyjną, gmach odwiedziło ponad 300 tys. osób. Niebawem jest to zainteresowanie budynkiem, któremu jednocześnie zarzuca się nieatrakcyjność, a nawet brzydotę.

Otwarta tu wreszcie „Wystawa niestała” jest największym wydarzeniem 2025 r. Pozwala po raz pierwszy zobaczyć obszerny wybór kolekcji stworzonej przez dwie dekady istnienia Muzeum, ponad 150 dzieł z różnych kontynentów, kręgów kulturowych i odwołujących się do rozmaitych tradycji. Od Marii Jaremy (rocznik 1908), po Kanadyjkę Tau Lewis (1993) i ukraińskiego malarza Wasyla Tkaczenkę (1995). Większość prac pochodzi z własnej, systematycznie tworzonej od lat i liczącej dziś ponad 2 tys. prac kolekcji. Dodatkowo wypożyczono dzieła pochodzące z polskich i zagranicznych zbiorów publicznych oraz prywatnych.

Sztuka bez zakłóceń

Znacząca część dzieł została zakupiona dzięki środkom MKiDN z powołanego w 2011 r. programu „Narodowe kolekcje sztuki współczesnej”. Po raz pierwszy w historii nasze państwo stworzyło możliwość systemowych zakupów nie tylko twórczości powstającej w Polsce. Nasze zbiory publiczne są bowiem, poza kolekcjami sztuki dawnej, bardzo polonocentryczne. Program, mimo rozmaitych perturbacji za czasów rządów Zjednoczonej Prawicy, nadal działa – w 2025 r. przeznaczono na niego 14 mln zł.

Muzeum Sztuki Nowoczesnej to dziś jedyne miejsce w Warszawie, w którym można zobaczyć twórczość powstałą od lat 60. ubiegłego stulecia. Po zniszczeniu przez nominata Piotra Glińskiego stałej ekspozycji Muzeum Sztuki w Łodzi MSN jest jedyną w kraju placówką, która obszernie prezentuje dzieła polskich artystek i artystów w międzynarodowym kontekście. Otwarcie „Wystawy niestałej” wymusza pytanie o funkcje muzeów, zwłaszcza sztuki współczesnej. Jednym z podstawowych ich zadań jest gromadzenie oraz przechowywanie dzieł sztuki, ale także ich prezentacja. Poprzez swe wy-

bory tworzą kanon i ustalają hierarchie artystyczne. Piszą historię sztuki.

Dyrektorka MSN Joanna Mytkowska w tekście zamieszczonym w przewodniku po wystawie podkreśla, że muzeum myślało o kanonie w sposób odmienny, niż zwykło się przyjmować. „Wystawa niestała”, co podkreśla jej tytuł, jest ucieczką od prezentowania zbiorów jako ustalonego zestawu dzieł. Trwającego przez lata, niemalże niezmiennego, do czego przyzwyczyli nas tradycyjne muzea. Nawet w tych poświęconych sztuce nowoczesnej, jak w paryskim Centre Pompidou czy Tate Modern w Londynie, pokazy kolekcji trwają przez kilka lat. Tymczasem w Warszawie szybko mają się one zmieniać – obecny trwa jedynie do jesieni tego roku. To bardzo istotne zastrzeżenie, bo „Wystawa niestała” nie ma ambicji objęcia całości, nawet polskiej sztuki powstającej od lat 50. ubiegłego stulecia. Zabrakło na niej chociażby prac

Alina Szapocznikow, *Przyjaźń*, 1954 r.



MAJA WIRKUS / MATERIAŁY PRASOWE MSN

Pawła Althamera, Katarzyny Kozyry czy Joanny Rajkowskiej, by wspomnieć tylko tworzących po 1989 r.

Jednocześnie wystawa pozwala zobaczyć możliwości, jakie daje gmach muzeum. Przypomina, że muzealna architektura nie ma służyć wystawianiu siebie, tylko sztuki. MSN ma teraz doskonałe warunki do prezentacji zarówno wielkoskalowych obiektów, jak niesamowita „Fasada” (2013) Moniki Sosnowskiej, jak i bardzo drobnych, delikatnych dzieł, jak monotypie Marii Jaremy. Dziś żadne z polskich muzeów poświęconych sztuce współczesnej nie posiada wewnątrz wystawienniczych dających takie możliwości.

Nic tu z dziełami zgromadzonymi w muzeum nie konkuruje: ani wymyślna artykulacja ścian, ani fantazyjne okna. Nic nie sprawia, że widz jest zagubiony w budynku, co jest udręką rzymskiego MAXXI autorstwa Zahy Hadid czy też zaprojektowanych przez Franka Gehry’ego Fondation Louis Vuitton w Paryżu i ikonicznego już Guggenheim Museum w Bilbao. Mowa o budynkach, które bywają wymieniane jako pozytywne przykłady dla „nieudanego” gmachu MSN-u. Na szczęście dla sztuki nie poszliśmy tą ścieżką.

Światy lepsze, światy gorsze

Tłem prac artystów odwołujących się do kultury masowej stały się wielkie szyldy reklamowe na fasadzie domów towarowych po drugiej stronie ul. Marszałkowskiej. Lustrzanym odbiciem Pałacu Kultury jest zaś obraz Wojciecha Fangora namalowany dwa lata przed oddaniem budynku do użytkowania. Żółta sylweta Pałacu niczym pocisk spadający z nieba wbija się w chodnik, jakby malarz, twórca jednych z najważniejszych dzieł polskiego socrealizmu, chciał pokazać, jak dar ZSRS radykalnie zmienia krajobraz miasta.

Z PKiN związane jest również inne dzieło pokazane na wystawie: „Przyjaźń” Aliny Szapocznikow z 1954 r. Do 1992 r. stała w jego holu. Potem zdecydowano się ją usunąć. Przez lata była zaginiona, by wreszcie trafić jako depozyt do MSN-u. Jednak rzeźba została nieodwracalnie uszkodzona. Robotnika i żołnierza, uosabiających „braterskie” narody polski i sowiecki, pozbawiono rąk oraz sztabdaru, który w nich dzierżyli. Teraz kaleka rzeźba przypomina los idei, które stały za jej powstaniem.



MAJA WIRKUS / MATERIAŁY PRASOWE MSN

Sandra Mujinga, *Znikania*, 2019 r.

Osoby przygotowujące „Wystawę niestałą” odwołały się do historycznych pojęć, jak socrealizm, pop-art czy abstrakcja i autonomia sztuki, pytając, co one dziś znaczą oraz czy dziś mogą być aktualne. Za pomocą dzieł historycznych i współcześnie powstałych stworzono cztery równoległe opowieści. Pierwsza dotyczy sztuki zaangażowanej politycznie i społecznie, wizji przyszłości i obietnicy zbudowania przy pomocy sztuki lepszego świata. Drugą poświęcono fascynacji kulturą popularną, reklamą i projektowaniem. Trzecia dotyczy wyobraźni, odwoływania się do sztuki rdzennej, naiwnej, ludowej.

Ostatnia opowieść dotyczy granic i ograniczeń sztuki, jej autonomii i niezależności, ale w szczególnych okolicznościach: wojny, Zagłady, rozpadu i destrukcji świata. W MSN-ie znalazł się projekt pomnika poświęconego ofiarom Auschwitz-Birkenau, przygotowany przez zespół pod kierownictwem Oskara Hansena na konkurs rozpisany w 1957 r. Zaproponował on upamiętnienie wyłamujące się z obowiązujących do tego czasu konwencji. Pomnik nie będący bryłą, lecz elementem krajobrazu: jego zasadniczym elementem miała być droga asfaltowa, ukośnie przecinająca terytorium obozu. To, co znalazło się w jej obrębie, wszelkie pozostałości budynków, miało zostać utrwalone. Reszta zaś zostawałaby wydana na destrukcyjne działanie czasu.



MARTA EISMONT / MATERIAŁY PRASOWE MSN

Daniel Rycharski, *Strachy*, 2018-19 r.

Projekt nie został zrealizowany, jednak stał się istotnym punktem odniesienia dla kolejnych upamiętnień Holocaustu.

Marzenia o nowych, lepszych światach, polityczne zaangażowanie artystek i artystów, twórczość powstająca w reakcji na traumę to tylko kilka z wątków poruszonych na wystawie. Są tu też prace odnoszące się do relacji człowieka z naturą czy do wierzeń, religii. Łączy je jedno: prowokują do postawienia pytania o rolę sztuki, ale też muzeów jej poświęconych.

Krzysztof Pomian w publikacji towarzyszącej ekspozycji MSN-u pisze o szczególnej roli dzieł sztuki, zwłaszcza wybitnych, nowatorskich. Ujawniają różnice wrażliwości, perspektyw i poglądów, nie

tylko ożywiają więzi społeczne, ale też przeciwdziałają „znudzeniu prozaicznością, by nie powiedzieć miałością demokratycznego życia politycznego i przyczyniają się przeto do uczestnictwa w nim, a tym samym – do regenerowania demokracji”. I to muzea są przestrzenią, która umożliwia ich publiczną obecność. Dlatego dziś ich rola staje się szczególnie istotna.

© PIOTR KOSIEWSKI

WYSTAWA NIESTAŁA. 4 × KOLEKCJA

Muzeum Sztuki Nowoczesnej, Warszawa, wystawa czynna do 5 października br., kuratorzy: Sebastian Cichocki, Tomasz Fudala, Magda Lipska, Szymon Maliborski, Łukasz Ronduda i Natalia Sielewicz

Zamek siwobrodego

ANITA PIOTROWSKA

Irańskie „Nasienie świętej figi” to film, którego historia powstania jest nie mniej sensacyjna od tej opowiedzianej w scenariuszu.



TATO DOSTAŁ AWANS. WRESZCIE BĘDZIE MOŻNA POŻYCZ INACZEJ – PRZEPROWADZIĆ SIĘ DO WIĘKSZEGO MIESZKANIA W LEPSZEJ DZIELNICY, KUPIĆ ZMYWARKE... Dlaczego więc banalnie brzmiąca historia rodzinna zaczyna się ni to informacją, ni to przypowieścią o drzewie z gatunku *Ficus religiosa*? Dlaczego ojciec, chociaż dalej będzie pracował za biurkiem, dostaje do ręki broń? Rzecz dzieje się we współczesnym Iranie, a przed nami gesta od znaczeń i emocji historia o tym, jak „podstawowa komórka społeczna” zostaje zniszczona od środka przez autorytarny system, stając się zarazem małym laboratorium tego systemu. I o tym, że cała nadzieja w młodych, szczególnie w kobietach – i czasem lepiej nie marzyć o zmywarce.

Mohammad Rasoulof, twórca filmu „Nasienie świętej figi”, od dawna interesuje się sytuacjami, w których zwyczajny, całkiem porządny człowiek musi wywiązać się ze służbowych obowiązków i wykonać jakąś brudną robotę. Na przykład wyrok śmierci na niewinnej osobie, najczęściej bardzo młodej, potem zaś, jak gdyby nigdy nic, zasiąść do stołu w towarzystwie żony i nastoletnich córek. Po-

dobne historie opowiadał w swoich poprzednich filmach, zwłaszcza w „Zło nie istnieje”, gdzie jedna z nowel była punktem wyjścia dla tej historii. Tym razem nie ogranicza się do kondycji psychicznej samego egzekutora. Bo nie mniej frapujące jest to, jak reagują najbliższe osoby, kiedy odkrywają, czym się zajmuje troszczący się o rodzinę mąż i tato.

Tak powstał film o cenie, jaką płaci się za życiowy komfort, w tym przypadku niebezpiecznie bliski konformizmowi i wszelako rozumianej korupcji. Iman (w tej roli Missagh Zareh), jeśli nawet zdusiłby w sobie wątpliwości natury moralnej, nigdy nie opanuje lęku, jaki towarzyszy mu, odkąd objął posadę sędziego śledczego. Dla Najmeh (Soheila Golestani) mężowski awans oznacza lepsze warunki życia, ale i nowe porządki w domu, który odtąd staje się złotą klatką, i kobieta podporządkuje się temu całkowicie. Co innego dziewczyny, zwłaszcza starsza z córek, Rezvan (Mahsa Rostami), którym ojciec przykręca teraz śrubę. Na ulicach Teheranu wrze, więzienia wypełniają się demonstrantami, a w mediach społecznościowych publikowane są nazwiska i adresy reżymowych oprawców. Jakby mało było jeszcze tego napięcia, Rasoulof sięga po czechowowski chwyt: pewnego dnia ginie służbowy pistolet Imana. Uruchamia to w nim istną paranoję podejrzliwości, wymierzoną w tych, których podobno najbardziej kocha.

Właściwie przez cały czas trzymamy jesteśmy na muszce – w gabinetach urzędników, w pokojach przesłuchań, na ko-

rytarzach Islamskiego Sądu Rewolucyjnego, gdzie osaczają naturalnych rozmiarów tekturowe sylwety irańskich bohaterów, przede wszystkim jednak w domowym kręgu. Piekło, jakie zgotował bohaterom twarogłowy Iman (imię raczej nieprzypadkowe), dlatego jest tak dotkliwie, że kładzie na szali wszystko, co dla nich najcenniejsze – przede wszystkim wzajemne zaufanie. W narastającej atmosferze terroru opada maska rodzinnej troski, a zło wyzwolone przez ambicję, obsesję i lęki przybiera postać niemal demoniczną. Sprawia to, że pod koniec oglądamy już zupełnie inny film, także gatunkowo, biorący w nawias zasady konwencjonalnego realizmu.

Rasoulof na pomysł filmu wpadł podczas odsiadki jednego z wyroków, niedługo potem musiał wyjechać z kraju. Podobnie jak Jafar Panahi („Niedźwiedzie nie istnieją”) czy Maryam Moghaddam i Behtash Sanaeieha („Moje ulubione ciasto”) w ojczyźnie znajduje się na czarnej liście opozycyjnych filmowców, którzy za to doceniani są na europejskich festiwalach, nie tylko za samą odwagę. On również wie, jak obejść zakaz pracy w Iranie. Swoją najnowszą filmę reżyserował zdalnie, zdjęcia kręcone były tajnie, za niewielkie, głównie francuskie i niemieckie pieniądze, z minimalnym składem ekipy i obsady, tanim sprzętem dla niepoznaki.

Scenariusz pisał Rasoulof w atmosferze protestów wywołanych śmiercią Mahsy Amini, młodej Kurdyjki aresztowanej w Teheranie pod zarzutem nie-

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Śluchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE M2 FILMS

NASINIE ŚWIĘTEJ FIGI

(„*The Seed of the Sacred Fig*”)
– reż. Mohammad Rasoulof.
Prod. Niemcy/
/Francja/Iran 2024.
Dystryb. M2 Films.
W kinach.

Mohammad Rasoulof jest niezależnym filmowcem irańskim, znanym z takich tytułów, jak „*Rękopisy nie płoną*” (2013), „*Uczciwy człowiek*” (2017) czy „*Zło nie istnieje*” (2020). Prześladowany i więziony przez teherański reżym, obecnie mieszka i pracuje w Europie. Jego „*Nasienie świętej figi*” otrzymało nagrody w Cannes i było w tym roku nominowane do Oscara jako film niemiecki.

Na zdjęciu: kadr z filmu „*Nasienie świętej figi*”

właściwego noszenia hidżabu i zmarłej w następstwie brutalnego przesłuchania. Dlatego reżyser wplata w fabularną tkanę filmu autentyczne, kręcone smartfonami nagrania z teherańskich ulic. Coś, co wynikało z realizacyjnej konieczności, wzbogaciło „*Nasienie*” o kolejną warstwę, umieszczając kameralną i silnie zmetaforyzowaną historię na paradokmentalnym wręcz tle (podobnie jak „*Baraye*”, przywołany w filmie hymn irańskich demonstrantów z 2022 roku). Materiał zdjęciowy przeszmuglowano potem do Europy i tam sfinalizowano produkcję. Nic dziwnego, że po tym, jak stworzone w konspiracji dzieło więźnia politycznego i uchodźcy trafiło do głównego konkursu festiwalu w Cannes, wiele osób zaangażowanych w realizację filmu też musiało uciekać z kraju.

Te okoliczności miały wpływ na ostateczny kształt „*Nasienia świętej figi*”. Montażysta Andrew Bird, znany między innymi z wieloletniej i bardzo owocnej współpracy z Fatihem Akinem („*Głowę w mur*”, „*W ułamku sekundy*”), tak podkreślił dynamikę, że trudno chwilami, zwłaszcza w drugiej połowie, złapać oddech. Prawie trzygodzinny thriller psychologiczny zamienia się w regularne kino akcji – tyle że stawka „kto ten pojedynek wygra” albo „kto przeżyje” ma tutaj zupełnie inny ciężar niż w wielu popularnych akcyjniakach. Z poziomu rodzinnego dramatu gładko przechodzimy na poziom ostrego manifestu politycznego, w którym z czasem coraz mniej istotny staje się wewnętrzny profil kata, portrety i dylematy jego najbliższych czy nawet życiowe prawdopodobieństwo (w nie wszystkie przemiany bohaterów i zwroty akcji łatwo uwierzyć).

Bowiem tak naprawdę „*Nasienie*” jest przypowieścią o pokoleniowej zmianie, jaka następuje z wolna w kraju siwobrodych – choć w tym kontekście chciałoby się powiedzieć: sinobrodych – ajatollahów. A że mamy do czynienia z populacją bardzo młodą, sfrustrowaną ekonomicznym kryzysem i politycznym zamordyzmem, za to potrafiącą łamać blokady informacyjne, z coraz bardziej słyszalnym głosem kobiet czy niepokornych filmowców, to finał, tytuł oraz energia tego filmu mają w sobie potencjał iście rewolucyjny. ©

Lektor: Śmierć na wygnaniu



■ George Prochnik
NIEMOŻLIWE WYGNANIE. KONIEC ŚWIATA
I STEFAN ZWEIG

Przeł. Jarosław Mikos.
Fundacja Terytoria Książki,
Gdańsk 2024, ss. 334

CZY NADCHODZI KONIEC NASZEGO ŚWIATA? WIELE ZNAKÓW zdaje się na to wskazywać, choć udajemy, że ich nie dostrzegamy. „Ludzkość, zawsze ten sam błąd, całkowity brak wyobraźni” – zanotował jesienią ’39 Stefan Zweig w dzienniku. Może historia tego pisarza, a zwłaszcza jego ostatnich lat, jest właściwą lekturą na te czasy.

Urodzony w 1881 r. w Wiedniu, w zamożnej rodzinie żydowskiej, był prawdziwym człowiekiem sukcesu. Świetne nowele psychologiczne (pisane nie bez wpływu jego przyjaciela Freuda) i biografie (m.in. Erazma z Rotterdamu, Marii Stuart i Marii Antoniny) przyniosły mu sławę i liczne przekłady. W 1934 r. wyjechał z Austrii do Wielkiej Brytanii, stamtąd, już po wybuchu wojny, przeniósł się do USA, a potem w 1941 r. do Brazylii. 22 lutego 1942 w Petrópolis wraz z żoną Lotte popełnił samobójstwo.

Przyczyną nie były ani kłopoty materialne (to on zawsze służył pomocą innym), ani poczucie obcości – Brazylia przyjęła go serdecznie, a Rio zachwyciło, nowemu krajowi zdążył zresztą poświęcić książkę – ale brak nadziei i depresja wywołana poczuciem, że jego duchowa ojczyzna, Europa, przestała istnieć, i że nie ma już miejsca, które mógłby nazwać swoim. Przemawiając wcześniej podczas kolacji wydanej z okazji nowojorskiego zebrania PEN Clubu, przyznał, że choć przez nazistów nie jest już uważany za Niemca, odczuwa „skryty i dręczący wstyd”, że pisze i myśli w tym samym co oni języku; nawet i to schronienie zostało skażone. Swoje najpiękniejsze chyba dzieło, autobiograficzny „Świat wczorajszy”, portret liberalnego Wiednia u schyłku cesarstwa, ukończył tuż przed samobójczą decyzją.

Prochnik – Amerykanin, którego przodkowie też byli austriackimi Żydami – analizuje przypadek Zweiga nie bez nuty osobistej, kończy zresztą opisem wizyty w Wiedniu i w kamienicy, w której mieszkał jego ojciec. Próbuje – nie bezkrytycznie – stworzyć portret psychologiczny swojego bohatera, wczuwa się w poczucie przegranej internacjonalisty i Żyda-wędrowca, który pomysł stworzenia państwa żydowskiego uważał za mrzonkę. Z twórcą syjonizmu Theodorem Herzlem Zweig był zresztą zaprzyjaźniony i zawdzięczał mu swój debiut prasowy. Tym, którzy dziś zonglują terminem „syjonizm” w duchu publicystów czasu Marca ’68 i z równą im kompetencją, także polecam tę lekturę. Także – bo przecież nie tylko im... ©®

PAWEŁ

Bravo

Winem i soją

JEDNA TRZECIA SOI, KTÓRĄ ZUŻYWAMY W EUROPIE, PRZYPŁYWA Z USA. Kraj zainteresowanych tą wiadomością winien być szerszy niż miłośnicy sojowego latte – skądinąd coraz mniej liczni, ale nie dlatego, że Polacy oduczyli się psucia kawy. Skądże! W odruchu infantylnego powrotu do obrazów z przedszkola, gdzie co rano parowała mdła jak mit niewinnego dzieciństwa mleczna zupa, dalej zamawiamy masowo te różne pieniste mieszaniny. Nawet pod wieczór. Ale w Polsce wykorzystujemy inne, podobno lepsze roślinne zamiastki mleka, głównie z owsa. Toteż gdyby przy Radzie Języka Polskiego istniała podkomisja ds. normalizacji stereotypów, powinna zadekretować, że wielkomiejska, oderwana od ludu lewica jest owsiana, a nie sojowa. Tyle tylko, że owies brzmi zbyt swojsko jak na stereotyp wyobcowania.

W takim razie może migdałowa? Próżne gadanie, nawet gdyby taka komisja się pojawiła, rozdrabniając na mentalną kaszkę racje semantyczne każdej obelgi, sam bym pierwszy kontestował jej dekrety. Bo polszczyzna to moja najważniejsza spośród kobiet, a te, jak wiadomo prawdziwym facetom, są nielogiczne. Wróćmy więc do liczb i logicznych tabel, bo dawno was nie zanudzałem statystykami rynku spożywczego. Porozmawiajmy o tym, co amerykańskiego ląduje w naszej kuchni. Cena i dostępność soi dotyczy każdego, kto lubi zjeść kawałek świnki albo kurze udko, ugotować jajko i popić kefirem. Bez niej hodowla wszelkiego zwierzęcia zwinęłaby się szybciej niż amerykański paraskop atomowy.

Na cła, którymi grozi Waszyngton, trzeba będzie odpowiedzieć analogicznymi taryfami. Soi może nie zdołamy zastrzymać, jest zbyt ważna, ale przecież bez migdałów chyba sobie poradzimy: owsa na mleko nam nie zabraknie, a do mazurków damy orzechy laskowe. Podobnie fistaszki oraz bataty albo ostry sos *sriracha*. Z entuzjazmem bym powitał zaporowe cło albo wręcz embargo na ohydnie nijakie śliwki kalifornijskie, które wyparły nasze.

Porządne śliwki ostały się na rynku tylko w wersji wędzonej do kompotu na wigilię, bo rytuał broni się dłużej. Na Kleparzu jeszcze spotykam ostat-



WEADYSŁAW CZULAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

nie śliwki z Łącka, także niewędzone, zwane elektrycznymi od rodzaju dmuchawy. Łzy mi lęczą z żalu, kiedy je kupuję.

Win kalifornijskich trochę może szkoda, ale warto uwagi (i spalania ropy w transporcie) są tylko te naprawdę drogie, wąziutka nisza – a za to bylejakie dżemowaty zinfandel to my w Europie mamy własny, nazywa się *primitivo*, to ten sam szczep, a winiarze z Apulii nauczyli się od Amerykanów, jak robić, żeby było smaczniejsze. Nazwa szczepu odwołuje się do jego dawności (podobnie jak u subtelnych „prymitywów” flamandzkich). Niestety smak prowadzi nasze skojarzenia w stronę tępoty.

W drugą stronę Europa wysyła mnóstwo wina, z różnych półek jakościowych. Gdyby groźby ceł miały się ziścić, to na przykład Włosi oceniają, że kosztowałoby ich to nawet miliard euro utraconych przychodów rocznie: to nie tylko bezpośrednie skutki niemożliwości wysyłki za ocean, ale też problem z eksportem do ważnych krajów europejskich, które będą miały podobny kłopot z nadmiarem własnego wina. Co Polaka, a w każdym razie połowę Polaka w mojej osobie, tylko cieszy, bo może będzie w tym sezonie nieco taniej, skoro Włosi spróbują się u nas pozbyć dodatkowego amarone, a Niemcy grzecznie poproszą, byśmy pili więcej rieslinga.

Takie pociechy i nadzieje, chudziutki jak wiewiórka na świerku u sąsiadów po zimie, zostały nam w dobie kolosalnej zmiany kulturowej na tle awersji do alkoholu. W ostatnich dniach prezydentury Bidena ówczesny naczelny lekarz kraju ogłosił, że trzeba drukować na butelkach ostrzeżenia znane z papierosów: każda ilość alkoholu jest rakotwórcza. Nowy prezydent to abstynent, jego minister jest równie gorliwy w czy-



GRAZYNA MAKARA



stości, więc może ten pomysł „głupiego poprzednika” zostanie wdrożony. I lobbystom będzie ciężko całkiem go utopić. Po prostu obyczaj, style rozrywki i konsumpcji młodych pokoleń idą z duchem tej regulacji. A już z winem jest zupełny dramat. Jak to się mówi w marketingu, cierpi ono na *old people problem* – problem starych ludzi: kojarzy się staroświecko, drętwo, a teraz jeszcze niezdrowo.

A przecież człowiek pochodzi od wina. Pisze tak najlepszy – jeśli nie w ogóle jedyny – poeta wśród polskich winiarzy Krzysztof Fedorowicz, znany wielu z was jako ten, który pod szyldem winnicy Miłosz tworzy wina czasem natchnione, jak „pandemiczna” seria, powstała za czasów covidu i tak dobrze przyjęta, że nazwa została na dłużej. W jego nowym tomie „Zimowe cięcie winorośli”, wydanym w – jakżeby inaczej – Zielonej Górze, prace i dnie toczą się z uważnością człowieka wychodzącego wprost z książek na pole, które jest miejscem trudu, a nie tylko przechadzki. W pozbawionym jeszcze liści krzewie Fedorowicz widzi siedmioramienny świecznik, a w swojej winnicy „stado delfinów / które wciąż wzbija się nad lustro / Morza Czarnego”, bo niedaleka wojna wdiera się w tym tomie między rzędy na lubuskim wzgórzu równie podstępnie jak śmierć objęta zwyczajnym cyklem natury.

Jest w czynieniu wina wszystko, co pozwala podnieść wspólne bytowanie Krzysztofa – a także nasze, kiedy korzystamy z jego wierszy i butelek – na piętro metafizyki, która staje się roboczą hipotezą organizującą nam niezrozumiały, dziki świat. Poetom jeszcze długo na pewno nie zabraknie słów. Kto wie, co będzie z winem. Ale czy nie macie wrażenia, że sami powoli zaczynamy być jednym wielkim *old people problem*?

WALKA winiarzy z przymrozkami, winnica łąz k. Zielonej Góry, kwiecień 2024 r. Europa wysyła do USA mnóstwo wina. Włochów cła kosztowałyby nawet miliard euro utraconych przychodów rocznie. W dodatku wg marketingowców wino cierpi na *old people problem* – kojarzy się staroświecko, drętwo, a teraz jeszcze niezdrowo.

Gattò sardyńskie

Migdały służą mi przede wszystkim do wszechstronnej masy do tarty frangipane, której poświęcał mi tu wiele razy uwagę. Pisał mi też, że można w niej zastąpić mękę migdałową drobno zmielonymi orzechami laskowymi – w razie nagłych skoków cenowych wywołanych clami. A dopóki jeszcze migdały da się kupić bez zastawiania w lombardzie zegarka, zrobimy chrupiący deser



Zapisz się na newsletter
– co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

z Sardynii, którego nazwa pochodzi od francuskiego słowa „gâteau”, czyli po prostu ciasto (identycznie nazywa się też kompletnie inna potrawa w Neapolu).

SKŁADNIKI:
300 g migdałów w płatkach
400 g cukru ■ sok i skórka otarta z 1 dużej cytryny ■ opcjonalnie imbir

Płatki migdałowe prażymy w piecu w 120 st. C lub na suchej patelni, ostrożnie, tak żeby lekko się zrumieniły. W garnku z grubym dnem pomalutku topimy cukier z sokiem. Kiedy zacznie się karmelizować, dosypujemy płatki migdałowe i skórkę (i troszkę imbiru), delikatnie krótko mieszamy, aż powstanie zwarta masa, uważając, żeby nie przypalić. Przelewamy ją szybko na zimną (to ważne!) blachę, pokrytą papierem do pieczenia nasmarowanym olejem, staramy się rozsmarować na płaski placek. Przykrywamy drugim arkuszem natuszczanego papieru i wałkujemy, aż osiągniemy placek o ok. 0,5 cm grubości. Szybko, zanim stężeje, kroimy mokrym nożem na kwadraty. © P

ŚWIĘTO SENSU

To miała być wyprawa na mecz najlepszej ligi świata. Miałem zobaczyć klub, któremu kibicuję całe życie, w starciu z wyznaczającym dotąd standardy współczesnego futbolu Manchesterem City Guardioli i Haalanda. Ale odkryłem, że życie jest gdzie indziej.

MICHAŁ OKOŃSKI Z LONDYNU

NAPRAWDĘ NIE ZMYŚLAM: W POCIĄGU LONDYŃSKIEJ KOLEI podmiejskiej, wypełnionym o tej porze niemal wyłącznie fanami futbolu, zobaczyłem młodego mężczyznę czytającego „Człowieka w poszukiwaniu sensu”. Jeśli, jak ja i większość współpasażerów, udawał się na mecz Tottenhamu, nie mógł wziąć na drogę lepszej lektury. Chcecie wiedzieć, dlaczego?

Dziesięć tysięcy pint na minutę

Z wysokości trybun supernowoczesnego Tottenham Hotspur Stadium widać dużo więcej niż w telewizji. Zgoda: nie ma powtórek i zbliżeń na twarze zawodników. Kiedy sędzia z powodu zagrania ręką nie uznaje drugiej bramki Erlinga Haalanda, a decyzję weryfikuje asystent wideo, przez dobrych kilka minut nie wiadomo, co się naprawdę wydarzyło i czy analizowanie tej sytuacji faktycznie musi trwać aż tak długo. Szalejący przy linii bocznej trener Manchesteru City Pep Guardiola przypomina z tej odległości piłeczkę, odbijającą się chaotycznie o przeszkłone ściany boksu do squasha, a co do znieruchomiłego szkoleniowca Tottenhamu Ange’a Postecoglou z kolei – długo nie jest jasne, czy to naprawdę on, czy może jego kartonowa podobizna. I pytanie tylko, co można przy jej pomocy zareklamować, bo chyba jednak nie przepis na wygrywanie.

Słowo „zareklamować” jest tu nie od rzeczy, bo z wysokości trybun widać głównie to, że ten stadion służy do zarabiania pieniędzy – i że owo zarabianie odbywa się na nim z porażającą sprawnością. Mistrzostwami i pucharami wprowadzie Tottenham od lat nie może się pochwalić, ale za to szczyty się aż dwupiętrowym supermarketem z pamiątkami. Oraz najdłuższym w świecie piłki, bo ciągnącym się wzdłuż całej linii końcowej boiska, 65-metrowym barem, przy którym można napęlić ponoć 10 tysięcy pint na minutę. Rozliczne inne stoiska spożywcze, budki służące dystrybucji gadżetów i programów meczowych... w sumie działa tu 878 punktów sprzedaży bezgotówkowej. Czy mam jeszcze dodawać, że choć forma koreańskiego kapitana drużyny Heung Min Sona nie może się ostatnio ustabilizować, to i tak klub przedłużył z nim kontrakt, bo azjatyccy turyści zwiększają sprzedaż koszulek z jego nazwiskiem na plecach do blisko tysiąca w dniu meczu?

Powiedzieć w tym kontekście, że dominujący nad jedną z najbardziej zaniedbanych dzielnic Londynu stadion wygląda jak statek przybyszów z obcej planety, to nic nie powiedzieć – i lepiej chyba w tym miejscu postawić kropkę, zanim zacznie się komplikować obraz, przypominając, ile dzięki tej inwestycji powstało miejsc pracy i o ile bezpieczniej można się czuć w okolicy w porównaniu np. z poprzednią dekadą. Bo choć można skwitować całą tę historię frazą o niegodziwości świata, w którym bezwzględni kapitaliści monetyzują ślepą miłość kibiców, to może lepiej zobaczyć ich nie jako przybyszów z obcej planety, ale jako przyplływających na imponującej karaweli konkwi-stadorów. Owszem, niszczących kulturę, do której przybyli, ale również oferujących coś w zamian.



LINNEA RHEBORG / GETTY IMAGES

Najbardziej hipsterski klub w mieście

Nie wiem, co widać z wysokości trybun mającego już swoje lata Champion Hill, bo w ogóle nie musiałem na nie wchodzić: ćwierćfinał przeznaczonego dla drużyn nieprofesjonalnych London Senior Cup, między Dulwich Hamlet a młodzieżówką Charlton Athletic, oglądałem stojąc metr od linii bocznej. W pociągu, który mnie przywiózł na pobliską stację, nikt nie oddawał się filozoficznym lekturom, a jeśli fani futbolu rozpoznawali we współpasażerach piłkarzy, których za kilkadziesiąt minut mieli dopingować, szanowali ich prywatność: wszystko wydawało się równie proste jak komunikat stadionowego spikera, że tego wieczora przybyło tu 556 kibiców i 7 psów (był środek tygodnia – w weekendy frekwencja wzrasta do kilku tysięcy). Może tylko to jedno powinieniem był wcześniej wiedzieć – że po deszczu w trosce o stan obuwia lepiej omijać alejki pobliskiego parku, a zamiast tego przeciąć parking supermarketu i skrócić sobie drogę przez myjnię samochodową.

Podobnie jak w północnym Londynie, tu na południu mecz również odbywa się przy sztucznym oświetleniu, ale jedynymi kamerami, które zostaną włączone na czas spotkania, będą te, z których zapis posłuży później trenerom jako materiał szkoleniowy. „Dulwich Hamlet nie będzie transmitowany przez telewizję” – głosi dumnie graffiti przy toaletach; baner za jedną z bramek apeluje o niekupowanie tabloidu „The Sun”, a inny potępia pasożytujące na współczesnym futbolu mroczne zjawisko bukmacherki. Fanów Dulwich Hamlet nie bez racji nazywa się najbardziej hipsterskimi w mieście.

Miejscowa drużyna występuje na siódmym poziomie rozgrywkowym, a w zarządzie klubu zasiadają przedstawiciele kibiców. Tylko część zawodników otrzymuje jakieś minimalne startowe, większość pracuje w swoich zawodach, a czasem drużynę wspierają juniorzy wypożyczeni z silniejszych klubów. Co w świecie futbolu na tym poziomie nieoczywiste,

ale co w Dulwich z dumą się podkreśla – w piłkę grają tu zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Publiczność także jest zróżnicowana: różowo-czarne szaliki nabyte w otwieranym na kilkadziesiąt minut przed meczem baraczką (przynajmy: to również punkt sprzedaży bezgotówkowej...) noszą i ci, którzy wspierają Dulwich od dekad, i ci, którzy do gentryfikującej się okolicy przybyli niedawno: młodszy i pozbawieni rzekomo typowych dla świata futbolu uprzedzeń. To ci ostatni zaczęli przynosić na trybuny transparenty wymierzone w faszyzm i homofobię, to oni zaangażowali autorytet klubu w kampanie społeczne wspierające banki żywności czy pracowników bankrutujących kin.

W kontekście tych wszystkich informacji jedno z haseł fanów Dulwich Hamlet, „Nikt o nas nie słyszał, ale mamy to gdzieś”, wydaje się głęboko niesprawiedliwe.

Sport na ołtarzu biznesu

O budowie nowego stadionu Tottenhamu słyszało wielu, nie tylko w świecie futbolu. Powstał w miejscu starego obiektu; jak w wielu klubach, także i tu uznano, że do dalszego rozwoju trzeba zwiększyć dochód z biletów. Pojemność trybun wzrosła z 36 do ponad 62 tysięcy i trzeba przyznać: dziś w Europie mało jest stadionów równie imponujących. Widok z każdego krzesła jest znakomity, akustyka wspaniała, komfort zapewniony zarówno przeciętnemu kibicowi, jak i wynajmującym superluksusowe łóżka VIP-om, a nawet dziennikarzom (choć tu akurat nie wiem, czy inwestycja się zwraca: nawet świetnie nakarmieni w biurze prasowym nie chcą pisać o Tottenhamie →

Mecz Dulwich Hamlet z Hempstead Town, stadion Champion Hill. Londyn, 14 marca 2020 r.



→ zyczliwiej...). Efekt? Dochody z dni meczowych wynoszą ponad 117 mln funtów rocznie, dzięki czemu klub na liście najbogatszych w świecie wspiął się już na ósme miejsce.

Politycy odpowiedzialni za rozwój północnego Londynu – niewykluczone, że zamieszki, które wybuchły tu w 2011 r., po tym jak policja zastrzeliła podczas pościgu czarnoskórego chłopaka podejrzanego o handel narkotykami, przyspieszyły tylko wydanie zgód na gigantyczną przebudowę – powiedzieliby pewnie, że gra była warta świeczki. Jednym z entuzjastów projektu był zresztą obecny szef brytyjskiej dyplomacji David Lammy, członek Izby Gmin z okręgu Tottenham. Z drugiej strony na ołtarzu rozwoju ofiarę musiało złożyć kilku lokalnych przedsiębiorców, zmuszonych do sprzedaży gruntu pod o wiele większy od poprzedniego stadion. Najdłużej opierający się, a nawet procesujący się z klubem właściciele fabryczki działającej tu od kilku pokoleń poddali się po tajemniczym pożarze. Obiekt zburzono i wybudowano w jego miejsce nowy, a w międzyczasie drużyna grała na wynajmowanym Wembley.

Opisując sportowe losy Tottenhamu w tamtym okresie można postawić tezę, że inwestycja w stadion wyhamowała rozwój samej drużyny – pod trenerem Mauricio Pochettino zespół walczył nawet o mistrzostwo Anglii, a w 2019 r. zagrał w finale Ligi Mistrzów, ale zdarzyło się takie okienko transferowe, w którym nie zasilili go ani jeden nowy zawodnik. Zbyt długo grający razem piłkarze zwyczajnie się wypalili, a za kryzys ich formy zapłacił posadą najlepszy szkoleniowiec w najnowszych dziejach klubu.

Chociaż tyle, że sympatycznemu Argentyńczykowi dane było wiosną 2019 r. poprowadzić drużynę podczas meczu otwarcia Tottenham Hotspur Stadium – podobnie zresztą jak w niezapomnianym spotkaniu pożegnalnym na starym obiekcie, w maju 2017 r., kiedy w trakcie ostatniego wyjścia na murawę wielu klubowych legend niebo nad stadionem ozdobiła tęcza. Dziś jednak czas jego pracy w północnym Londynie jest już tylko historią – podobnie jak czas wychowanka i najlepszego strzelca w dziejach Tottenhamu, zachwycającego teraz golami dla Bayernu Harry’ego Kane’a.

Choć lata gry Kane’a w północnym Londynie upamiętnia mural zdobiący kamieniczkę przy jednej z dróg wiodących ze stadionu na stację kolejki, to także on opuszczał północny Londyn z niedosytem, bo przecież bez żadnego trofeum. I Kane, i Pochettino musieli się zastanawiać, czy prezes Tottenhamu Daniel Levy w sportową stronę przedsięwzięcia inwestuje równie ochoczo jak w komercyjną.

Nie chcemy awansować

Na Champion Hill mają inne priorytety. Owszem, zdarzyło się, że do klubowego zarządu dołączyli byli reprezentant Anglii i celebryta Peter Crouch, na początkowym etapie kariery wypożyczony z Tottenhamu właśnie do Dulwich Hamlet – ale grzecznie mu podziękowano. Oczywiście fakt, że w dramatycznym dla futbolu okresie pandemii taka gwiazda wyraziła zainteresowanie zespołem z futbolowych nizin – i że na fali jej zainteresowania zorganizowano mające przyciągnąć wielką widownię *reality show* – mógł być pomocny, fani jednak od początku nie kryli sceptycyzmu. I nie chodziło tylko o to, że czuli się traktowani przedmiotowo w kreowanym przez media obrazie ubogich krewnych wspieranych przez bogatego wujka. Crouchowi



zarzucali też występy w reklamach zachęcających do hazardu – podczas gdy oni sami angażują się w kampanię mającą doprowadzić do zakończenia relacji sponsorskich między światem futbolu a branżą bukmacherską. A oprócz tego tłumaczyli, że wcale nie chcą, by ich klub zaczął piąć się w górę ligowej piramidy. Teraz czują się na Champion Hill u siebie (zwłaszcza że obronili to miejsce przed zakusami deweloperów, w batalii o zachowanie sportowego charakteru terenu zyskując wsparcie burmistrza Londynu i lokalnej parlamentarzystki), ale gdyby, odpukać, zaczęli zbyt często wygrywać i wywalczyli awans do rozgrywek w pełni zawodowych, wymogi profesjonalizmu nie tylko zniszczyłyby rodzinną atmosferę w klubie. Podróże na mecze wyjazdowe generowałyby wyższe koszty niż wyprawy po okolicę, a przede wszystkim – ligowe przepisy, zabraniające spożywania alkoholu w miejscach widocznych z murawy, ograniczyłyby możliwość picia piwa na trybunach.

A trunek z miejscowego kraftowego browaru jest naprawdę dobre, podobnie jak grecki *street food* (nawet jeśli wegetariańską pitę z halloumi zbyt sówicie posypują frytkami). Po którejś z kolei pincie fani śpiewają coraz głośnieżej, przerabiając stare hity pop i klasyczne pieśni innych drużyn tak, żeby pasowały do ich ulubieńców. Kiedyś rozpraszali bramkarzy rywali, głośno odcytując przez cały mecz ich stare posty z Facebooka. Teraz, kiedy napastnik Dulwich Hamlet wpada w pole karne i wyraźnie nie wie, co zrobić z piłką, ze śmiechem radzą, żeby zanurkował. Tutaj faktycznie nie ma VAR-u, który mógłby rzecz zweryfikować, ale kiedy sędzia dyktuje karnego, o symulacji nie ma mowy. Jest za to przepychanka między piłkarzami, gdy strzelec gola podbiega do bramkarza, żeby poczochnąć go po głowie – może z ulgą, bo piłka przeszła golkeeperowi po rękach. Prawdziwy futbol.

Prawdziwy futbol także dlatego, że nawet na tym poziomie rozgrywek odczuwa się przemożny wpływ filozofii Guardioli. Jeśli kiedykolwiek natrafiłicie na stereotyp o angielskim „kopnij i biegnij” – chaotycznej młócce z piłką fruującą wysoko nad głowami zawodników – zweryfikujcie go czym prędzej. Zawodnicy Dulwich, jak Pep przykazał, wymieniają szybkie podania na małej przestrzeni, a rozpoczynający akcję bramkarz rozgrywa piłkę z obrońcami. Wygląda to równie efektownie jak



SAM MELLISH / GETTY IMAGES



MICHAŁ OKOŃSKI

przemarsz fanów, dokonujących w przerwie zmiany stron za bramką z kibicami przyjezdnymi.

Zanim przyleci szejk

Mural Kane'a, choć wielu wiernych fanów wciąż chodzi się pod nim fotografować, znajduje się jednak na uboczu. W ogóle na odwiedzających Tottenham Hotspur Stadium kibiców (czy w tej opowieści nie czas byłoby wreszcie użyć słowa bardziej adekwatnego: konsumentów?) spoglądają z gigantycznych reklam nie tylko piłkarze – z wielką podobizną Sona przede wszystkim – ale także artyści, którzy mają tu wystąpić; Beyoncé w czerwcu aż sześciokrotnie. Kiedy od wejścia dla mediów idzie się długimi podziemnymi korytarzami do biura prasowego, mija się szatnie przeznaczone dla występujących tu dwa razy w roku drużyn futbolu amerykańskiego z ligi NFL. W marcu na Tottenham Hotspur Stadium wybiegną rugbyści. Gdzieś pod południową trybuną znajduje się także tor kartingowy na licencji Formuły 1. Doprawdy: przypisywane Keithowi Burkinshawowi – trenerowi, który zdobył z Tottenhamem ostatni europejski puchar, bagatela, w 1984 r. – słowa, że „kiedyś był tu klub piłkarski”, nigdy nie brzmiały równie aktualnie.

Niestety z wysokości trybun widać również i to, że przedsiębiorczy prezes Levy trafnie rozpoznał potrzeby znaczącej części swojej publiczności. Nawet w trakcie meczu z naszpikowanym gwiazdami Manchesterem City doping jest niemrawy, a długimi chwilami głośniejsi są kibice gości. Już kilka minut przed przerwą setki ludzi zaczynają kierować się w stronę funkcjonujących na każdym ze stadionowych pięter barów – i nie wracają na czas wznowienia gry. Podobnie dzieje się przed końcem meczu – i nic to, że przegrywający o:r Tottenham wciąż walczy o wyrównanie. Z wysokości trybun – zwłaszcza dla kogoś, kto kibicuje tej drużynie od dekad i kto przeżywa wizytę na jej stadionie jak rodzinne święto – najbardziej poruszające są więc te momenty, w których jego ulubieni piłkarze unoszą po jakiejś akcji ręce, w błagalnym niemal geście prośby o wsparcie. Pomaga tylko na chwilę.

Kiedy sędzia gwizdże po raz ostatni i jest już jasne, że Tottenham przegrywa, obchodzą to tylko kilkutyśięczną garstkę najwierniejszych z wiernych. Dziękujący za, ekhem, doping zawodnicy podchodzą do niemal całkowicie opustoszałych try-

*Sklepik na stadionie Champion Hill. Londyn, 25 lutego 2025 r.
Po lewej: fani Dulwich Hamlet pod banerem „Kochamy ten klub”.
Londyn, 11 lutego 2023 r.*

bun. Kilku desperatów w jednym z południowych sektorów rozciąga jeszcze baner wymierzony w prezesa Levy'ego, który rozmawia ponoć o sprzedaży udziałów w świetnie prosperującym klubie jakimś katarskiemu szejkowi. W tym czasie drużyna osuwa się już na trzynaste miejsce w tabeli. Spadek z Premier League jej nie grozi, więc interes będzie kręcił się dalej. Tylko jaki to wszystko ma sens?

Ostatni bastion wspólnoty

Kiedy przed kilkoma laty światem futbolu wstrząsnął paroksyzm Superligi – idea zorganizowania rozgrywek, w których najzamożniejsze drużyny Europy grałyby wyłącznie we własnym gronie (prezes Tottenhamu, rzecz jasna, był w gronie pomysłodawców) – masowe protesty fanów futbolu wymusiły na wielu z nas refleksję, czym właściwie powinien być klub piłkarski. Historyk tych największych drużyn w dziejach, Barcelony i Ajaksu, Simon Kuper napisał wtedy, że powinno się o nim myśleć nie jak o firmie nastawionej na zysk, ale jak o instytucji przypominającej muzeum – służącej społeczności, a przy tym w miarę wypłacalnej.

Podobną myśl wyraził na łamach „Guardiana” kibic Dulwich Hamlet i współgospodarz podcastu „Forward the Hamlet” Hugo Greenlagh. Narzekając na niedoinwestowanie przez rządzących wówczas krajem konserwatystów rozmaitych instytucji publicznych, takich jak biblioteki, szpitale czy świetlice dla dzieci, pisał o „ostatnim bastionie ducha wspólnoty”, jakimi są właśnie kluby. W dzisiejszym świecie nie ma zbyt wielu miejsc, wokół których możemy się jeszcze gromadzić i organizować w poczuciu sensu.

Oczywiście jeśli jesteśmy kibicami, nie konsumentami.

©© MICHAŁ OKOŃSKI

Autor dziękuje Jakubowi Krupie, Jerzemu Okońskiemu i Jarosławowi Wiśniewskiemu, bez których wyprawa na oba londyńskie stadiony nie miałyby sensu.

TOMASZ

Stawiszyński: *Prawo do błędu*



CZY TAMTEGO FERALNEGO DNIA WOŁODYMYR ZEŁENSKI popełnił błąd? Czy poniosły go emocje, słuszny gniew, poczucie przyzwoitości – co w ścisłym protokole dyplomatyczno-negocjacyjnym nie uchodzi bezkarnie? Czy też może doradcy podpowiedzieli mu chy-

bioną strategię, założywszy, że wobec Donalda Trumpa i J.D. Vance'a trzeba przyjąć twardą postawę? Że nie wolno ustawiać się w roli petenta, tylko jasno wyrażać oczekiwania, przemawiać z pozycji siły? Czy taki był plan? Plan, który zawiodł, bo okazało się, że jest dokładnie na odwrót? Że Trump oczekuje hołdów i pokłonów, błagań i duserów, prośb o łaskę i zgiętych karków, a nie realistycznych uwag o Putinie oraz przypominania, że „gwarancje”, jakie Ukraina dotąd od Zachodu otrzymała, okazały się mrzonką. Nie chce szczerej rozmowy, jak człowiek z człowiekiem, jak z kimś, kto z napadniętego, niszczonego kraju przyjeżdża do sojusznika. Oczekuje teatru. Żeby zademonstrować, jak bardzo jest władczy. Jak rozdaje karty, bo to on je ma i trzeba to podkreślać: on ma karty, on ma komplet kart. Jak uprawia politykę na modłę biznesu. Jak nie obchodzą go wartości fundamentalne dla poprzedników. Jak ustawia się do niego kolejka po pomoc, a on jej łaskawie udziela lub odmawia, w zależności od kaprysu. Okazało się więc, że Trump nie oczekuje prawdy, lecz mimikry. Nie nazywania rzeczy po imieniu, lecz zrozumiałego dla potężnych i bogatych kodu słów, gestów i min.

Więc czy Zełenski popełnił błąd?

Nie wiem, nie potrafię tego jednoznacznie ocenić.

Z jednej strony, czysto pragmatycznej – wydaje się, że tak. Bo pragmatyka w takich sytuacjach oznacza jedno: wrócić do domu z najlepszymi rozwiązaniami, na jakie pozwala układ sił. Zresztą, że i prezydent Ukrainy w ten sposób to widzi, świadczy wpis, jaki 4 marca zamieścił w portalu X: spotkanie nie poszło tak, jak chcieliśmy; to godne pożałowania; doceniamy pomoc Ameryki; gotowi jesteśmy pracować dla pokoju pod silnym przywództwem Donalda Trumpa.

Tylko pod jednym warunkiem można by tego spotkania nie rozpatrywać w kategoriach porażki. Mianowicie, jeśli los Ukrainy był już przypieczętowany i nic się z tym nie da zrobić. Znowu jednak – skoro Zełenski zgłasza gotowość do rozmów, to chyba znak, że nadzieja wciąż pozostaje.

Z drugiej strony, czysto ludzkiej, etycznej, odwołującej się nie do teatru, a do realiów – nie. Wypowiedział przecież słowa oczywiste dla każdego, kto nie jest zaślepiiony rosyjską propagandą

albo cyniczną ideologią, w której liczą się wyłącznie siła i interesy. Czy Trump i Vance to przypadek takiego cynizmu, czy może również uwiedzenia przez Putina? Tego również do końca nie wiemy. W każdym razie buta i ostentacja, ustawianie do szeregu, usadzanie były pokazem jak najgorszego stylu, który – niestety – staje się dziś paradygmatem zachodniej polityki.

Wróćmy jednak do kwestii ewentualnego błędu. Abstrahując od tego, jak było naprawdę, w tych emocjonalnych reakcjach, które natychmiast po feralnym spotkaniu się pojawiły – jednoznacznie pochwalających to, co Zełenski zrobił i potępiających każdego, kto miał wątpliwości, nawet jeśli podkreślał swoje poparcie dla Ukrainy – wyczuwam jakiś rodzaj niezgody na to, że „nasz człowiek” w ogóle mógłby się pomylić. Że także on ma prawo do złej oceny, omsknięcia, nadmiernego afektu. Jakbyśmy za wszelką cenę nie chcieli przyjąć do wiadomości, że ludzie, z którymi się utożsamiamy, ludzie, których uważamy za szlachetnych, walczących w dobrej sprawie, wreszcie: ludzie, którzy są ofiarami, nie zaś agresorami – też mogą błędzić, nieadekwatnie oceniać, zapędzać się, dawać się ponieść impulsom. Pragniemy myśleć, że to zawsze domena innych. Złych albo głupich, albo i jedno, i drugie.

Jest to skłonność zrozumiała, zwłaszcza w kulturze, która porażek, błędów i bezradności nie toleruje. Tym bardziej – w epoce mediów społecznościowych, w których za najdrobniejsze przewinienia płaci się czasem najwyższą cenę. Jest to jednak również skłonność wiodąca na manowce. Oprócz tego, że okrutna, bo okrutna jest każda idealizacja, to w pierwszej kolejności uniemożliwiająca realną ocenę sytuacji. A tym samym – naukę na błędach. Wszak uczy się na nich ten tylko, kto je popełnia, ten natomiast, kto postępuje bezbłędnie, z miejsca traci taką okazję.

Podobne momenty – bezradności, niewiadomej, słowem: tragizmu – odsłaniają chyba najmocniej iluzję, jakiej niektórzy z nas ulegali przez ostatnie, bo ja wiem, kilkadziesiąt lat. Że wszystko mamy pod kontrolą. Że w świecie ostatecznie obowiązują reguły sprawiedliwe i szlachetne. I że w życiu jest tak jak w filmach: dobrzy zawsze mają rację i na końcu wygrywają, źli są zaś nie tylko groteskowi, brzydacy i głupi, ale również niezdarci, dlatego prędzej czy później potykają się o własne nogi i upadają na twarz.

Niezależnie od tego, jak bardzo negatywnie oceniamy zachowanie Trumpa i Vance'a, niezależnie od tego, jak prymitywna i brutalna jest ich wizja polityki, nie możemy sobie pozwolić na nieprzyjmowanie tego, co się dzieje, do wiadomości. Musimy zaakceptować fakty: także szlachetni ludzie, walczący w dobrej sprawie, mogą się pomylić.

Źli i cyniczni – na szczęście – też. Czasami trzeba na to tylko cierpliwie poczekać. A w tym czasie wyciągać wnioski i konsekwentnie robić swoje.

©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książki, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności”, „Reguła na czas chaosu” i „Powrotu fatum”.



NOWA PRENUMERATA PROSTO DO MOJEGO DOMU

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA
■ Kwartal – 12 wydań	170 zł
■ NOWOŚĆ Półroczna – 26 wydań	320 zł
■ Rok – 52 wydania	590 zł
■ Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA*	500 zł
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	110 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	690 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	600 zł

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrzc w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty cyfrowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Ceny prenumeraty łączonej (prenumerata drukowana i dostęp cyfrowy) nie ulegają zmianie.
Sprawdź pełną ofertę na TygodnikPowszechny.pl/sklep

PARTNER MARKETINGOWY **SALESmanago**
marketing automation

„TYGODNIK POWSZECHNY” SUWERENNY DZIĘKI TOBIE

ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa

WYSTAWA CZASOWA

1945.

NIE KONIEC, NIE POCZĄTEK

polin.pl

7.03–15.09.2025

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

Organizator



Współorganizatorzy



STOWARZYSZENIE
ŻYDOWSKI INSTYTUT
HISTORYCZNY W POLSCE

התאחדות היהודית
הישראלית
המוסד ההיסטורי
היהודי

Współorganizatorzy



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Pod patronatem Prezydenta Miasta i Gminy
i Burmistrza Starego Miasta
Prace plastyczne z okazji wystawy
z okazji 1945. Nie koniec, nie początek

Wspierają wystawę

Jankilevitch
Foundation

ועידת התביעות
Claims Conference

Fundują:

Federal Ministry
of Finance



Fundacja Kultury Żydowskiej
FUNDACJA KULTURY ŻYDOWSKIEJ

Sponsor strategiczny

Muzeum

tvn | WARNER BROS.
DISCOVERY

Oficjalni przewodnik

Muzeum

Partnerzy wystawy



JDC ARCHIVES

Wspierają i udział biorą

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Warszawa

STOWARZYSZENIE
ŻYDOWSKI INSTYTUT
HISTORYCZNY W POLSCE

Partnerzy medialni

zwierciadło

sens

WYDZIAŁ
POLSKICH

VOGUE

wyborcza.pl

TOK

Multikino

VIVA!

Newsweek

HISTORIA

K MAG

onet